

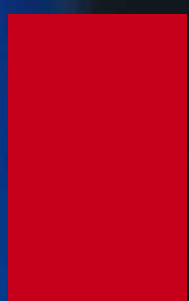
WOLNA
SOBOTA

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

Ratujmy dzieci!
Debata o problemach
psychicznych nastolatków
Marina Simonian
Krwawa caryca propagandy



WYSOKIE OBCASY
„Rozbudzę w tobie
kobietę”. Nastolatka
i seksualny
drapieżca



GAZETA
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

**Paul
McCartney
kończy dziś
80 lat**
ALL YOU NEED IS LOVE



OT: ALBERT CARRASQUILLO/GETTY IMAGES

wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



**A my chcemy
uciekać stąd.**
Jedna czwarta
Polski na emigracji

Serca w słojach.
Chopina było
wielkie, ale
sflaczałe

**Ochojska o pomocy
Ukraińcom**
Wiemy, co trzeba zrobić, ale
rząd nie chce nas wysłuchać ► 26

Bartosz T.
Wielński

Armagedonowi nie mówi się: sprawdzam

Zakończenie tego wszystkiego uderzeniem nuklearnym wydaje mi się bardziej prawdopodobne niż inny bieg wydarzeń. Z jednej strony jest to dla mnie przerażające, ale z drugiej strony jest, jak jest. My pójdziemy do nieba, a oni po prostu padną – wygłoszone pod koniec kwietnia w rosyjskiej telewizji publicznej słowa Margarity Simonian, szefowej propagandowej stacji Russia Today, szokują na wielu poziomach.

Gdyby tego typu zapowiedź nieuchronnego armagedonu została wyemitowana w którejś z europejskich stacji telewizyjnych, wywołałaby panikę. Jednak w Rosji najwyraźniej wizja masowego pójścia do nieba w wyniku serii nuklearnych eksplozji wywołuje pozytywne emocje. Po 100 dniach wojny w Ukrainie, podczas której mimo potężnych strat Rosjanie nie zrealizowali żadnego ze swoich strategicznych celów, poparcie dla Władimira Putina nie maleje.

Sam fakt, że rosyjscy propagandziści tak otwarcie dyskutują

scenariusz wojny jądrowej, a wręcz domagają się, by odpalić rakiety z głowicami jądrowymi na państwa NATO, oznacza, że Rosja nie ma już innych argumentów niż ostateczne. Ponad 1,5 tys. głowic w rakietach ukrytych w silosach, na mobilnych wyrzutniach, okrętach podwodnych, podwieszonych pod samolotami, pozwala Putinowi mordować, niszczyć i grabić w Ukrainie

Fakt, że rosyjscy propagandziści tak otwarcie dyskutują scenariusz wojny jądrowej, a wręcz domagają się, by odpalić rakiety z głowicami jądrowymi na państwa NATO, oznacza, że Rosja nie ma już innych argumentów

bez obawy, że NATO użyje siły, by powstrzymać zbrodnie, bez obawy, że kiedykolwiek zostanie rozliczony za zbrodnie.

Putinowska Rosja od lat przekonywała świat, że jest militarną potęgą i równorzędnym przeciwnikiem dla armii USA. Zaś jej pociski przenoszące zarówno głowice konwencjonalne, jak i jądrowe to najnowocześniejsza broń, której nie sposób powstrzymać. Realia wojny w Ukrainie pokazały, że jeśli chodzi o broń konwencjonalną, Rosjanie nie potrafili dowodzić swoimi jednostkami ani ich na czas zaopatrywać czy uzupełniać straty. Ukraińcy niszczyli najnowocześniejsze rosyjskie czołgi, zachowali działającą obronę przeciwlotniczą i samoloty. Z amerykańskich szacunków wynika, że 60 proc. odpalanych na Ukrainę rosyjskich pocisków rakietowych i manewrujących nie dolatuje do celu. Tego, czy rakiety międzykontynentalne i ich potężne nuklearne głowice są równie zawodne, nikt jednak nie będzie sprawdzać...

Jest jednak pytanie, na które nie mam odpowiedzi. Czy rozpoczęcie przez Rosję wojny jądrowej to tylko straszak w rękach rosyjskiej propagandy, czy też Putin bierze taki scenariusz zupełnie na poważnie? ●

Moskwa

Kolejka po smak Zachodu



FOT. DMITRY SEREBRYAKOV/AP

„Nazwa się zmienia, miłość pozostaje” – napisano na pierwszej restauracji otwartej w miejscu McDonalda w Moskwie. Koncern sprzedał swoje udziały w rosyjskich placówkach.

Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Kod dostępu do Wyborcza.pl



- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

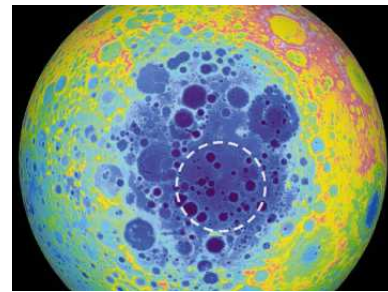
Chińczycy na Księżycu Mapa Srebrnego Globu

To pierwsza mapa geologii Księżyca w skali 1:2,5 mln, do tej pory najbardziej szczegółowa. Została opracowana przez chińskich ekspertów na podstawie m.in. obserwacji i pomiarów wykonanych przez misję Chang'e. Ma pomóc Chinom w eksploracji Srebrnego Globu.

Nowa mapa zawiera szczegóły wcześniej niezbadanych kraterów i struktur powierzchniowych. Opisuje morfologię, skład, strukturę, tektonikę i wiek powierzchni Księżyca.

Mapa została opublikowana w „Science Bulletin”, dostępna jest w formie drukowanej i komputerowej zarówno w języku mandaryńskim, jak i angielskim. Opracowali ją naukowcy z różnych instytutów badawczych i uniwersytetów pod kierunkiem specjalistów z Instytutu Geochemii Chińskiej Akademii Nauk.

Mapa ma pomóc w przyszłych badaniach Księżyca, planowaniu jego eksploracji i wyborze miejsca do lądowania przyszłych mi-



FOT. NASA

sji bezzałogowych i załogowych. Jest dokładniejsza niż amerykańska – o skali 1:5 mln – którą ledwie dwa lata temu Służba Geologiczna USA (USGS) opracowała we współpracy z NASA i Lunar Planetary Institute. Chiny wyrosły na kolejną potęgę kosmiczną – po USA i Rosji. Są trzecim krajem, który rozwinął technologię umożliwiającą wysyłanie ludzi na orbitę okołozemską i zbudował własną stację orbitalną.

Od kilkunastu lat Chińczycy prowadzą program badania Księżyca pod nazwą Chang'e – od chińskiej bogini Srebrnego Globu. ●

Piotr Cieśliński

Andrzej rysuje



Demencja może zwolnić



Jest proste badanie, które wykrywa chorobę na wczesnym etapie. Dzięki temu łatwo opóźnić jej objawy. Rozmowa z Karoliną Jurgą, neuropsycholożką.

Czytaj ► Wyborcza.pl

W poniedziałek w „Wyborczej”

Duży Format

Leczenie uzależnień po katolicku

„Zakaz przyjemności” – cukru, śpiewania, czytania, kosmetyków. „Milczek” – zakaz odzywania się na dziesięć minut. Złamiesz – godzina pracy natychmiast. Kary? Oni nazywają to „konsekwencjami”.

Reportaż Aleksandry Szyłto



Ekonomia+

Wymyślają siebie na nowo

Pochodzą z różnych części świata, trafili do Polski, uciekając przed wojną, prześladowaniami czy konfliktami etnicznymi. Na miejscu postanowili założyć firmy. **Reportaż Arkadiusza Gruszczyńskiego**

Top 5 wybrane z tygodnia
Najważniejsze wydarzenia

Sobota

Wielki finał piłkarzy
ręcznych

1 Sześć lat temu piłkarze ręczni Vive Kielce jako pierwsi w historii polskich sportów zespołowych wygrali Ligę Mistrzów. Teraz zamierzają zdobyć to trofeum po raz drugi. W sobotę w Lanxess Arenie w Kolonii rozpoczynają udział w turnieju Final Four od półfinału z węgierskim Telekomem Veszprém. – Pamiętam sukcesy polskiej piłki ręcznej. Niech teraz przyjdzie kolejny – mówi Robert Lewandowski wspierający drużynę Łomży Vive Kielce.



FOT. PAWEŁ MAŁECKI / AGENCJA WYBORCZA.PL, DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL, SHUTTERSTOCK, JAKUB WŁÓDEK / AGENCJA WYBORCZA.PL, JEAN-FRANÇOIS BADIAS/AP

Sobota

Głosy kobiet

2 Kiedyś w Królikarni, potem przy Zamku Ujazdowskim, teraz – w Łazienkach Królewskich. Po pandemicznej przerwie wraca ulubiony festiwal warszawiaków. Na Co Jest Grane Festiwalu – w tym roku pod szyldem Women’s Voices – w ciągu dwóch dni zagrają m.in.: Natalia Przybysz, Maria Peszek, Brodka, Daria Zawiałow, Krzysztof Zalewski, Igo i Karaś/Rogucki.



Poniedziałek

Guns N’ Roses
na Narodowym

3 W tym roku mija 35 lat od wydania debiutanckiej płyty jednego z ostatnich prawdziwie stadionowych zespołów rockowych. Podczas koncertu na Narodowym nie zabraknie kompozycji z „Appetite for Destruction”, tak jak i przebojów z późniejszych płyt, w tym oczywiście dwuczęściowej „Use Your Illusion”. Przed występem Guns N’ Roses publiczność rozgrzeje doskonały gitarzysta Gary Clark Jr.



Poniedziałek

Gazeta Uchodźców

4 20 czerwca jest Światowy Dzień Uchodźcy. Z tej okazji nasze łamy oddamy imigrantom z różnych części świata, którzy przybyli do Polski, uciekając przed wojnami i prześladowaniami. Zapraszamy do kiosków i na Wyborcza.pl.



Piątek

Kandydat Ukraina?

5 23-24 czerwca. Unijni przywódcy zajmą się wnioskiem Kijowa o członkostwo w Unii Europejskiej. O przyspieszonym wejściu do UE nie ma mowy. Gra będzie się toczyła o status kandydata. Czy szefowej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen, która dwukrotnie podczas wojny odwiedziła Kijów i jest wielką promotorką europejskich aspiracji Ukrainy, uda się przekonać sceptyków: Francję, Holandię, Portugalię i Niemcy?



Zbadałem ukraińską tożsamość

My, Ukrainorosjanie

Rosjanie planują referenda w Ługańsku, Doniecku i Chersoniu. Czy muszą je fałszować?

Hentschel

Z doniesień z ukraińskich terenów okupowanych wynika, że Rosjanie planują tam „referenda”. W tzw. Ługańskiej Republice Ludowej oraz Donieckiej Republice Ludowej ludność ma się wypowiedzieć w sprawie „przyłączenia do Rosji”. W obwodzie chersońskim „referendum” ma zdecydować o ogłoszeniu „niepodległości” i utworzeniu tzw. Chersońskiej Republiki Ludowej. Wyniki tych plebiscytów z góry można przewidzieć.

A co na ten temat myślą sami Ukraińcy? Byłem uczestnikiem dwóch projektów naukowych, które badały tę kwestię. Pierwszy odbył się w 2014 r., a więc wkrótce po aneksji Krymu i objął obwody centralnej Ukrainy, od żytomierskiego i chmielnickiego po charkowski i dnipropietrowski. W drugim projekcie – w latach 2020 i 2021 – badane były obwody leżące na wybrzeżu Morza Czarnego: odeski, chersoński i mikołajowski. Łącznie zebraliśmy odpowiedzi od 2600 przypadkowo dobranych respondentów.

Jako przynależących do osobnego narodu ukraińskiego postrzegało siebie aż 8 na 10 ankietowanych. Nie ma tu istotnych różnic na całym badanym obszarze. Różnice regionalne objawiały się w tym, że tylko od 1 do 3 osób na 10 wspomina o „pewnej”, a nie „nieograniczonej” samodzielności. To poczucie ograniczonej samodzielności pojawiało się częściej w pobliżu granicy z Rosją oraz w Chersoniu, na północ od Krymu.

Odpowiadając na pytanie, czy można być jednocześnie Ukraińcem i Rosjaninem, niekiedy około połowy, a co najmniej jedna piąta ankietowanych, uważało taką podwójną przynależność za możliwą. Zwłaszcza w obwo-

dach wschodnich, np. Charkowie czy Dnieprze, i południowych, zwłaszcza w Odessie, wartości te sięgały 50 proc. Potwierdza to silniejsze zorientowanie południa, a także wschodu centralnej Ukrainy na rosyjskość. Kryterium geograficzne nie jest przy tym jedyne. Mieszkańcy wsi, również na wybrzeżu Morza Czarnego, są dużo bardziej sceptyczni wobec podwójnej przynależności.

W niektórych rejonach jednak tylko połowa ankietowanych dostrzegała różnice między kulturą ukraińską a rosyjską. Na wybrzeżu Morza Czarnego jest tak we wszystkich trzech obwodach. A w centrum kraju – w północnych obwodach z przewagą ludności wiejskiej (Czernihów i Żytomierz) oraz w środkowych (Czerkasy). Natomiast na obszarach z przewagą ludności miejskiej we wschodniej części centrum kraju – wokół Charkowa i Dniepru – prawie trzy czwarte ankietowanych dostrzega różnice między kulturą ukraińską i rosyjską. Podobnie wokół Chmielnickiego i Winnicy na zachodzie.

Pytania dotyczyły oczywiście pojęć „naród” i „kultura” w nienaukowym znaczeniu i dopuszczały ich różne interpretacje przez badanych. Ale właśnie takie niespecjalistyczne ujęcia są istotne dla samoświadomości szerokich mas ludności.

Kolejne pytanie dotyczyło tego, czy mieszkańcy czują się Ukraińcami, Rosjanami, czy może identyfikują się z obiema nacjami, ewentualnie jak określają stopień tej identyfikacji. Odpowiedź w poszczególnych obwodach była złożona. Można było jednak zaobserwować pewne stałe: największą grupę tworzą mieszkańcy, którzy całkowicie czują się Ukraińcami i, również bez zastrzeżeń lub – rzadziej – z niewielkimi zastrzeżeniami,

określają się jako nie-Rosjanie. W badanych obwodach stanowią między 50 a 80 proc. ankietowanych. Silniejsza tendencja do „podwójnej” identyfikacji jest w centralnej części, w okolicach dużych miast – Kijowa, Charkowa i Dniepru.

W trzech obwodach nad Morzem Czarnym, które uważa się za bardziej zwrócone ku Rosji, tendencja określania siebie jako Ukraińca jest nawet silniejsza niż w obwodach, co do których nie zakłada się szczególnej sympatii do rosyjskości i Rosji.

Należy jednak pamiętać o tym, że dane z wybrzeża Morza Czarnego pochodzą z lat 2020-21, zostały więc ze-

W niektórych rejonach tylko połowa ankietowanych dostrzegała różnice między kulturą ukraińską a rosyjską

W 2014 roku, mimo aneksji Krymu, liczni ankietowani wspominali o „trzech bratnich narodach”, w latach 2020-21 prawie nie ma już o tym mowy

brane już po tym, jak w regionach Ługańska i Doniecka zginęły tysiące osób. W 2014 roku, mimo aneksji Krymu, liczni ankietowani nadal wspominali o „trzech bratnich narodach”, natomiast w latach 2020-21 prawie nie ma już o tym mowy. Od wielu starszych Ukraińców można usłyszeć, że to Putin uczynił ich Ukraińcami. Przypomina to świadectwa ocalałych z Za-

głady obywateli Trzeciej Rzeszy: dopiero Hitler uczynił ich Żydami.

Ostatnie pytanie dotyczyło samodzielności Ukrainy. Ideę połączenia z Białorusią i Rosją odrzuciła większość ankietowanych na całym badanym obszarze. W pojedynczych obwodach tylko między 5 a 25 proc. ankietowanych gotowych byłoby zgodzić się na taką unię. Dotyczyło to również tradycyjnie zwróconych ku Rosji obwodów takich jak Charków i położonych nad Morzem Czarnym. Dziś, w czwartym miesiącu walk i śmierci wielu tysięcy ludzi, ewentualną unię z Rosją bez wątpienia wykluczyłoby znacznie więcej ankietowanych.

Etniczno-narodowe odgraniczanie się Ukraińców od tego, co rosyjskie, i od samej Rosji jest zdecydowanie wyraźniejsze. Być może w przypadku części mieszkańców jest nieco rozmyte, ale przyczyny są głównie indywidualne, np. w mieszanym małżeństwach. Jednak także ich samoidentyfikacja zbliża się coraz bardziej ku ukraińskości.

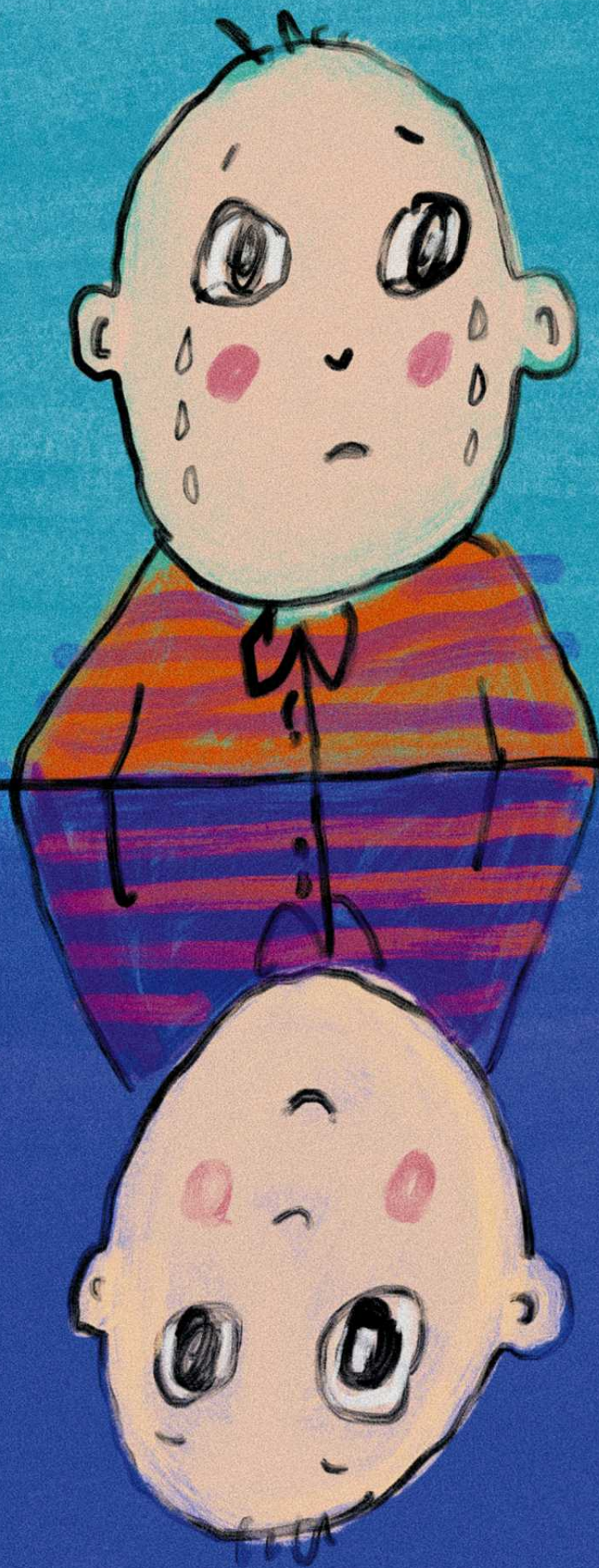
Jeśli znaczna część Rosjan pozostanie przy przekonaniu, że są z Ukraińcami „jednym narodem”, i będzie się opowiadała za utworzeniem wspólnego „wszechruskiego” państwa, będzie to kolejny z wielu etniczno-narodowych antagonizmów w Europie, z którym trzeba będzie się zmierzyć politycznie – demokratycznie – i naukowo. Przyczyną obecnej tragedii w Ukrainie nie jest – nawet mimo pewnych punktów spornych – wrogość między ludnością Ukrainy i Rosji, lecz krwawy reżim Putina. Taka wrogość może się jednak rozwinąć. ●



Gerd Hentschel – językoznawca, sławista, pracuje na Uniwersytecie w Oldenburgu

ILUSTRACJA PATRYK SROCZYŃSKI

KAKTUS KŁUJE ZE SMUTKU



Nastolatek potrzebuje rodziców, mimo że często mówi, że wcale nie.
Takich, którzy czasem, kiedy jego mózg w remoncie będzie płatał mu figle, staną się jego płatami czołowymi

W KLUBIE WYBORCZEJ **ALEKSANDRA SOBCZAK**, WICENACZELNA „GAZETY WYBORCZEJ”, ROZMAWIA Z **ALEKSANDRĄ LEWANDOWSKĄ**, KONSULTANTKĄ KRAJOWĄ W DZIEDZINIE PSYCHIATRII DZIECI I MŁODZIEŻY, I **LUCYNĄ KICIŃSKĄ**, KOORDYNATORKĄ STREFY POMOCY SERWISU „ŻYCIE WARTÉ JEST ROZMOWY” ORAZ PEDAGOG LICEUM W WARSZAWIE.

Jak się zachowuje zdrowy nastolatek?

ALEKSANDRA LEWANDOWSKA: Cieszy się życiem. Umie słuchać siebie i wyrażać to, co czuje, czyli jak jest zły, to umie to pokazać, ale z uważnością na innych.

Zdrowy nastolatek to też taki, który umie przeżyć porażkę, umie wyciągnąć wnioski, ale umie się także ucieszyć z sukcesów, wie, że porażki i sukcesy będą się przeplatały. Czuje się bezpiecznie sam ze sobą, ale temu nastolatkowi potrzebni są bezpieczni dorośli. Potrzebuje ich, mimo że często mówi, że wcale nie. Takich, którzy czasem, kiedy jego mózg w remoncie będzie płatał mu figle, staną się jego płatami czołowymi; którzy pomogą mu podjąć decyzje, ale nie będą narzucać własnego zdania. Nastolatki chcą, żebyśmy przy nich byli.

Powiedziała pani: „mózg w remoncie” – to jest fajna metafora tego, co się dzieje, kiedy człowiek przekształca się z dziecka w dorosłego. Czego nie powinniśmy przeoczyć, co nie jest tym nastoletnim buntem, co nie jest normalnym objawem „mózgu w remoncie”?

LUCYNA KICIŃSKA: Przede wszystkim nie wszystkie nastolatki przechodzą fazę buntu w taki bardzo manifestacyjny sposób. I to, jak się nastolatek buntuje, zależy od jakości relacji, jaką z nim mamy. Bo może się buntować, mówiąc, że my słuchamy beznadziejnej muzyki, ale nie będzie trząsał drzwiami, naruszał wszystkich zasad, mówił, że jesteśmy beznadziejni, i wrzeszczał, że nas nienawidzi, jeżeli mamy dobrze zawiązaną więź.

Natomiast jeżeli się zastanawiamy, czy to bunt, czy nie bunt, zasięgniemy języka u specjalistów. Bo to, że nastolatek jest rozdrażniony, że nie chce mieć z nami kontaktu, że wszystko go denerwuje i złości, może być objawem zaburzeń nastroju. Depresja u dziecka czy u nastolatka nie będzie wyglądała tak, jak nam się wydaje, czyli że to będzie smutek, wycofanie się z kontaktów i takie skulenie się w kątku i popłakiwanie. Jeżeli ktoś jest jak kaktus i ma wystawione wszystkie swoje kolce: „tylko do mnie nie podchodź”, to też jest wycofanie się z kontaktów. Często, widząc to, myślimy: „Och, buntuje się, teraz wszystkie nastolatki się buntują”. Niestety, to nieprawda. Jeżeli dziecko zupełnie nie chce z nami przy tej swojej złości i frustracji rozmawiać, nie spotyka się z kolegami i koleżankami, pogarszają mu się oceny w szkole, są to kolejne lampki ostrzegawcze. I nie powinniśmy dalej myśleć: „Leniwy, nic mu się nie chce”, bo możemy przestrzelić. Możemy zbyt późno rozpoznać różne trudne sytuacje w życiu dziecka wtedy, kiedy ono na przykład podejmie już próbę samobójczą albo kiedy zauważymy, że się samo-okalecza.

Często rodzice, kiedy coś zaczyna im nie grać, myślą sobie, że to oni są od postawienia diagnozy, od wyleczenia dziecka, od sprawienia, że ono będzie już z powrotem takie, jakie oni by chcieli, żeby było. Pytam ich: „A jeżeli dziecko złamałoby nogę, to państwo by uznali, że są od tego, żeby tę nogę nastawić i żeby to sprawiło, że już można z powrotem chodzić i biegać?”. Bo takie mamy często oczekiwanie co do zachowania nastolatka – widzimy, że jest smutny, to mówimy: „Idź, porozmawiaj z kolegami”, i to ma niby pomóc rozwiązać problem dziecka, które ma niskie poczucie własnej wartości, boi się odrzucenia, boi się, że jest nieciekawe. My dajemy złotą radę, tak jakbyśmy naklejali na tę złamaną nogę plaster.

Czego nie przegapić?

A.L.: Jeśli jest bliskość, jesteśmy na siebie uważni i widzimy, co się dzieje z naszym dzieckiem, to jest nam łatwiej wychwycić to, co od normy odbiega. Jeśli nie ma bliskości, to nawet, powiem kolokwialnie, grubą rzecz jest łatwo przeoczyć.

Jeśli coś niepokoi rodzica i próbuje zapytać syna czy córkę, co się dzieje, ale nie uzyskuje odpowiedzi, to niech tego nie zostawia, niech szuka dalej. Ważne jest też, żeby rodzic miał gotowość na słuchanie i wzięcie odpowiedzialności za dziecko. Młoda osoba, gdy jest jej trudno coś powiedzieć wprost, pokazuje zachowaniem, że potrzebuje pomocy. Nieraz słyszę od nastolatków: „Ja chciałam/chciałem powiedzieć to mamie, ale tak strasznie się bałam/ba-

łem”. I często ten nastolatek specjalnie wybiera takie pory, gdy mama jest zajęta, i mówi: „Nie teraz, później”. Radzę: „Stwórzcie sobie rodzaj codziennego rytuału, może to być spotkanie przy herbatce czy wspólna kolacja, żeby побыć ze sobą”. Nie można się dowiedzieć ważnych rzeczy, jeśli nie ma tej przestrzeni. A objawy związane z różnymi zaburzeniami, które spotykamy w psychiatrii wieku rozwojowego, mogą być przeróżne – obniżony nastrój, drażliwość, lęk, niepokój, wycofanie się, pogorszenie wyników w nauce. Każdy niepokojący objaw, który widzi otoczenie, powinien być sygnałem alarmującym. Nie bójmy się prosić o pomoc.

Kiedy jesteśmy rodzicami nastolatków, czy wszystko już jest pozamiatane, bo nie stworzyliśmy tej bliskości wcześniej?

L.K.: Nigdy nie jest za późno, choć jeżeli zaczynamy budować relację z 15-latkami, to może być trudno. Ważne, żeby się wtedy nie zrażać. „Oczywiście, ja próbuję, pani Lucyno, chodzę i mówię, a on mi trzaśka drzwiami, no ile mam to znosić” – słyszę. Myślę sobie, że skoro on przez 15 lat znosił taką barierę: „Nie mam teraz czasu”, „To, co mówisz, jest nieważne”, „Czy lekcje odrobione?”, to potrzeba dużo cierpliwości i konsekwencji, żeby pokazać mu, że może nam zaufać.

Kluczem jest robienie czegoś razem. Choćby 15 minut dziennie. Jednak w tym czasie nie odpytujemy dziecka, czy lekcje odrobione, dlaczego czwórka, a nie piątka, dlaczego łazienka nieumyta. Tak naprawdę wtedy nas w ogóle nie interesuje, dlaczego ta łazienka jest nieumyta, tylko chcemy powiedzieć: „Jesteś leniwa/leniwy”. Jeżeli będziemy się skupiać na nadawaniu, a nie na słuchaniu, to nie nawiążemy relacji.

Pamiętajmy też, że nie jest naszą rolą, żeby zobaczyć wszystko. Dzieci często mówią: „Ja to ukrywam przed mamą, bo nie chcę jej dokładać problemów, nie chcę, żeby cierpiała”, „Ukrywam przed mamą, bo sam się boję tego, co się ze mną dzieje”. Zdarza się, że mówią: „Ukrywam przed mamą i tatą, bo się boję tego, że przestanę pasować do tej naszej pięknej rodzinnej fotografii”. Nastolatek, który jest pozostawiany sam sobie, nie widzi tego, że my, odnosząc sukcesy, mamy też gorsze dni. Nie widzi tego, że my też się borykamy z różnymi trudnościami...

L.K.: No właśnie, jeżeli nastolatek siedzi w swoim pokoju, jeżeli wychodzi tylko po to, żeby wziąć coś do jedzenia, jeżeli nie ma tego wspólnie spędzonego czasu, to może tego po prostu nie widzieć. Również dlatego, że w kryzysie emocjonalnym jego myśli, emocje są przez ten kryzys owładnięte. Ma widzenie tunelowe, widzi tylko lepek od szpilki. Jeżeli w tym lepku od szpilki nie zobaczy rodzica, który jest dla niego bezpieczny, to może być mu bardzo trudno wyciągnąć rękę, czyli powiedzieć, że coś się z nim dzieje.

Depresja u dziecka czy u nastolatka nie będzie wyglądała tak, jak nam się wydaje, czyli że to będzie wycofanie się z kontaktów i takie skulenie się w kątku i popłakiwanie. Jeżeli ktoś jest jak kaktus i ma wystawione wszystkie kolce: „tylko do mnie nie podchodź”, to też jest wycofanie się z kontaktów

Jeszcze problem będzie.

L.K.: Tak, będzie problem, rodzic mu nie uwierzy, bo „jak ja mam opowiedzieć rodzicowi o tym, że mi się już nie chce żyć, że mnie boli tak bardzo, że ja tak bardzo cierpię”. A przecież jak nas boli ząb, to tego też nie widać. Ważne, żebyśmy my pamiętali, że jeżeli widzimy coś niepokojącego, powinniśmy przejąć kontrolę.

Ale z jednej strony mam jako rodzic dawać bezpieczną kotwicę, a z drugiej dobrze by było, żebym umiała pokazać, że czasami mam gorsze dni, że nie we wszystkim jestem super. Jak to pogodzić?

A.L.: Żyjemy w takiej kulturze, na szczęście to się zmienia. Zaprzeczamy, zakładamy maski, a dzieci bardziej nawet niż nastolatki są świetnym obserwa-

torami. Dziecko widzi, że mama jest zmęczona, zła, smutna, a pokazuje i mówi coś innego. To rodzi dysonans. Nawet jeżeli jesteśmy pogubieni jako rodzice, jest nam źle czy jesteśmy zmęczeni, mamy prawo to powiedzieć, pokazać, bo uczymy tej prawdy nasze dziecko.

Jakiś fałsz jest po obu stronach, chcemy, żeby dziecko mówiło szczerze, a sami gramy rolę.

A.L.: Dokładnie tak.

Spotykam różnych rodziców. Część chce towarzyszyć dziecku w tej podróży, żyć z otwartością na to, że dziecko będzie podążało własną drogą, a oni zawsze będą obok: „Jeżeli coś się dzieje, służę pomocą”. Natomiast – przykro mi to powiedzieć – większość rodziców ma gotowy scenariusz na dziecko. I to jest najtrudniejsze, bo każdy z nas rozwija się w swoim tempie, ma swoją drogę, a myślenie, że dziecko jest w pewnym sensie moją własnością, nie sprzyja budowaniu właściwej relacji.

Gdybyśmy od żłobka, nawet nie od przedszkola, byli uczeni uważności na siebie, tego, jak siebie czytać, to naprawdę byłoby łatwiej. Bo nawet przy bardzo dobrej relacji mogą się pojawić trudności: nastolatek w okresie dorastania poszukuje swojej drogi, próbuje określić własną tożsamość. Ale rodzic powinien mieć też gotowość, żeby powiedzieć: „Jest mi trudno, niepokoję się o to, co się z tobą dzieje”.

No i nie bądźmy hipokrytami. Często spotykamy takie śmieszne sytuacje z życia wzięte, gdy mama mówi do córki: „Powiedz pani doktor, powiedz, jak ty się odzywasz”. A córka na to: „Mamo, a ile razy ja ciebie proszę, żebyś nie mówiła...” – i tu zaczyna się litania słów na taką czy inną literę. Jak żyjemy w zakłamaniu, to trudno oczekiwać, że dziecko będzie żyło inaczej.

Powiedziała pani, że większość rodziców ma scenariusz na dziecko. I pewnie raczej zakładają, że będzie zdolne, popularne towarzystwo. A potem życie to weryfikuje. Pewne odstępstwa od scenariusza łatwiej przyjąć, ale nie chorobę psychiczną. Pani mówiła, że uciekamy przed tym, chowamy głowę w piasek.

L.K.: Tak. Rodzic zaprzecza, bagatelizuje, reaguje złością albo depresją. Specjalista może pomóc mu oswoić się z tą informacją. Ale żeby do tego doszło, rodzic musi się do niego udać. Rodzic może się na nas złościć, może się też złościć na innych, przekierowywać uwagę z myśli: „Moje dziecko cierpi”, na: „Dlaczego mnie to spotyka?”, „Dlaczego dzieci innych nie cierpią?”, „Dlaczego dzieci innych nie chorują?”. Może też zareagować całkowitym wycofaniem, smutkiem, pograżeniem się w myślach: „Gdzie popełniłam błąd, jaką jestem złą matką, inni mnie będą za to osądzać, moje dziecko cierpi przeze mnie”. Jeżeli widzimy w naszym otoczeniu, że ktoś tak reaguje na kryzys emocjonalny swojego dziecka, trzeba go wesprzeć.

A.L.: Często rodzice zbyt późno docierają do psychiatrii, psychologa, psychoterapeuty czy pedagoga, bo nawet jak widzą u dziecka objawy, z różnych powodów to wypierają. Mogą podejrzewać, że może mieć to związek z emocjami czy z zaburzeniem psychicznym, ale łatwiej jest doszukiwać się choroby somatycznej albo reagować ze złością: „Nie wierzę pani, tu trzeba koniecznie zrobić rezonans głowy, może to jakiś guz”. Trudno jest im przyjąć odpowiedzialność za to, co się dzieje. Ile razy słyszę, może częściej od nastolatków ze względu na strukturę ich kształtującej się osobowości i możliwości poznawcze: „Pani doktor, ja bym wolala/wolał każdą inną chorobę, nawet nowotwór, tylko nie na to, co się ze mną dzieje”.

Kolejna kwestia, którą obserwujemy, jak już rodzina przychodzi z nastolatkiem do lekarza – trochę strywalizuję, ale niejednokrotnie to brzmi tak: „Oczekuję, że dostanę złotą tabletkę i wszystkie problemy ustąpią”. Żyjemy w czasach, w których tempo życia jest takie, że dziecko ma być zdrowe za trzy dni. I wtedy rodzice dowiadują się, że to potrwa – najpierw zaczynamy od diagnozy, oddziaływań terapeutycznych, psychoedukacji, a na kolejnym etapie, jeśli one nie przynoszą oczekiwanego efektu, rozważamy włączanie farmakoterapii. Jest pewna grupa chorób psychicznych, zaburzeń, w których farmakoterapia jest podstawą. I tutaj pojawia się lęk przed tym, że leki zmieniają dziecko, uzależniają, pani doktor zepsuje mózg dziecka. Różne komunikaty słyszymy, uczulam młodszych kolegów, którzy wybierają tę specjalizację: poświęćcie czas na psychoedukację, wytłumaczcie, z czym wiąże się diagnoza, co można, czego nie można, dlaczego pewnych leków nie podajemy. Nie niecierpliwość, pięć minut i sprawa załatwiona. Nawet siedmiolatkowi, u które-

go diagnozujemy ADHD i jest konieczność włączenia farmakoterapii, taka informacja się należy. Oczywiście dostosowana do jego możliwości poznawczych. Odwołując się do pytania o chorobach, kryzysie, powtarzam – to też od nas zależy, jak my do tego kryzysu, do tej choroby podejdziemy. To jest jedna z tajemnic życia, medycyna nie do końca zna etiopatogenezę zaburzeń psychicznych. Mówimy o uwarunkowaniu wieloczynnikowym i naprawdę nikt z nas nie wie, czy za kilka lat ten kryzys nas samych nie dotknie.

Pamiętam rozmowę z jedną z mam: „Pani doktor, dzisiaj mogę o tym powiedzieć. Jak dowiedziałam się, że moja córka jest niepełnosprawna intelektualnie w stopniu lekkim, to był jeden z najgorszych dni mojego życia. Bunt, złość, dlaczego mnie to spotkało, wszystkie fazy, brak zgody, złość na dziecko – pojawiało się wiele emocji. Ale teraz, jak patrzę na to z perspektywy czasu, widzę, że dzięki tej diagnozie sama się zmieniałam, mój mąż się zmienił, jesteśmy innymi ludźmi. I gdyby nie ta sytuacja, pewnie nie byłabym w miejscu, w którym jestem”. Natomiast jeżeli zostanieśmy w fazie rozgoryczenia, złości, buntu, niezadowolenia, to nie będzie żadnego efektu.

Mimo wszystko to, co panie mówią, brzmi dosyć optymistycznie, bo gdy znamy te fazy, wiemy, że możemy przez nie przejść i może być lepiej, i nawet jeżeli ten pierwszy moment jest kryzysowy, to jest kryzysowy według planu.

L.K.: Tak. Ważne jest, żebyśmy pamiętali, że zaprzeczanie diagnozie jej nie zmienia. To, że będziemy się upierać, że dziecko jest leniwe, nie sprawi, że ono zacznie lepiej zapamiętywać, poprawi koncentrację uwagi, bo nie będzie tego umiało, jeżeli mierzy się z niską samooceną, z bardzo obniżonym nastrojem. Jedno z podstawowych pytań rodziców, z którymi rozmawiam, brzmi: „Czy to jest na zawsze, czy to się da wyleczyć?”. Nawet jeżeli rodzic usłyszy od specjalisty: „Leczymy, ale może być tak, że do końca życia nawroty będą się pojawiały”, to jest lepsza informacja niż niewiedza. Często słyszę, po co jest to wszystko, skoro będzie nawrót. Po to, odpowiadam, że szybciej go złapiemy, jeżeli on się w ogóle pojawi. Będziemy mieć większą wiarę w to, żeby korzystać z psychoterapii, bo wiemy, że nam już raz pomogła.

Jeżeli uporczywie zaprzeczamy diagnozie, to dziecko też słyszy w nas tę niezgodę na to, jakie ono naprawdę jest.

A.L.: Przypominam sobie rozmowę z mamą z wyższym wykształceniem – myślę, że wykształcenie nie jest czynnikiem chroniącym, nawet wręcz odwrotnie – która przyszła do poradni z siedmioletnim dzieckiem, mimo że niepokojące objawy obserwowała u swojego syna już w wieku wczesnodziecięcym. Jednak bardzo się bała tego momentu diagnozy, a najbardziej – do czego się potem przyznała w trakcie rozmowy – niepełnosprawności intelektualnej. Zmieniała kolejne przedszkola. Jak słucham tych historii, jako lekarz mam w głowie jedno: ile można było wprowadzić działań

w okresie wczesnodziecięcym, kiedy plastyczność mózgu jest na wagę złota. Gdyby te dzieci i rodziny uzyskały pomoc wcześniej – kilka miesięcy, czasami rok czy dwa lata – ja bym z większością z nich się nie spotkała ani w poradni, ani na oddziale szpitalnym. A teraz mamy trójkąt wywrócony do góry nogami.

Po tych kolejkach i statystykach dotyczących prób samobójczych widzimy, że problem zdrowia psychicznego wśród nastolatków narasta. A może po prostu zaczynamy o tym

Stwórzcie sobie rodzaj codziennego rytuału – może to być spotkanie przy herbatce czy wspólna kolacja, żeby pobyć ze sobą. Nie można się dowiedzieć ważnych rzeczy, jeśli nie ma tej przestrzeni

mówić, znika tabu i problemy, które były zawsze, teraz są bardziej widoczne?

A.L.: Jedno i drugie. Ale statystyki są przerażające. Odwołam się do badań prowadzonych przez Instytut Psychiatrii i Neurologii w Warszawie przed pandemią. Wyniki były alarmujące. Okazało się, że w grupie wiekowej do szóstego roku życia około 16 proc., czyli 420 tys. tych dzieci, miało różnego rodzaju zaburzenia rozwojowe. A w grupie nastolatków – ponad pół miliona. Nie było rzetelnie prowadzonych badań na temat kondycji psychicznej nastolatków i dzieci po okresie pandemii, ale jako lekarz praktyk widzę lawinowy wzrost pacjentów zgłaszających się do poradni, ale też przepelnione oddziały szpitalne. Poprosiłam o zestawienie centralę NFZ z miarodajnych okresów, które bym mogła porównać: wrzesień 2019 r. do pierwszego lockdownu, czyli 15 marca 2020 r., i powrót dzieci po okresie nauki zdalnej, ale jeszcze w pandemii – wrzesień 2021 r. do 15 marca 2022 r. Okazuje się, że w grupie pacjentów dziecięcych, czyli do 13. roku życia, wzrost był o prawie 50 proc. A to tylko te świadczenia, które są realizowane w ramach publicznej służby zdrowia. A jeżeli chodzi o młodzież od 13. roku życia do 18. roku życia, wzrost jest prawie o 60 proc. To, co my widzimy na co dzień, przekłada się na dane statystyczne.

Ale mnie samą zaskoczyło to, że pomimo wzrostu liczby pacjentów obserwowaliśmy mniej obłożenie oddziałów dziecięcych, a większe młodzieżowych. Okazało się, że pacjenci dziecięcy zostali już zaopiekowani w ośrodkach opieki środowiskowej, psychologiczno-psychotherapeutycznej. A pacjentów młodzieżowych było mniej w tych ośrodkach, co oczywiście przełożyło się na obciążone oddziały szpitalne i poradnie zdrowia psychicznego, gdzie jest lekarz.

Czy to jest tak, że więcej osób zgłasza się po pomoc – co byłoby dobrym objawem – czy więcej osób cierpi?

L.K.: I to, i to. Jest więcej osób, które cierpią. Jest to oczywiście podbite przez pandemię, przez izolację, która uniemożliwiła nastolatkom realizację ważnych dla nich celów życiowych. I bardzo negatywnie wpływała na ich samoocenę. Choć mówi się też o tych dzieciach, które w okresie pandemii, lockdownów czuły się dobrze, bo nie musiały mierzyć się z lękami. Jeżeli wcześniej doświadczali przemocy rówieśniczej, to również czuły się bezpiecznie. Tylko pamiętajmy, że obie te grupy nagle zostały poinformowane na konferencji prasowej, że za dwa tygodnie mają wrócić do szkoły. I to dla większości z nich był szok – dla dzieci z problemami w relacjach rówieśniczych czy tych, które doświadczały zaburzeń lękowych. Natomiast u tych, które mówiły: „Cierpię, jest mi źle, z nikim się nie spotykam, wcześniej to moje życie było super, bo chodziłem do szkoły i miałem tylu kolegów”, moment powrotu do szkoły też wywoływał dużo negatywnych emocji: „Nie wiem, do kogo mam wrócić, z nikim nie utrzymywałem kontaktu. Czy moi koledzy i przyjaciele, to są wciąż moi koledzy i przyjaciele?”. Są badania fundacji Szkoła z Klasą, które mówią, że połowa dzieci miała negatywne uczucia związane z tym powrotem. Więc to, że my uważaliśmy, że jak oni wrócą do szkół, to będzie wszystko dobrze, niestety było mrzonką. Znowu: nakleimy plasterek i wszystko będzie dobrze.

No i sama pandemia może negatywnie wpływać na nasze zdrowie psychiczne. Oczywiście również konflikt zbrojny, atak Rosji na Ukrainę, bardzo negatywnie wpływa na funkcjonowanie nastolatków. Ale też to, że cały czas mówimy, że warto jest szukać pomocy, także może wpływać na ten wzrost w statystykach. Oczywiście ten wzrost jest związany z tym, że NFZ otworzył ponad 350 nowych placówek.

To akurat dobrze.

L.K.: Oczywiście, że tak. Natomiast wciąż to kropla w morzu potrzeb.

Lęk, depresja może być związana z tym, co się generalnie dzieje na świecie, przez co przeszliśmy w pandemii i teraz w czasie wojny. Ale przybysza też diagnoz ADHD, spektrum autyzmu. Czy to także trzeba łączyć z pandemią, wojną?

A.L.: Te zaburzenia neurorozwojowe, do których należą ADHD, zaburzenia ze spektrum autyzmu czy te, które teraz znamy jako dysleksję, dysgrafię, dysortografię, czyli specyficzne zaburzenia rozwoju umiejętności szkolnych – wszystkie one powstają w okresie prenatalnym bądź w okresie wczesnego dzieciństwa. Tych zaburzeń przybysza. Czynniki ryzyka związane z ich wystąpieniem to między innymi różne powikłania w okresie ciąży, przy porodzie, późny wiek ojca, późny wiek matki, wcześniactwo, czynniki genetyczne, infekcje – i mogą tak wymieniać. Ma na to wpływ również zanieczyszczenie środowiska.

Im wcześniej rozpoznajemy te deficyty i trudności, tym szybciej wdrażamy cały pakiet oddziaływań i ta pomoc jest bardziej skuteczna. To grupa pacjentów szczególnie mi bliska – pracuję 18 lat i przyjmuję również w poradni przyszpitalnej – dzieci z zaburzeniami umiejętności szkolnych. To jest bardzo duża grupa. Autyzm – średnio szacuje się, że dotyczy 1-2 proc. dzieci. Specyficzne zaburzenia umiejętności szkolnych, czyli te wszystkie „dys...” – średnio od 10 do 15 proc. Często te dzieci są niezauważane, niediagnozowane, z niskim poczuciem własnej wartości. Bo wymogi, które stawia i rodzic, i nauczyciel, są nieadekwatne do możliwości tych dzieci. I potem co się dzieje? Ja się spotykam z tym dzieckiem w poradni i diagnozuję epizod depresji albo zaburzenia lękowe. Albo w oddziale szpitalnym po próbie samobójczej.

Mogłoby ich nie być, gdybyśmy wcześniej się pochylili nad problem, który już gdzieś był widoczny.

A.L.: Dokładnie tak i dlatego mówimy o tej uważności. I tu kieruję apel do wszystkich.

Te wszystkie dzieci chodzą do szkoły i o ile się często Polska chwali wynikami badania PISA, że świetnie nam idzie z testami, to rzadko się wspomina, że ono też bada, jak dzieci czują się w szkole. Generalnie nasze dzieci są w szkole nieszcześliwe i nie jest to nadużycie. One nie mają tam poczucia bezpieczeństwa, nie chcą tam chodzić. Powiedzcie, panie, co z tym zrobić?

L.K.: Jeżeli my rodzice wiemy, że dziecko mierzy się z jakąś trudnością, to trzeba to powiedzieć w szkole. A często rodzice nie mówią, bo się boją, że dziecko zostanie zestygmatyzowane albo że zostaną poroszeni o zabranie dziecka.

Zawsze doradzam rodzicom: jeżeli w szkole słyszymy: „No nie, u nas takich problemów nie ma”, to nie walczmy naszym dzieckiem z systemem, tylko zabierzmy je do takiej szkoły, gdzie zostanie zaakceptowane, wsparte i gdzie nikt mu nie powie, że tutaj nie pasuje. Szkoła może dużo zrobić dla dziecka, jeżeli wie, co się z nim dzieje. Bo jeżeli dziecko nie słucha, jeżeli trzaska drzwiami, jeżeli rwie klasówkę, to bardzo często nauczyciel sobie myśli: „Kto wy-

W kryzysie emocjonalnym myśli i emocje są owładnięte przez ten kryzys. Dziecko ma widzenie tunelowe, widzi tylko lepek od szpilki. Jeżeli w tym lepku od szpilki nie zobaczy rodzica, to może być mu bardzo trudno wyciągnąć rękę, czyli powiedzieć co się z nim dzieje

chował to dziecko”. I kiedy rodzic zostanie poproszony do szkoły – rodzice to często nazywają wezwaniem – ze złością mówi: „Ale to przecież normalne, moje dziecko ma depresję”. Trzeba się cieszyć, że to wypłynęło, bo my, nauczyciele, będziemy wiedzieli, co mamy robić, bo będziemy mogli się dostroić i dostosować do tego, co przeżywa dziecko. Jeżeli dostaniemy wskazania od psychoterapeuty, od psychiatry, to jesteśmy zobowiązani i też chcemy wdrażać dostosowania. Na przykład dziecko z depresją albo dziecko z zaburzeniami lękowymi nie będzie odpowiadało na forum klasy, może być odpytane na przerwie. A może będzie tylko pisało kartkówki i klasówki. Może nie będzie pisało w klasie, bo dzieci, które są w kryzysie zdrowia psychicznego, ale też dzieci z zespołem Aspergera, bardzo się rozpraszają. Przychodzi dziewczynka i mówi: „Proszę pani, ja wszystko umiem, ale moja koleżanka cały czas pstrykała i ja policzyłam, ona pstryknęła 628 razy, to ja byłam w stanie napisać”. I my możemy stworzyć warunki, żeby nastolatek albo młodsze dziecko odniósł sukces edukacyjny.

Ale ważne słowo: możecie czy musicie?

L.K.: Jest to zobowiązanie, natomiast wszystko zawsze się o rozbija o ludzi. Czasem jest tak, że w szkole ktoś czegoś nie robi, bo nie wie i nie rozumie. Nauczyciele nie dostają wiedzy, czym jest zespół Aspergera i jak mają mówić do takiego ucznia. Ja jestem na kilku grupach nauczycielskich w internecie i tam codziennie pojawiają się pytania, o co chodzi z tym rozporządzeniem z 2017 r. Bo zostało przyjęte rozporządzenie o pomocy psychologiczno-pedagogicznej, które jasno wskazuje, że jesteśmy od tego, żeby rozpoznawać indywidualne potrzeby rozwojowe i edukacyjne dzieci i się do nich dostrajać. I to nie chodzi tylko o dzieci z deficytami, ale także o dzieci wybitne. Rozporządzenie zostało przyjęte, a nauczyciele nie dostali wiedzy, umiejętności i kompetencji. Nie dostali szkoleń. Dostali informacje, że po prostu mają to robić w postaci rozporządzenia, w którym, jak się państwo pewnie domyślają, nie jest napisane, jak pracować z uczniem, który ma aspergera.

W tym dostrajaniu bardzo ważne jest to, żeby nie być same-mu. A nauczyciele są zestresowani, przeciążeni, nie mają czasu na szkolenia, a z mojego doświadczenia wynika, że bardzo nie lubią mówić o tym, że mają jakiś kłopot ze swoim kolegą czy koleżanką. Tworzenie zespołów, w których możemy usiąść i porozmawiać o tym, jak nam się pracuje z danym uczniem, co nam działa, a co nam nie działa, jest bardzo twórcze. Bo jeden nauczyciel mówi: „Ja już z nim nie mogę”, a drugi radzi: „A u mnie działa to i to, może spróbuj”.

Bardzo ważne jest więc, że jeżeli są diagnozy, to żeby szkoła je poznawała. Z drugiej strony szkoła jest tym miejscem, które może trochę tę diagnozę podpowie-dzieć.

Widzicie ucznia na co dzień, więc zachowania mogą być wyraźniejsze.

A.L.: Tu jest bardzo ważne współdziałanie. Bardzo często i rodzice są pogubieni, i nauczyciele. Rodzice często się boją poprosić o to, co należy się ich dziecku i im. A są przecież ośrodki opieki środowiskowej, czyli psycholog, psychoterapeuta, terapeuta środowiskowy, który może pójść do szkoły, spotkać się z nauczycielem, z wychowawcą czy z zespołem, który jest powołany w tej szkole. Jest różna gotowość szkół do przyjęcia tej pomocy. Czasami jest taka obawa, żeby wpuścić kogoś z zewnątrz. Apeluję: nie bójmy się tego, bo to jest tylko wartość dodana. Czasami wystarczą proste wskazówki, które ułatwiają pracę nauczycielowi, życie temu uczniowi i jego rodzinie. Bo na tym nam wszystkim zależy.

Żeby mieć proste wskazówki, trzeba mieć diagnozę. Wspominaliśmy o kolejkach, do tego dochodzą wysokie ceny u prywatnych specjalistów. Być może w wielu przypadkach to się o to rozbija. Pani wspominała, że powstają nowe placówki. Gdzie teraz najszybciej można szukać pomocy?

A.L.: Na stronie NFZ jest taka zakładka i link, gdzie są wszystkie adresy placówek opieki środowiskowej, psychologiczno-psychoterapeutycznej, w każdym województwie, w każdym powiecie. Każdy może zadzwonić, umówić spotkanie i wizytę.

L.K.: Jak pomożemy na tym wczesnym stadium kształtowania się zaburzenia, to dziecko nigdy nie wejdzie wyżej. Ja lubię o tym myśleć tak, że wtedy dzieci będą krócej cierpiały. Nie wiem, dlaczego pan minister zdrowia o tym nie mówi, jest 350 placówek w całej Polsce. W Warszawie 28, w województwie mazowieckim 80. Powinniśmy z tego korzystać. Bo im wcześniej pomożemy dziecku, tym mniejsze ryzyko, że ono w ogóle kiedykolwiek będzie potrzebowało tych kolejnych poziomów, gdzie siłą rzeczy jest mniej specjalistów. Bo psychiatrów dzieci i młodzieży mamy niewiele. Taką bazę oczywiście można znaleźć na stronie NFZ, ale można też wejść na stronę Życie Warto Jest Rozmowy. Tam jest baza miejsc pomocowych, która też geolokalizuje, czyli możemy kliknąć placówkę „najbliżej mnie”, są miejsca, gdzie można skorzystać z pomocy psychologicznej, psychiatrycznej dla dorosłych, dla dzieci. Jest ich kilka tysięcy. To ważne, żebyśmy szukali tych miejsc, żebyśmy nie zakładali, że ich nie ma. Nie jest dobrze, ale to nie znaczy, że nie ma miejsca, gdzie możemy poszukać pomocy, i że nie ma ludzi, którzy nam pomogą. Jak sami nie wiemy, jak ją zorganizować, to szukajmy dla siebie sojuszników. Jest takie powiedzenie, że żeby wychować dziecko, potrzebna jest cała wioska. Nie tylko ja, rodzic, bo potrzebuję psychiatry i psychoterapeuty i jeszcze pedagoga szkolnego, i pani od matematyki, żeby zaczęła moje dziecko inaczej traktować, inaczej od niego wymagać. Potrzebujemy tego, żebyśmy przestali się stygmatyzować i przestali bać się tego, że ktoś w moim otoczeniu jest w kryzysie zdrowia psychicznego. Statystyki pokazują jasno, że ponad 5 mln dorosłych

ludzi w tym kraju bierze leki na depresję. A często nam jest trudno powiedzieć komuś: „Mam depresję”, bo myślimy, że oni wszyscy są szczęśliwi, bo oni też założyli te maski, dokładnie takie same jak my.

Jakieś podsumowanie, jakaś porada dla rodziców, nauczycieli?

A.L.: Bądźmy na siebie uważni i naprawdę słuchajmy dzieci. Gdybyśmy my, dorośli, naprawdę z uważnością słuchali dzieci, nastolatków, ten świat by wyglądał zupełnie inaczej.

L.K.: Ja bym chciała powiedzieć, że kryzys jest naturalną częścią życia. My nie lubimy kryzysów, bo nas obezwładniają. Natomiast kryzys to jest taka sytuacja, w której nie jesteśmy w stanie osiągnąć dla siebie ważnych celów na drodze znanych sobie umiejętności. To znaczy, że

Jak ja mam opowiedzieć rodzicowi o tym, że mi się już nie chce żyć, że mnie boli tak bardzo, że ja tak bardzo cierpię

jak poznamy te umiejętności, to przezwyciężymy kryzys. Bo on mija. Im wcześniej poprosimy o pomoc, tym szybciej on minie i tym szybciej powrócimy do normy. Pewnie na jakiś czas, bo życie to taka przeplatanka. ●

Spotkania w Klubie „Wyborczej”

● Do Klubu „Wyborczej” zapraszamy na rozmowy o najważniejszych bieżących problemach Polski, Europy i świata. Gościliśmy w nim m.in.: Anne Applebaum i Donalda Tuska, Światłanę Cichanowską, Wacława Radziwiłowicza, Katarzynę Kłosińską i Michała Rusinka, Adama Bodnara, Adama Wajraka i Jacka Dukaja, himalaistę Nirmala Purję, a także ekipy dziennikarzy śledczych i sejmowych „Wyborczej”.

● Pakiet klubowy „Wyborczej” można kupić pod adresem: Wyborcza.pl/prenumerata. Wszystkie klubowe spotkania można obejrzeć na stronie **Wyborcza.pl/klub**

CZUŁE SŁÓWKA

Wagonik

Patryk Jaki: „Jesteśmy za dużym narodem z pięknymi tradycjami, aby był tylko małym zgwałconym wagonikiem w niemieckiej lokomotywie”

Michał Rusinek*



To bardzo szlachetna idea, żeby ofierze manipulacji i medialnej nagonki udzielić swoich łamów, by mogła wszystko wyjaśnić i wytłumaczyć się z ewentualnych potknięć. Taką możliwość – w formie wywiadu – dostał niedawno od Interii europoseł Patryk Jaki.

W wywiadzie tym cierpliwie tłumaczy on, że, po pierwsze, zdjęcie przedstawiające go przemawiającego w Parlamencie Europejskim w spodniach dresowych jest fotomontażem, a po drugie, że nie są to byle jakie spodnie dresowe, ale ostatni krzyk mody: „wszystkie najważniejsze domy modowe na świecie mają teraz w swojej ofercie garnitury z gumką, ze sznurkiem”. Można wnioskować, że wprawdzie w rzeczonym stroju pan europoseł w Parlamencie jeszcze nie przemawiał, ale jeśli się na to kiedyś zdecyduje, to krytykując go, wykażemy się modową ignorancją. Sprytne to posunięcie: każdy potencjalny krytyk Patryka Jakiego został przez niego sparaliżowany i unieszkodliwiony zawczasu.

● Nikt chyba nie wierzył, że krążące kilka lat temu zdjęcie tego samego polityka z psem oraz podpisem „Ja i mój rablador” było prawdziwe, ale Jaki i do niego się odnosi. Pies wklejony był specjalnie dość nieudolnie, a zdjęcie pojawiło się na satyrycznym portalu „ASZdziennik” – i było reakcją na wpis na prawdziwym profilu Jakiego, gdzie pojawiło się słowo „hatakumba” zamiast „hekatomba”. W wywiadzie dla Interii Jaki żali się, że wstawił na Facebooka swoje zdjęcie z żoną, ale „ktoś z tej fotografii wyciął żonę, wstawił psa i podpisał fałszywie”. Aż strach pomyśleć, co by było, gdyby ktoś podpisał zdjęcie fałszywie, nie wyciąwszy żony.

● Jaki tłumaczy się także, z podniesioną przyłbicą, ze wspomnianej „hatakumby”, określając ten wyraz mianem „literówki”. Literówka to – według słowników – błąd polegający na zamianie lub przestawieniu liter w jakimś słowie. W tym słowie mamy do czynienia z dwiema zamianami i jedną przestawką, jest to więc literówka potrójna – dość rzadkie zjawisko wśród literówek. Pod tym względem Patryk Jaki może się mierzyć z samym Donaldem Trumpem i jego słynnym tweetem z 2017 roku: „Despite the constant negative press covfefe”. Trump nie miał w zwyczaju przyznawać się do błędów, stwierdził więc, że napisał to, co chciał napisać, jednak komentatorzy podejrzewali, że chodziło mu o „coverage” – wówczas zdanie to można by rozumieć jako: „Pomimo ciągłych negatywnych relacji prasowych”. „Covfefe” różni się od „coverage”: zawiera jedną przestawkę i trzy zamiany, a więc o jedną więcej niż u Jakiego. Czy aż jedną, czy tylko jedną? Ocenę zostawiam Czytelnikom.

● Europoseł mówi jednak twardo: „To nie był mój wpis”. W przeciwieństwie do Trumpa nie przyznaje się do autorstwa słynnego neologizmu. „Mój profil na FB jest ogromny – mówi, trawestując Wyspiańskiego. – Każdego miesiąca ma kilka milionów użytkowników

ników i obsługuje go kilka osób. W tym wypadku tak było i zresztą było podpisane na dole, że to inny autor” – dopowiada już w stylu daleko odbiegającym od języka autora „Wesela”. Nie wyjaśnia jednak, jakie konsekwencje poniósł jego dyslektyczny, niedbały lub niedouczony współpracownik. Być może – żadne, bo wygląda na to, że europoseł w gruncie rzeczy bierze go w obronę. Kolejne zdanie wywiadu to już bowiem morderczy cios, po którym śmiech zamiera na ustach wszystkich szyderców: „To jest stara zasada technik manipulacji jeszcze z III Rzeszy, że jeżeli wkurza cię treść, to atakuj formę”. Szydercy czują się zbesztani i zawstydzeni, po czym na wszelki wypadek zaczynają dyskretnie sprawdzać w rodzinnych papierach, czy nie mieli dziadka w Wehrmachcie.

Kiedy już pierwsze zawstydzenie szydercom minie, to mogą zauważyć pewną niekonsekwencję: dlaczego arbiter elegancji, rozeznaný w światowych trendach mody, pogardza tymi, którzy ośmielią się skrytykować jakąś pokraczną formę językową? Chyba że przykładanie wagi do cudzej formy przystoi wyłącznie komuś o mentalności faszysty, natomiast przykładać uwagę do formy własnej – należy. Choć dobrze by było wtedy tę formę w miarę dobrze opinać.

● Wróćmy do wywiadu. Patryk Jaki mówi dalej o zagrożeniach dla Polski ze strony Zachodu i o chęci uczynienia z Polaków niewolników, która to chęć ponoć tkwi w mentalności Niemców. „Skaczemy, jak nam zagrają” – mówi europoseł, albo podważając taneczne umiejętności Polaków, albo wykażując pogardliwy stosunek do tańca, skoro sprowadza go do „skakania”. Albo wreszcie – łączy frazeologizm „tańczymy, jak nam zagrają” ze stadionowym, być może mu bliższym: „kto nie skacze, ten (i tu następuje jakaś obelga)”. Następnie przeskakuje sam Jaki z frazeologizmu do metafory – i jest to istne salto mortale: „A my, z całym szacunkiem, nie jesteśmy Czechami czy Słowakami. Jesteśmy za dużym narodem z pięknymi tradycjami, aby był tylko małym zgwałconym wagonikiem w niemieckiej lokomotywie”.

Po pierwsze, szykuje się skandal dyplomatyczny, bo wynika z niego, że Czesi i Słowacy to narody o tradycjach niepięknych, a więc zasługujące na metaforę „małych zgwałconych wagoników w niemieckiej lokomotywie”. Po drugie, rozumienie metafory polega zwykle na jej wizualizacji, a w tym przypadku mamy do czynienia z perwersyjno-surrealistycznym obrazem. Perwersyjnym, bo sugerującym szczególny rodzaj parafilii, nieopisanej dotąd w literaturze fachowej, z pewnością ciekawej pod względem językowym („pociąg do pociągów”); surrealistycznym, bo insynuującym, że małe wagoniki znajdują się w lokomotywach, jak dzieci w łonach matek (być może młodociani miłośnicy kolei tak sobie wyobrażają relacje między pojazdem szynowym o własnym napędzie i pojazdami szynowymi bez napędu). Chociaż skoro wagoniki te zostały zgwałcone, to być może lokomotywa jest metaforą szczytnego domu, w którym ofiary gwałtu szukają schronienia?

● Może jednak europoseł wcale sam nie udzielił wywiadu Interii? Może udzieliła go ta sama osoba, która kiedyś napisała na jego Facebooku o „hatakumbie”? Wiele na to wskazuje, bo przecież zarówno „hatakumba”, jak i „lokomotywa” odnosily się do Niemiec. Wygląda na to, że niedługo przeczytamy gdzieś kolejny wywiad, w którym Patryk Jaki wszystko wyjaśni. A wyjaśniając – zapewne znów coś zamąci, więc będzie musiał i to wyjaśniać. I tak w nieskończoność będziemy czytali Patryka Jakiego i – sztydząc z jego upiornych metafor – będziemy przy okazji nasiąkali jego mądrościami dotyczącymi polityki zagranicznej? Być może o to w gruncie rzeczy mu chodzi? ●

***Michał Rusinek** – wykłada (literaturoznawstwo na UJ), przekłada (książki), układa (wierszyki, piosenki, felietony). Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, dziś prowadzi fundację jej imienia. Feminista

SABOTAZ KONTROLOWANY

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Czyli dlaczego Ziobro będzie przez najbliższe półtora roku atakować własny rząd

Dominika Wielowieyska

L bigniew Ziobro nie będzie się cieszył ze zwycięstwa PiS. Bo to wzmocni jego największego wroga – Mateusza Morawieckiego.

Niemal wszystko, co dziś dzieje się w Zjednoczonej Prawicy, jest zdeterminowane przez konflikt między liderem Solidarnej Polski, ministrem sprawiedliwości Zbigniewem Ziobrą a premierem Mateuszem Morawieckim. Bo obaj widzą siebie w roli lidera populistyczno-nacjonalistycznej prawicy z chwilą, gdy Jarosław Kaczyński odejdzie na polityczną emeryturę. Działania Ziobry są nastawione na udowodnienie Kaczyńskiemu, że nie ma większości w Sejmie i tylko on, Ziobro, tę większość gwarantuje. A skoro tak, to najlepiej, aby został premierem w miejsce Morawieckiego, bo wtedy byłby spokój. Ale nic nie wskazuje, by Kaczyński rozważał taką opcję. Dlatego Ziobro myśli już o tym, co będzie po wyborach w 2023 roku.

JAK SIĘ POZBYĆ ZIOBRY?

Zalóżmy, że PiS wygrywa wybory w przyszłym roku. Z Konfederacją lub bez niej tworzy rząd. Zwycięstwo idzie na konto Morawieckiego, który po rządach przez 1,5 kadencji zdołał utrzymać Zjednoczoną Prawicę u władzy. W tym wyścigu po schemat po Kaczyńskim pozycja premiera nie zwykle się umacnia, a sytuacja Ziobry staje się fatalna. Siłą rzeczy więc dla Ziobry dobrą wiadomością będzie przegrana PiS w wyborach. Będzie mógł od razu zwalić winę na Morawieckiego, osłabić jego pozycję, tym bardziej że premier nie jest popularny w aparacie PiS. Tym samym szanse Ziobry na przywództwo w obozie prawicy, a przynajmniej w jego dużej części, bardzo wzrosną. Dlatego Solidarna Polska będzie przez najbliższe półtora roku atakować swój rząd.

– Prezes najchętniej by Ziobrę wyeliminował i dał dobre miejsca jego ludziom w zamian za to, że się go wyrzekną. Ale jak na razie ta operacja ma niewielkie szanse na realizację – mówi jeden z moich rozmówców, znających relacje wewnątrz ZP. Napięcie w sprawie list wyborczych będzie rosło. Ziobro będzie stawiał warunki, by zagwarantować sobie dobre, tzw. biorące miejsca na tych listach. Ponadto konflikt dotyczący Krajowego Planu Odbudowy wcale nie został w Zjednoczonej Prawicy opanowany i będzie trwał do wyborów.

Owszem, Ziobro musiał ustąpić w sprawie Funduszu Odbudowy, zaprzeczył wszystkiemu, co do tej pory mówił on i jego ludzie: że nikt nie zamierza wykonywać



wyroku TSUE, bo jest bezprawny, że tracimy suwerenność za unijne srebrniki, że nie potrzebujemy tych pieniędzy z Funduszu Odbudowy, bo sobie pożyczymy gdzie indziej. I że Fundusz Odbudowy generalnie jest zły, bo bardzo wiąże ze sobą kraje członkowskie UE wspólnym długiem, a to już prawie federalizacja wspólnoty. Ponadto słyszeliśmy od polityków SP, że nie chodzi tylko o likwidację Izby Dyscyplinarnej, bo Ziobro dokona zmian związanych z tą Izbą w ramach szerokiej „reformy” sądownictwa. I że w ogóle to zaraz przestaniemy płacić składki do unijnego budżetu. I co? I nic. Ziobro okazał się – wedle jego własnej terminologii – „miększo-nem”, bo zagłosował za ustawą o likwidacji Izby Dyscyplinarnej SN. Co więcej, wiceminister sprawiedliwości Sebastian Kaleta pojechał do Brukseli z ministrem Waldemarem Budą, aby upewnić się, o co chodzi z kamieniami milowymi w sprawie sądownictwa, czyli warunkami, pod którymi Unia wypłaci nam pieniądze z Funduszu Odbudowy. Dlaczego Kaleta pojechał? Wersja ziobryistów brzmi tak: „Kancelaria premiera przez kilka tygodni oponowała przeciw naszym poprawkom do ustawy o SN, wskazując, że to wykracza poza wynegocjowane kamienie. Celem wizyty w Brukseli było ustalenie, jak KE ze swojej perspektywy będzie interpretować kamienie, w szczególności w świetle nowych orzeczeń TSUE. Okazało się, że interpretacja KE jest zbieżna (o dziwo) z naszą, dlatego nasze poprawki finalnie przeszły w głosowaniu nad projektem prezydenckim” – twierdzi jeden z moich rozmówców.

UTRATA CNOTY

Ale jeśli Morawiecki myślał, że wysyłając Kaletę i Budę do Brukseli, uporał się z brykającą Solidarną Polską, to głęboko się mylił. Dlatego że ludzie Ziobry już wieszczą – nie bez podstaw – że ustawa prezydenta o Izbie Dyscyplinarnej nie wystarczy, aby odblokować Fundusz Odbudowy. I że ostatecznie pieniądze do Polski nie popłyną, bo Komisja Europejska ma szerokie pole do interpretacji, czy kamienie milowe zostały zrealizowane. Wystarczy, że jakiś sędzia nie zostanie przywrócony do orzekania, i wszystko na nic. Szefowa Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen już została bardzo ostro skrytykowana w Parlamencie Europejskim za zbyt duże ustępstwa wobec PiS i musiała złożyć jednoznacznie deklarację, że będzie się bardzo skrupulatnie przyglądać poczynaniom rządu w Warszawie, zanim zgodzi się wysłać do Polski pierwsze euro z FO. Nie tylko Parlament Europejski jest sceptyczny, von der Leyen ma też opozycję w Komisji Europejskiej, a także wśród krajów członkowskich, które będą na Radzie Europejskiej podnosić swoje zastrzeżenia.

Ziobro poczuł więc wiatr w żaglach. Będzie mógł oskarżyć Morawieckiego, że dał się zwieść Unii i że – jak lubi mawiać sam Jarosław Kaczyński – cnotę stracił, a rubelka nie zarobił. I jednocześnie partia ministra sprawiedliwości będzie sabotować wszelkie poczynania ekipy Morawieckiego

tak, aby ostatecznie pieniądze z Unii nie napłynęły i by Komisja Europejska uznała, że warunek „kamieni milowych” nie został spełniony.

Bo nie tylko o sądownictwo i prawo-rządność toczy się batalia. Solidarna Polska wzięła się za fundamentalną krytykę całego Krajowego Planu Odbudowy, który dotyczy bardzo różnych dziedzin. Odpowiedzialny za negocjacje z Unią w sprawie KPO minister Buda stwierdził w Radiu ZET: – Solidarna Polska uczestniczyła w tym procesie akceptacji Krajowego Planu Odbudowy jak każdy inny podmiot rządu. W trybie obiegowym dokument został przyjęty jednomyślnie – powiedział Buda. Na co odezwał się wiceminister Kalata na Twitterze: „Niestety, ale jest to nieprawda. Finalne brzmienie kamieni milowych nie było konsultowane w ramach rządu. Również ten kamień dotyczący sądownictwa. Na zaopiniowanie pierwotnej wersji KPO (rok temu, w innej treści) mieliśmy jako Ministerstwo Sprawiedliwości dwie godziny”.

Potem do pieca dorzucił Ziobro: – Ostateczna treść tzw. kamieni milowych nie była przedmiotem ustaleń ani rządowych, ani politycznych z Solidarną Polską. W tym sensie nie czujemy się zobowiązani do realizacji tych wszystkich postanowień, które są tam zawarte, bez wcześniejszej jej oceny, a będziemy jej dokonywać wyłącznie pod kątem interesu Polski i Polaków.

Dodał, że w „kamieniach milowych” znalazły się punkty mające charakter neutralny, ale są też i takie, które budzą zasadnicze wątpliwości. Wymienił opodatkowanie używania aut spalinowych. – Nie będziemy zgadzać się na tego typu ideologiczne szaleństwa, które będą uderzać w kieszenie Polaków – oświadczył Ziobro. Rządu przed nim bronił rzecznik rządu Piotr Müller. „Chcemy w inny sposób zbudować ten system – dawać większe ulgi na rzecz samochodów elektrycznych, niskoemisyjnych”; „nie chcemy podwyższać aktualnych opłat za rejestrację” – oświadczył.

Następnie odezwał się sam Morawiecki: „Wszystkie wskaźniki, cele i kamienie milowe zostały przyjęte 30 kwietnia 2021 roku przez całą Radę Ministrów. Wszyscy, którzy wtedy zapoznali się z dokumentem, doskonale wiedzą, co w nim jest”.

Ale Ziobro i Kalata mają rację: czasu na zapoznanie się z nie do końca aktualną wersją KPO było bardzo mało. I prawdopodobnie było to intencjonalne, bo Morawiecki chciał nową wersję dokumentu przepchnąć jak najszybciej, obawiał się, że ziobryści zaczną pomstować i krytykować, przez to von der Leyen nie przyjedzie do Warszawy i nie ogłosi akceptacji KPO. I byłaby to klęska premiera.

Dodajmy, że w niektórych krajach UE Krajowy Plan Odbudowy był publicznie zaprezentowany w krajowym parlamencie. Premier Włoch Mario Draghi zastosował ten manewr, aby KPO był przedmiotem politycznego konsensusu. Morawiecki tego nie zrobił.

ZATARCIE ZŁEGO WRAŻENIA

W poprzedni weekend odbyło się spotkanie rządu SP w sprawie tzw. kamieni milowych i Krajowego Planu Odbudowy. W przyjętej uchwale napisano m.in. że Komisja Europejska wychodzi poza traktato-

we kompetencje, próbując narzucić Polsce niekorzystne rozwiązania z zakresu prawa i gospodarki. SP nie podobają się też inne „kamienie milowe” – jak ozusowanie wszystkich umów cywilnoprawnych i jednolitej umowy o pracę, zmiany w regulaminach Sejmu i Senatu, ale także elementy równościowe w procesach przyznawania grantów.

Z deklaracji partii ziobrystów wynika, że będą głosować przeciwko niektórym projektom, które realizują założenia KPO. Gdy słyszy się liczne wypowiedzi przedstawicieli Solidarnej Polski, to można dojść do wniosku, że ta partia fundamentalnie się nie zgadza z rządem, który współtworzy, i już dawno powinna pójść swoją drogą. No ale oczywiście Ziobro tego nie zrobi, bo mu się to nie opłaca. Woli sabotaż wobec polityki własnego rządu. I nie tylko dlatego, aby zatrzeć złe wrażenie uległości wobec Brukseli w głosowaniu nad projektem prezydenckim. Doskonale zdaje sobie sprawę z nastrojów w klubie PiS, a tam spora liczba posłów ma poczucie, że Morawiecki nic nie wynegocjował w Brukseli i przez jego nieudolność PiS musi się wciąż cofać, akceptować rzeczy, z którymi się nie zgadza. Niektórzy posłowie nieoficjalnie posuwają się nawet do oskarżeń, że Morawiecki wyprowadza Kaczyńskiego w pole: co innego mówi w Warszawie, a na co innego zgadza się w Brukseli. Winą za ten stan rzeczy obarczają też człowieka Morawieckiego, ministra ds. europejskich Konrada Szymańskiego. Ziobrze może więc kibicować spora część klubu PiS.

Minister sprawiedliwości nie tylko w sprawie KPO ustawia się w pozycji krytyka czy recenzenta polityki rządu. Wcześniej w Lublinie ogłosił bowiem, że zażąda dyskusji na posiedzeniu Rady Ministrów w sprawie gwałtownie rosnących cen węgla i wsparcia dla indywidualnych odbiorców. W najbliższym czasie ziobryści co chwila będą się czegoś domagać od swojego rządu i udawać, że są opozycją.

Jednocześnie zgłaszają rozliczne, drastyczne pomysły, aby przyciągnąć uwagę radykalnego, prawicowego elektoratu. Kajdanki używane przewencyjnie podczas konwojowania nieletniego; wydłużenie poprawczaka o trzy lata, „jeśli resocjalizacja nie przyniosła efektów”; obligatoryjne kierowanie tam nieletnich, którzy popełnili najcięższe przestępstwa. To według Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka najgorsze przepisy z projektu o resocjalizacji resortu sprawiedliwości.

STRZELANIE DO UNII

Kaczyński rozumie grę Ziobry, dlatego nie zamierza oddawać pola Solidarnej Polsce. Poseł PiS Marek Suski chodzi po mediach i opowiada antyunijne głupstwa w stylu: trwa walka z okupacją brukselską, Unia jest jak Stalin, bo chce zniszczyć polskie państwo. Ale myli się ten, kto sądzi, że to tylko wysoki posła, którego intelekt nie jest specjalnie ceniony w Sejmie. To świadoma taktyka Kaczyńskiego – wysyła Suskiego do mediów, aby utrzymać wyborców skrajnie antyeuropejskich i nie oddawać ich Ziobrze. Podobną rolę odgrywa minister edukacji Przemysław Czarnek. On też jest bardzo aktywny i nie daje się Ziobrze prześcignąć w zgłaszaniu najbardziej kuriozalnych koncepcji, które zadawałają prawicowych radykałów i funda-

WIERSE POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

George Szirtes*

Kiedy już zaczęli

*Kiedy już zaczęli
trudno im było przestać. Czas
zwijał się w kulę*

*i pędził ze wzgórze
swoich intencji, miażdżąc
tych, co na stromej ścieżce;*

*przyśpieszał
w miastach. Był dzikszyszy,
coraz większy*

i zdecydowanie za ciężki.

Bucza 2022. Ekshibicjoniści

*Rowerzysta leży
na drodze w doskonałym bezruchu,
przedstawia swoją sztukę
nieoddychania. Spójrzcie
na szkarłatne paznokcie tamtej kobiety
wystające ze śmierci.
Trzeba jej dać
nagrodę. Koniecznie. Ktoś
powinien to rozważyć
i zanotować jej imię.*

przełożyła Krystyna Lenkowska



***George Szirtes** - ur. w 1948 r. brytyjski poeta i tłumacz węgierskiego pochodzenia. Do Wielkiej Brytanii przyjechał jako ośmioletni uchodźca po napaści ZSRR na Węgry.

mentalistów. Przykładem jest nowy podręcznik do przedmiotu historia i terażniejszość, który zastąpi wiedzę o społeczeństwie. A tam: czytamy o „ideologii gender”, „intelektualnych zboczeniach europejskich”. Dowiadujemy się też, że Unia Europejska lansuje ateizm i wciela go w życie „metodami urzędniczo-administracyjnymi”. Zapewne nauczyciele nie będą sięgać po to dzieło, które nie jest podręcznikiem, ale partyjną, antyunijną broszurą. Ale to akurat Czarńka i Kaczyńskiego tak bardzo nie martwi. Najważniejsze, że wolne media zaalarmowały opinię publiczną. I że o tym kuriozum usłyszeli wielbicieli Ziobry.

Czarnek ma też inne pomysły. MEiN chce, by już od września strzelać uczyli się czternasto- i piętnastolatki. A uczniowie, którzy osiągną pełnoletność, mają przejść kurs z użyciem broni bojowej. No to jest miód na serce fanów Konfederacji, którzy mają obsesję na punkcie posiadania broni. Kaczyński więc świadomie poprzez takie, a nie inne wybory personalne zabezpiecza skrajnie prawicową flankę.

Ale czy to uchroni prezesa PiS przed potężnymi turbulencjami w jego własnym obozie? Zarządzanie formacją, któ-

rej część obstawia przegraną w wyborach, jest zajęciem skrajnie trudnym. Może dlatego podczas wtorkowej konferencji prasowej wicepremier Kaczyński nie chciał jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, czy i kiedy odchodzi z rządu. Owszem, bardzo by chciał spokojnie urzędować na Nowogrodzkiej, ale do rządu poszedł po to, aby rozładowywać napięcie między Ziobrą a Morawieckim. A to wcale nie osłabiło. Wręcz przeciwnie: można przypuszczać, że wojna wewnątrz ZP będzie się nasilać.

Ponadto marsz do prawej ściany oznacza, że PiS może tracić poparcie wśród wyborców bardziej umiarkowanych, którzy przede wszystkim zwracają uwagę na swoją kondycję finansową, a ta się pogarsza z dnia na dzień i nic nie wskazuje na to, aby ten trend się odwrócił. Wojna z Unią Europejską trwa, pieniądze z Funduszu odbudowy nie płyną. Może niektórzy z tych wyborców wyciągną z tego wnioski. Ale w Zjednoczonej Prawicy przynajmniej Ziobro bardzo się z tego cieszy. ●

Zarządzanie formacją,
której część obstawia przegraną,
jest dla Kaczyńskiego
zajęciem skrajnie trudnym

GROŻBA WOJNY ATOMOWEJ

Czy Putinowi zadrży ręka?

Doktryna militarna Rosji przewiduje użycie broni jądrowej, gdyby Rosja przegrywała konwencjonalną wojnę

Bartosz T. Wieliński

Andrieju Antonowiczu, czy to na pewno ćwiczenia? Nie stanie się nic złego? – pytał Leonid Breżniew, sekretarz generalny KPZR, stojącego za nim ministra obrony, marszałka Andrieja Grieczkę, który pokazywał czerwony guzik. Breżniew, błądy, nie kwapił się, by go nacisnąć.

Był 1972 r., na Kremlu trwały ćwiczenia sztabowe. Po raz pierwszy (i ostatni) w historii ZSRR sprawdzano gotowość przywódców do wydania rozkazu uderzenia nuklearnego. Po naciśnięciu przez Breżniewa czerwonego guzika do trzech wyrzutni, w których zainstalowano pociski z atrapami głowic nuklearnych, miał zostać przesłany rozkaz odpalenia. Breżniew nie dowierzał, że to tylko test. Gdy nacisnął guzik, drżały mu ręce.

Tej zimnowojennej historii – opowiedzianej przez generała Adriana Danilewicz, jednego z twórców radzieckiej doktryny nuklearnej – jeszcze niedawno słuchało się jak zapisu z innego świata. 13 lat temu nowo wybrany amerykański prezydent Barack Obama wzywał do stworzenia świata bez broni atomowej. Czerwony guzik, o którym wówczas rozpisywały się media, nosił napis „peregruzka”, czyli po rosyjsku „reset”. Sekretarz stanu Hilary Clinton wręczyła go szefowi rosyjskiej dyplomacji Siergiejowi Ławrowowi podczas ich pierwszego spotkania jako symbol woli odbudowy relacji. 4 kwietnia 2009 r. Obama i prezydent Dmitrij Miedwiediew, z którym wiązano wielkie nadzieje, że uczyni z Rosji demokratyczne i nowoczesne państwo, podpisali nowy układ rozbrojeniowy. Nowy limit pocisków z głowicami jądrowymi i przenoszących je samolotów ustalono dla każdego kraju na 1550. Za zagrożenie uznawano wówczas programy atomowe Iranu i Korei Północnej.

Aż nad ranem 24 lutego 2022 r. Władimir Putin, ogłaszając w telewizyjnym orędziu inwazję na Ukrainę, po raz pierwszy pogroził światu bronią jądrową. – Ktokolwiek próbowałby nam przeszkadzać, a tym bardziej stwarzać zagrożenie dla naszego kraju, dla naszych obywateli, musi wiedzieć, że odpowiem Rosji będzie natychmiastowa i doprowadzi do takich konsekwencji, jakich nigdy nie doświadczyliście w swojej historii – mówił.

Zimnowojenna rzeczywistość wróciła.

POD WODĄ I NA LĄDZIE

Żaden kraj świata nie ma tak wielkiego arsenału jądrowego jak Rosja. Szacuje się go na prawie 6 tys. głowic. Mniej więcej jedna trzecia została zamontowana w raketach. Dwa dni po inwazji, by wzmocnić przekaz Putina dla NATO o „konsekwencjach” mieszania się w wojnę w Ukrainie, na ulicach Moskwy pojawiły się potężne, 16-kilowe wojskowe ciężarówki dźwigające długie na 22 m grube, stalowe cygara. To mobilne wyrzutnie pocisków SS-27 Topol-M. Załogi w ciągu kilku minut od otrzymania rozkazu są w stanie postawić cygaro do pionu i odpalić raketę przenoszącą trzy głowice z ładunkami o mocy 500 kiloton każda. Topol ma ponad 10 tys. km zasięgu. Odpalony z moskiewskiej ulicy doleciałby do Los Angeles i zamienił miasto w ruiny. Po Rosji jeździ co najmniej kilkadziesiąt takich wyrzutni. Są nieustannie w ruchu, by Amerykanie nie mogli ich

zniszczyć w uprzedzającym ataku. Do tego kilkadziesiąt stacjonujących w silosach starszych rakiet typu SS-18 (w kodzie NATO Satan) i ponad setka najnowocześniejszych rosyjskich rakiet międzykontynentalnych Jars, które mogą przenosić nawet dziewięć głowic nuklearnych.

Pod pokładem „Kniazia Olega”, najnowszego rosyjskiego okrętu podwodnego o napędzie jądrowym, znajduje się 16 wyrzutni pocisków międzykontynentalnych typu Bulawa. Rosyjska flota rakietowych okrętów podwodnych na Morzu Północnym i Pacyfiku liczy dziewięć okrętów. Przenoszą 144 rakiety, w których zamontowano ponad 600 głowic. Do tego dodajemy 11 ponaddźwiękowych bombowców typu Tu-160 i 55 oblatanych jeszcze w latach 50. Tu-95 napędzanych silnikami turbośmigłowymi. Obydwa typy samolotów mogą przenosić pociski rakietowe z głowicami jądrowymi.

Czy Putin pójdzie śladem Chruszczowa? Jeśli tak, to jego czas jest policzony

To siły strategiczne, które mają niszczyć najważniejsze cele NATO: miasta, bazy wojskowe, węzły komunikacyjne, okręty flagowe. Rosjanie mają do 2 tys. głowic taktycznych. To ładunki o mniejszej mocy, które służą do niszczenia zgrupowań wojsk przeciwnika. Przenosić je mogą rakiety typu Iskander i pociski manewrujące Kalibr, którymi Rosja od lutego ostrzeliwuje Ukrainę.

Czy należy się bać gróźb nuklearnych Putina?

1 marca to pytanie amerykańscy dziennikarze zadali prezydentowi USA Joemu Bidenowi. Odpowiedział krótko: „Nie”.

WIDOK PO WOJNIE

25 stycznia 1995 r. w ośrodku raketowym na norweskiej wyspie Andøya grupa naukowców wystrzeliła pocisk, który miał wynieść na wysokość 1,5 tys. km aparaturę do badania zorzy polarnej nad Spitsbergem. W kosmos poleciała wówczas zaledwie 11-metrowa rakiet Black Brant XII.

Naukowcy nie wiedzieli jednak, że rosyjscy operatorzy radaru wczesnego ostrzegania uznają ją za odpalony z amerykańskiego okrętu podwodnego międzykontynentalny pocisk typu Trident. Wszczęto alarm i na biurku przed Borysem Jelcynem położono atomową walizkę.

Rosjanie nie ujawnili, jak tego dnia przebiegały wydarzenia na Kremlu. Możliwe, że Jelcyn uznał to za błąd systemu. Rozpoczęcie ataku jądrowego nie mieściło mu się w głowie. Tak jak w 1972 r. naciśnięcie atomowego guzika nie mieściło się w głowie Breżniewowi. Ówczesny gensek wcześniej wysłuchiwał prognoz wojskowych dotyczących skutków wojny atomowej. Zakładano, że w ZSRR od razu zginie 80 mln spośród 240 mln mieszkańców, do zamieszkania będą nadawać się obszary na Syberii, zniszczone zostanie 85 proc. przemysłu, siły zbrojne praktycznie przestaną istnieć.

Jeszcze bardziej szczegółowe informacje amerykańscy generałowie przedstawili kilka lat wcześniej prezydentowi USA Richardowi Nixonowi podczas podobnych

ćwiczeń. By zapewnić większy realizm, Nixon wsiadł na pokład „samolotu zagłady”, czyli powietrznego centrum dowodzenia, z którego prezydent kierowałby krajem po wybuchu wojny jądrowej. Nixon, wysłuchawszy prognoz, był nie mniej przejęty niż Breżniew.

A jak, mając przed sobą guzik, zachowałby się Władimir Putin?

DOKTRYNA ZNISZCZENIA

Na razie grozi, wspierają go kremlowsy propagandiści.

Zachód wydaje się tym nie przejmować, choć nie do końca tak jest. Gdyby Putin nie groził atomem, ukraińscy piloci już dwa miesiące temu w amerykańskiej bazie lotniczej w Ramstein w Niemczech przejęliby polskie migi-29, flota NATO operowałaby na Morzu Czarnym. Pomoc NATO dla Ukrainy jest jak balansowanie na linie, by nie dać Rosji pretekstu do odwetu. Pamiętając o kryzysie, jaki wywołał start rakiety w Norwegii, Amerykanie odwołali test swojej nowej rakiety międzykontynentalnej. Dmuchałi na zimne.

– Wszystko jest w naszej doktrynie – odpowiadał na początku maja wiceszef rosyjskiej dyplomacji Aleksander Gruszeko pytany przez dziennikarzy, czy wobec niepowodzeń w Ukrainie (miała zostać podbita w kilka dni) Rosja użyje broni jądrowej. ZSRR, mimo że planował wojnę z NATO, zakładając użycie broni masowego rażenia na wielką skalę, oficjalnie zarzekał się, że nigdy nie sięgnie po nią jako pierwszy. Władze Rosji zrezygnowały z tych ograniczeń. Obecna doktryna przewiduje użycie broni jądrowej, gdyby Rosja przegrywała wojnę konwencjonalną. W dokumencie z 2020 r. znalazł się zapis, że użycie broni jądrowej może mieć na celu „zapobieżenie eskalacji działań wojennych oraz ich zakończenie w sposób korzystny dla Federacji Rosyjskiej i jej sojuszników”. To jak ułła pasuje do sytuacji w Ukrainie.

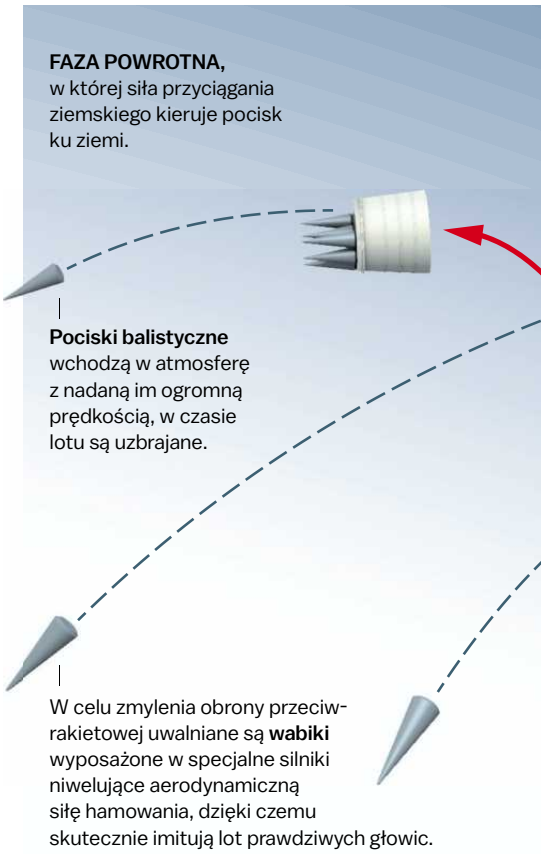
Ale uderzenie atomowe na Kijów czy Odesę tylko utwardziłoby opór. A do tego zmobilizowało państwo NATO do zaangażowania się w konflikt. Oznaczałoby też skażenie radioaktywne, które błyskawicznie dotarłoby do Rosji. Stosowana przez Rosjan taktyka zmasowanego ostrzału artyleryjskiego zajmuje więcej czasu, ale przynosi efekty.

Rosja, by zastraszyć Zachód i Ukrainę, mogłaby zdetonować ładunek jądrowy na którymś z poligonów. Nikt by nie ucierpiał, ale świat dostałby jasny sygnał, że Putin nie cofnie się przed niczym. To jednak pozbawiłoby złudzeń tych wszystkich, którzy liczą, że rosyjskiemu prezydentowi można jakoś przemówić do rozumu.

Te rozważania zakładają jednak racjonalność rosyjskiego prezydenta. Czy po 100 dniach wojny w Ukrainie i serii rosyjskich niepowodzeń nie jest to hipoteza na wyrost?

Gdy Nikita Chruszczow w 1962 r. postanowił rozmieścić rakiety na Kubie, USA nie dały się zastraszyć. Prezydent John F. Kennedy powiedział „sprawdzam”, ogłosił blokadę Kuby i zagroził atakiem na radzieckie instalacje wojskowe na wyspie. Chruszczow przeliczytował i musiał się wycofać. Dwa lata później został usunięty ze stanowiska.

Putin, choć jako były oficer KGB panuje nad emocjami, idzie śladami Chruszczowa. ●



Rosyjskie pociski balistyczne

SS-21 Scarab (Tocзка)
zasięg: 120 km
masa startowa: 2 t
głowica: 1 x 100 kt 6,4 m

SS-N-26 (Jakhont)
zasięg: 300 km
masa startowa: 3,9 t
głowica: 1 x 300 kg 8,9 m

SS-26 (Iskander)
zasięg: 500 km
masa startowa: 3,8 t
liczba głowic: 1 x 700 kg 7,3 m

SSC-8
zasięg: 2000 km
masa startowa: 2,3 t
liczba głowic: 1 x 450 kg 8 m

SS-19 Stiletto (UR-100N)
zasięg: 10 000 km
masa startowa: 93 t
liczba głowic: 6 x 550 kt 21 m

SS-25 Sickle (Topol)
zasięg: 10 500 km
masa startowa: 45 t
liczba głowic: 1 x 550 kt 21 m

SS-27 Sickle-B (Topol-M)
zasięg: 10 500 km
masa startowa: 47,2 t
liczba głowic: 1 x 1000 kt 22,7 m

SS-29 (Yars)
zasięg: 10 500 km
masa startowa: 46 t
liczba głowic: 3-6 x 100-300 kt 33 m

SS-18 Satan (Wojewoda)
zasięg: 16 000 km
masa startowa: 211 t
liczba głowic: 10 x 550-750 kt 36,6 m

SS-X Satan II (Sarmat)
zasięg: 10 000+ km
masa startowa: 208 t
liczba głowic: 10 x 750 kt 35,5 m



FOT. EVGENY BIYATOV/SPUTNIK/AFP/EAST NEWS

GŁOWA BOBRA W CEBULI



**Dla Ukrainy i świata była „carycą propagandy”,
a teraz jest „zbrodniarką wojenną mającą
krew na rękach”**

Wiktoria Bieliaszyn

ostatniej zamieścili przy jej nazwisku uzasadnienie: „Działania, które stwarzają realne i/lub potencjalne zagrożenie dla interesów narodowych, bezpieczeństwa narodowego, suwerenności i integralności terytorialnej Ukrainy, przyczyniają się do działalności terrorystycznej i/lub naruszają prawa i wolności człowieka i obywatela, interesy społeczeństwa i państwa, prowadzą do okupacji terytorium, wywłaszczenia lub ograniczenia praw własności”.

Kim jest jedna z ulubionych, najczęściej nagradzanych przez Władimira Putina dziennikarek, sprawująca nieprzerwanie od 2005 r. funkcję redaktorki naczelnej telewizji Russia Today? Zadają to pytanie najbardziej znanemu rosyjskiemu fantascie Dmitrijowi Gluchowskiemu, przed laty dziennikarzowi redakcji Russia Today, jeszcze zanim stała się propagandową machiną. Sam jest dzisiaj poszukiwany przez władze listem gończym za „dyskredytację rosyjskiej armii” oraz „oskarżanie Władimira Putina o rozpętanie wojny”. I Gluchowski nie chce już mówić o Simonian. Dwa lata wcześniej określał ją jako „utalentowaną menedżerkę”, która nieprzypadkowo, nie tylko ze względu na „cechy osobiste”, wygrała w 2005 r. – w wieku zaledwie 25 lat – walkę o stanowisko redaktorki naczelnej kanału Russia Today. – Była dziewczynką, której udało się rozwinąć ten projekt. Wtedy budziła mój szacunek. Teraz, czy-

tając jej wpisy np. o Nawalnym, mam wrażenie, że mam do czynienia z krzykami z dna piekła – mówił wtedy Gluchowski.

DZIENNIKARSTWO, CZYLI PROPAGANDA

Maria Baronowa, do niedawna współpracowniczka Simonian, która w lutym odeszła z telewizji Russia Today w ramach protestu wobec wojny, „nie może powiedzieć o niej złego słowa”. Z rozmowy z nią wnioskuję, że nie dlatego, że – jak twierdzą anonimowi dziennikarze redakcji – od 2019 r. wszystkich byłych pracowników RT obowiązuje umowa, zgodnie z którą przez 20 lat nie mogą zdradzać kulis pracy w niej, ale przez szczera wdzięczność.

– Margarita jest najuczciwszym, najbardziej przyzwoitym człowiekiem spośród ludzi mających w Rosji władzę. Tworzy idealne warunki pracy dla wszystkich, którzy nie chcą mieć do czynienia z liberalnymi bękartami – podkreśla Baronowa. Zapytana o ocenę działań Simonian w ostatnich miesiącach tłumaczy mi, że osobiście uważa „zabijanie rosyjskiej ludności zamieszkującej wschodnią Ukrainę w ramach wojny Rosji ze Stanami Zjednoczonymi oraz NATO”, które zawsze chciały „ograbzić i osłabić kraj”, za niedopuszczalne. Później dodaje,

że szefowa redakcji Russia Today jako przedstawicielka „czwartej władzy” służy Rosji i jej kierownictwu, akceptując autorytarność reżimu i wykorzystując schematy, które od lat funkcjonują w USA.

– Ona od lat wie, że wolność słowa nie istnieje, że dziennikarstwo, niezależnie od tego, czy jest lojalne wobec władzy, czy liberalne, rosyjskie, amerykańskie czy europejskie, to propaganda. Jeśli pani uważa inaczej, nie mamy o czym rozmawiać – mówi.

– To potwór współodpowiedzialny za tę wojnę – słyszę od Mariny Owsiannikowej, byłej pracownicy państwowej telewizji Pierwyj Kanał, która w marcu zaprotestowała na wizji, wdzierając się w trakcie wieczornego wydania wiadomości w kadr z plakatem: „Rosjanie przeciwko wojnie. Nie wierzyć propagandzie. Tu was okłamują”.

– Simonian od lat odczłowiecza w swojej propagandowej narracji Ukraińców w oczach Rosjan, a dzisiaj wprost nawołuje do ich zabijania, do wojny atomowej – zwraca uwagę Owsiannikowa, która przed laty studiowała z nią dziennikarstwo na tym samym uniwersytecie w Krasnodarze. – W młodości była prostą, ale ambitną dziewczyną, usposobieniem przypominającą handlarke na bazarze. Nie pomyślałabym wtedy, że stanie się takim potworem – dodaje.

ZEPSUTA AMERYKA

Przeszłość propagandystki nie jest do końca jasna. Pochodząca z biednej, ormiańskiej rodziny córka montera lodówek i bazarowej handlarki kwiatami, wychowująca się w domu bez toalety, w błyskawicznym tempie robi karierę. Nie ma rzekomo koneksji,

Oddani widzowie, czytelnicy oraz koledzy po fachu najczęściej mówią do niej „Margo”. Dla Ukraińców i świata od lat jest „carycą propagandy”, „tubą Kremła”, „urzędniczką reżimu”, a teraz także „zbrodniarką wojenną mającą krew na rękach”.

Przedstawiciele rosyjskiej opozycji, znający śledztwa Fundacji Walki z Korupcją Aleksieja Nawalnego, nierzadko mówią o niej „złodziejka” lub „zjadaczka bobrów” – ostatni przydomek zyskała, publikując przepis na „głowę bobra w cebuli”, będącą podobno jednym z jej ulubionych dań. A wierzący propagandzie Rosjanie widzą w niej kobietę sukcesu i prawdziwą patriotkę, kochającą Rosję ponad wszystko. Ona sama, mimo że wykonuje zawód dziennikarza, podkreśla, że określenie „kremłowska propagandystka” napawa ją dumą.

KRZYK Z DNA

Margarita Simonian po raz pierwszy i ostatni znalazła się na liście 100 najbardziej wpływowych kobiet świata miesięcznika „Forbes” w 2017 r., ale już od dekady powinna znajdować się na jej szczycie. W końcu wśród najbardziej wpływowych nie brakuje tych, którzy zamiast czynić świat lepszym, działają na jego szkodę, nierzadko poświęcając dla osiągnięcia swoich celów życie milionów. A tego Simonian, która od blisko 20 lat odpowiada za ogłupianie dziesiątek milionów Rosjan przez agresywne propagowanie kremłowskiej narracji i szerzenie nienawiści wobec wszystkiego co zachodnie i demokratyczne, nie sposób odmówić. Z list „Forbesa” trafiła w końcu na listy objętych sankcjami w USA, UE, Wielkiej Brytanii, Kanadzie, Australii i Ukrainie. Władze tej

pieniędzy ani znajomości, ale jako nastolatka jedzie na rok do Stanów Zjednoczonych, które – z miłości do Rosji – porzuca. Na podstawie doświadczenia z czasów szkolnych już zawsze będzie przedstawiać je mieszkańcom Rosji jako przykład zła, zepsucia i antypaństwa. „Ameryka jest jednocześnie szczerą i fałszywą, w sposób faszystowski – i nie zdając sobie z tego sprawy – w sobie zakochana, naiwna i hollywoodzko cyniczna. Trzeba o tym pamiętać i robić wszystko, by nie stać się takim jak Stany Zjednoczone” – cytuje jej wypowiedź prokremlowska redakcja Tsargrad.

Gdy ma 19 lat, lokalna telewizja Krasnodar wysyła ją na wojnę do Czeczenii, mimo że brak jej doświadczenia. Kilka jej reportaży, przedstawiających w do- brym świetle działania rosyjskiej armii, która – jak od lat podkreśla Simonian – nie tylko „nigdy nie rozpoczyna wojen, a jedynie je kończy” i zawsze „z szacunkiem i miłosierdziem odnosi się do przeciwnika”, spodobało się władzom. I od razu po powrocie otrzymała nagrodę Związku Dziennikarzy Kubania „za męstwo zawodowe”, a w redakcji, w której dopiero co odbyła staż, awansowała na głównego redaktora programów informacyjnych.

Awansuje w Moskwie, w mediach o zasięgu ogólnokrajowym, w których inni znani dzisiaj rosyjscy dziennikarze nierzadko pracowali wiele lat, w ciągu kilkunastu miesięcy. Była studentką, gdy znalazła się w tzw. prezydenckiej puli, wąskiej grupie dziennikarzy akredytowanych przez Kreml, towarzyszących Włodzirowi Putinowi w niemal wszystkich podróżach służbowych.

DROGI ORDER KŁAMSTWA

Była władzom potrzebna. Niezależni dziennikarze, którzy ze względu na to, że pozostają w Moskwie, proszą o niewymienianie ich nazwisk, podkreślają, że jej relacje ze stref konfliktów, w którym winna była Rosja, pomagały władzom „zmniejszać publiczny rezonans”, a siłowikom – „przeprowadzać operacje specjalne”.

Tak było w przypadku reportażu z Bieslanu, w którym świadomie trzykrotnie zaniżyła liczbę zakładników. Zaprzeczyła również w wizji informacji, jakoby terroryści stawiali warunki, choć żądali od władz rosyjskich m.in.

„wycofania wojsk z Czeczenii”. Za ten materiał Simonian otrzymała nie tylko order „za wzmocnienie jedności wojskowej”, ale też – jak podkreśliła w jednej ze swoich publicznych wypowiedzi Jelena Milaszyna, dziennikarka „Nowej Gazety”, która od lat zajmuje się Czeczenią – stanowisko redaktorki naczelnej Russia Today, jednego z największych rosyjskich projektów informacyjnych, którego celem przez wiele lat było propagowanie kremlowskiej narracji za granicą. Simonian w rozmowie z redakcją Lenta.ru w 2013 r. wprost nazwała go narzędziem, z którego „Rosja powinna korzystać w kolejnej wojnie informacyjnej”.

Czy słusznie Margarita Simonian została ogłoszona jedną z najbardziej wpływowych kobiet? Słusznie – od lat ogłupia całą Rosję

Od lat dokłada starań, by tak było. Jej materiały niezależni eksperci zawsze oceniali, w najlepszym wypadku, jako stroniczne, „utrzymane w duchu radzieckiej propagandy”. Autorzy tzw. spisu Putina, przygotowanego przez przedstawicieli rosyjskiej opozycji ze środowiska Forum Wolnej Rosji, mają wobec nich poważniejsze zarzuty i uważają, że odpowiadają one m.in. za legitymizację dyktatury Władimira Putina. „Przyczyniły się do informacyjnego i propagandowego wsparcia aktów międzynarodowej agresji, zbrodni przeciwko ludzkości, w tym wojny z Gruzją, okupacji i aneksji Krymu oraz operacji wojskowych na południowym wschodzie Ukrainy, katastrofy MH-17, zabójstwa Litwinienki, zamachu na Skripalów itd.” – piszą.

Opozycjonista Aleksiej Nawalny wielokrotnie udowodnił w swoich śledztwach, że Simonian nie kieruje się jedynie „miłością do ojczyzny”, nakazując jej wybielać historię, kłamać i pomagać władzom. Motorem jej działań ma też być słabość do pieniędzy. Mari-

na Owsiannikowa zwraca uwagę, że redakcja kierowana przez Simonian jest najmocniej finansowana przez rosyjskie władze. Z jesiennego raportu ministerstwa finansów wynikało, że media holdingu Rossija Siegodnia, zarządzanego przez Simonian i propagandystę Dmitrija Kisieliowa, w 2022 r. otrzymają z państwowego budżetu blisko 35 mld rubli. Kwota ta, jak ujawniła redakcja „The Moscow Times”, zwiększyła się wraz z wybuchem wojny, kiedy „wydatki państwa na propagandę wzrosły trzykrotnie”.

Maria Piewczich, dziennikarka z zespołu Nawalnego, ujawniła w 2021 r., że miesięcznie redaktorka naczelna Rus-

sia Today zarabia odpowiednik 130 tys. zł. Dodatkowe setki milionów rubli rocznie ma czerpać z innych, choć zawsze państwowych, źródeł. Ze śledztwa Fundacji Walki z Korupcją opublikowanego w 2020 r. wynika, że w zaledwie trzy lata Simonian miała „zarobić” 720 mln rubli na reklamowaniu w Russia Today usług dużych, państwowych firm, takich jak linie lotnicze Aeroflot, czy na produkcji programu „Pilorama” dla kontrolowanej przez władze firmy telewizyjnej NTV. Ten ostatni projekt jest szczególnie opłacalny dla niej i jej męża Tigrana Keosjana, reżysera i aktora. Ich łączny roczny dochód za realizację „Piloramy” ma przekraczać 150 mln rubli (ok. 12 mln zł).

A to wciąż nie wszystkie dochody, które udało się potwierdzić dziennikarzom śledczym lub które są zupełnie oficjalne. Margarita Simonian regularnie otrzymuje od władz nagrody pieniężne, m.in. za „wkład w rozwój mediów”. „Wygrywa” także przetargi na realizację filmów patriotycznych, jak np. „Krymski most”, a potem przy ich realizacji – co również ujawnił Nawalny – za-

trudnia bliższych i dalszych krewnych.

– Sumienie propagandystów kosztuje coraz więcej, władze podnoszą stawki – zauważa Owsiannikowa.

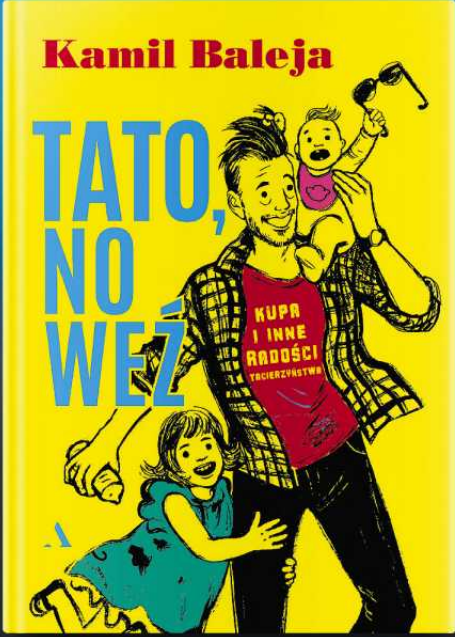
KOBIETA ROSJI

Za miliardy rubli Simonian propaguje kremlowską narrację, publikuje zmanipulowane materiały, zataja informacje, twierdząc, że „Rosja nie prowadzi wojny, a jedynie specjalną operację wojenną” i „ratuje w ten sposób ludność Donbasu oraz rosyjską ludność w Ukrainie”. Szczuje Rosjan na Zachód, wmawiając im, że od lat kieruje nim nienawiść do Rosji i że jego celem jest jej „zniszczenie i upokorzenie”. „Cieszcie się, ludzie, że wasze dzieci nie będą uczyć się na Zachodzie. Za dziesięć lat za to podziękujecie Bogu, że wasze dziecko jest normalnym człowiekiem” – mówiła w programie Władimira Sołowiowa.

Ale Simonian posuwa się dalej. Niemal każdego dnia nawołuje do wojny jądrowej i zabijania „ukraińskich nazistów”. „Wszyscy oni wierzą, że my na pewno przegramy, a Zachód na pewno wygra, nie zdając sobie sprawy, że to niemożliwe. To po prostu niemożliwe, tak nie będzie. Albo skończy się to źle dla całej ludzkości, albo wygramy. Nie ma trzeciej możliwości” – mówiła w jednym z programów publicystycznych.

Simonian jest nie tylko twórczynią, ale też idealnym produktem rosyjskiej propagandy. W licznych wywiadach, na które się zgadza, jeśli otrzyma wcześniej wszystkie pytania, Simonian buduje swój wizerunek wzorowej – według Kremla – Rosjanki. Akcentuje silną wiarę w Boga i bezkresną miłość do „matuszki Rosji”. Simonian, publikująca na Instagramie filmiki, na których recytuje wiersze Brodzkiego, Gumilowa i innych rosyjskich poetów, ale też te, gdzie rzeczowym tonem wyjaśnia, jak ugotować najlepszy chłódnik, udowadnia, że jest w stanie spełnić – z uśmiechem na ustach – wszystkie oczekiwania wynikające z patriarchalności społeczeństwa.

Zdaniem Kremla – Rosjanka idealna. ●



KUPA I INNE RADOŚCI

CZYLI KAMIL BALEJA
O BLASKACH I CIENIACH
RODZICIELSTWA.

SPRÓBUJCIE SIĘ NIE ŚMIAĆ!



PREMIERA
29 CZERWCA

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA  KULTURALNY SKLEP.PL
WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA  publio.pl

PATRONAT
MEDIALNY:



 Wydawnictwo
Agora

JESTEM TŁUMACZEM ZNIEWŁAŚCIWEGO JĘZYKA

Minęło 80 lat od wojny,
a klozet wciąż jest dla Rosjan tajemnicą



Z **JERZYM CZECHEM***
ROZMAWIA **GRZEGORZ WYSOCKI**

To od ilu już lat tłumaczy nam pan tych wszystkich wybitnie utalentowanych Rosjan na polski?

– W tym roku minie 40 lat.

A przecież zaczynał pan jako absolwent studiów matematycznych...

– Kiedy wprowadzono stan wojenny, byłem asystentem w Instytucie Matematyki UAM i musiałem na gwałt kończyć doktorat. Latem 1982 roku, na parę dni przed obroną, przypadkowo zajrzałem do wyboru wierszy Paula Verlaine’a, gdzie zamieszczono parę oryginałów. Żeby się oderwać od czekających mnie przeżyć, spróbowałem je przełożyć. Po obronie, zamiast rzucić się na jakiś nierozwiązany problem matema-

tyczny, pożyczyłem od przyjaciela tom tego poety i pogrążyłem się w tłumaczeniu. Wkrótce doszły do tego utwory rosyjskich bardów. W następnym roku niektóre ukazały się w druku, i to w obu obiegach: trzy piosenki Wysockiego w podziemnym tomiku „Wiersze i piosenki”, dwie Okudźawy w tygodniku „Radar”.

Potem już tłumaczyłem głównie z rosyjskiego. Równolegle pisałem teksty dla Przemka Gintrowskiego i myślałem, że tym się będę zajmował.

I dzisiaj żałuje pan, że większość życia poświęcił przekładom właśnie z rosyjskiego?

– Biorąc pod uwagę tradycje rodzinne, powinienem tłumaczyć z angielskiego. Mama była nauczycielką tego języka w liceum, a wuj, Jerzy Giedymin, profesorem filozofii

w Anglii. Stawiano mi go za wzór, a ja, jakby na przekór, angielskiego w końcu nigdy dobrze się nie nauczyłem. Ale nie żałuję żadnego ze swoich życiowych wyborów.

Rosjan również nie?

– Nigdy nie traktowałem ich tłumaczenia jako misji, zbliżenia narodów. Wybierałem po prostu to, co mnie interesowało. Nie ukrywam jednak rozczarowania Rosją. Pierestrojka zniosła praktycznie cenzurę, ukazało się mnóstwo rzeczy dawniej zakazanych. Myślałem, że zmierzamy w tym samym kierunku. Ale siły prosowieckie stawały się coraz aktywniejsze. Przebywałem w Moskwie, kiedy nieznani sprawcy wysadzali domy mieszkalne. Widziałem, że to grubymi nićmi szyta prowokacja, mająca uzasadnić rozprawę z Czeczenią. Po Krymie nie miałem już żadnych złudzeń.

Czyli akurat pana 24 lutego nie udało się Putinowi zaskoczyć?

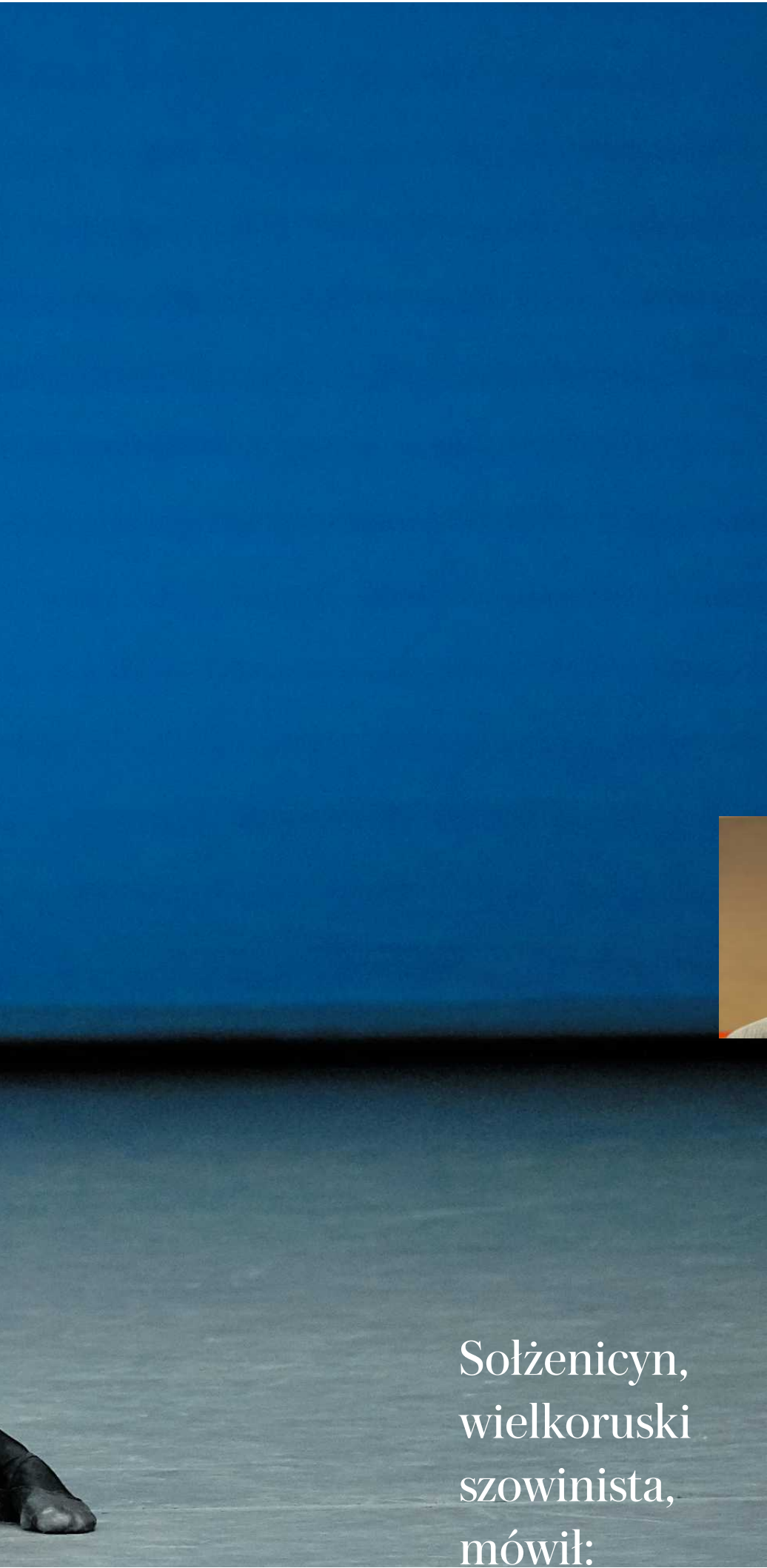
– Poprzedniego dnia nie miałem wątpliwości – uderzy nazajutrz. Myślałem jednak, że ograniczy się do Donbasu.

Oczywiście pytam, czy żałuje pan tych 40 lat, w kontekście dyskusji o rusofobii i nawoływań do bojkotu kultury rosyjskiej.

– W pełni rozumiem te wszystkie inicjatywy. Nie sądzę, by należało protestować przeciw zwolnieniu pani Netrebko z nowojorskiej Met.

Sam zresztą coś takiego odczułem. Niedawno sprowadziłem komplet archiwalnych, klasycznych rosyjskich nagrań dzieł Musorgskiego, „Borys Godunow” to moja ulubiona opera. Dwa dni później Rosja zaatakowała, a ja stwierdziłem, że nie jestem

FOT. ALEXANDER ZEMLIANICHENKO/AP



Sołżenicyn,
wielkoruski
szowinista,
mówił:

w stanie słuchać teraz tych rzeczy. Nie dziwi mnie decyzja o zdjęciu „Borysa” w warszawskim Teatrze Wielkim, ostatecznie Polacy występują tam jako wrogowie. Czy w Moskwie wystawiono by teraz polską operę o wydźwięku antyrosyjskim? Tak samo z literaturą – przyjmuję do wiadomości, że jestem tłumaczem z niewłaściwego języka i że nie będzie się teraz zbyt chętnie Rosjan wydawało.

Ale czy bojkot to nie jest podcinanie gałęzi, na której siedzi pan od 40 lat?

– Nie nawołuję do bojkotu, tylko liczę się z nastrojami, które rozumiem i którym sam ulegam. Bojkot czy sankcje uderzają również w tych, którzy się na nie decydują. Pewnie stracę większość tantiem od sztuk, które tłumaczyłem. Raczej nie wydam paru książek, które planowałem

przełożyć, kilku tomów poetyckich. Ani też własnej książki o literaturze rosyjskiej – ze szkicami, reportażami i wywiadami pisanymi w ciągu tych iluś lat. A nie mam już tak dużo czasu.

I przyjmuje pan to ze spokojem i zrozumieniem?

– Miałbym rwać włosy z głowy? Przecież „tłumacz literatury rosyjskiej” nie określa mnie bez reszty, jestem przede wszystkim człowiekiem i obywatelem. Mam poglądy, byłem działaczem „Solidarności”, po Okrągłym Stole członkiem założycielem Ruchu Obywatelskiego Akcja Demokratyczna, potem członkiem rady regionalnej Unii Demokratycznej. Wiersze, które pisałem, też miały przeważnie wymowę polityczną.

To z czego będzie pan teraz żyć?

– Mam emeryturę i mam co robić. Właśnie tłumaczę z ukraińskiego. Wcale nie koniunkturalnie, na studiach czytałem wiersze w tym języku, już 20 lat temu składałem sztuki Ukraińców, m.in. mojego przyjaciela Ołeksandra Irwancja. Niedługo wyjdzie nieduży tomik jego wierszy, a teraz pracuję nad powieścią Jurija Andruchowicza „Radio Noc”. W gorszej sytuacji są rusycyści akademicy, bo nie będzie dużego pędu na ten kierunek.

Jeśli bojkot, to jaki? Czy należałoby oddzielić twórców popierających władzę, twórców starających się zachować neutralność i twórców jawnie antyputi-



FOT. RAFAŁ MALKO / AGENCJA WYBORCZA.PL

nowskich, opozycyjnych? Czy też „wszyscy albo nikt”?

– Nie mam ochoty decydować o bojkocie i ustalać jego zasad. To efekt odruchu, moralnego i estetycznego, mający wartość tylko wtedy, gdy jest spontaniczny.

Czyli żadnych wytycznych nie będzie?

– Wolę mówić o własnych wyborach. Od dawna stosuję surową selekcję pisarzy rosyjskich. U młodych autorów widziałem rosnącą tendencję do idealizowania radzieckiej przeszłości. Której, dodajmy, nie znali z autopsji. Tych oczywiście odrzucałem.

Kiedyś doradziłem wydanie książki Eduarda Limonowa „To ja, Ediczka” i ją przełożyłem, bo sądziłem, że powinniśmy ją poznać – mocna rzecz, kończąca się bluzygiem. Przygotowałem już nowe wydanie „Ediczki”, ale czy mamy dzisiaj wydawać przywódcę narodowych bolszewików? W ogóle rzadko coś polecam, z ostatnich kilku lat pamiętam dwa nazwiska: Maksim Osipow i Aleksiej Fiediarow. Wspomnienia Fiediarowa z kolonii karnej sam przełożyłem – wyszły w kwietniu pod tytułem „Człowiek, który siedział”. Autorowi – prawnikowi, potem biznesmenowi – FSB „uszyło sprawę”, a on ze swojej odsiadki zrobił kilkadziesiąt historii, często groteskowych, czasem tragicznych. W sam raz lektura na dziś – sowiecki Guląg zmienił tylko nazwę!

Czy to nie prowadzi nas do konkluzji, że jednak nie należy bojkotować rosyjskiej literatury w całości?

– Nie należy bojkotować wszystkich książek pisanych po rosyjsku, zwłaszcza że po rosyjsku piszą nie tylko Rosjanie. Gdyby Aleksiejewicz wydała nową książkę, to na pewno podjąłbym się tłumaczenia. W czasie anszłusu Krymu pani Swietłana stanęła

po stronie Ukrainy, ale nie dlatego, że jest w połowie Ukrainką. Po prostu odwiedziła Kijów i urzekła ją atmosfera wolności.

Ofiarą bojkotu padnie pewnie inny mój autor, Wiktor Szenderowicz, od początku przeciwnik Putina, którego wyjątkowo złośliwie i celnie przedstawił w programie „Kukły”. Ostatnia jego sztuka „Zobaczyć Salisbury” opowiada o tych niezdar-nych truciicielach z 2018 roku. Z kolei „Pan Ein i problemy ochrony przeciwpożarowej” jest metaforą putinowskiej Rosji, stopniowo odbierającej ludziom wolność. Wiele krytyków jednak nie lubi warszawskiego Współczesnego, więc już wcześniej zbojkotowali światową premierę tej sztuki. Mało kto również zrozumiał pokazaną w Teatrze TVP sztukę „Ekspedycja”. Przedstawione tam dzikie plemię to w istocie Rosjanie – Zachód przysyła im dary, prosząc tylko, by wyrzekli się ludożerstwa. Ci chętnie przyjmują materialne wytwory cywilizacji, ale wyrzekać się niczego nie chcą, bo straciłoby tożsamość narodową.

A co z autorami nieżyjącymi? Powinniśmy się zastanawiać, jaki dzisiaj miałby stosunek do Putina Tolstoj, a jaki Czechow?

– To rozważania z cyklu: „Gdyby pani miała brata, to czy lubiłby makaron?”. Lepiej zająć się czymś sprawdzalnym, np. często mówi się o Sołżenicynie jako o wielkoruskim szowiniście, ale w książce „Wpadło ziarno między żarna” o Ukrainie pisał wyraźnie: „Jeśli nie daj Boże wybuchnie woj-

*Jerzy Czech

• ur. w 1952 r., najwybitniejszy współczesny polski tłumacz literatury rosyjskojęzycznej, poeta, publicysta. Przekładał m.in. Okudźawę, Wysockiego, Sołżenicyna, Nadieżdę Mandelsztam, Witalija Grossmana, Akunina, Swietłanę Aleksiejewicz.

na rosyjsko-ukraińska, to sam na nią nie pójdę i synów swoich nie puszczę”.

Co ze słynną polonofobią Dostojewskiego?

– Dostojewski nie był bardziej antypolski niż inni Rosjanie w owym czasie. Po wybuchu powstania styczniowego zachowywał się powściągliwie, w związku z czym na jego pismo „Wriemia” spadły represje. Tolstoj też długo Polaków nie lubił, w „Wojnie i pokoju” są fragmenty, w których daje temu wyraz. Dopiero w ostatnich latach życia napisał opowiadanie „Za co?” o zesłanej na Sybir polskiej rodzinie.

Mnie w epopei o roku 1812 uderza co innego. Wyprawę Napoleona Tolstoj uznaje za coś „sprzecznego z rozsądkiem i naturą”, mówi ze zgrozą o idących na Rosję „siłach Europy Zachodniej”. Żadnych takich refleksji nie ma w I tomie, kiedy Rosjanie maszerują przez Morawy. W dodatku już kilka lat wcześniej Suworow wojował we Włoszech. Czego tam szukał? Czyżby bronił „praw ludności rosyjskojęzycznej” w Lombardii? Wolne żarty, jeśli się interweniuje na Zachodzie, to trzeba się liczyć i z tym, że Francuzi mogą zdobyć Moskwę!

O dwieście lat wcześniejszą okupację Kremla przez Polaków, do dzisiaj u braci Moskali wywołującą histerię, poprzedziła wieloletnia agresja Iwana Groźnego na Inflanty, co trudno zaliczyć do „zbierania ziem ruskich”. Rosji wolno wszystko, natomiast jeśli ktoś jej się zrewanżuje, wówczas jest to „sprzeczne z naturą”. U nas mówiło się o „etyce Kalego”. Może lepiej zastąpić ją „moralnością Wańki”?

Z czego to wynika?

– Rosjanie mają fałszywą świadomość historyczną. Są przekonani, że wiele wycierpieli przez wrogów, że wszyscy ich strasznie krzywdzili. Ich literatura takie prze-

nanie utrwała. Mają nawet specjalny epitet dla swojej ojczyzny: „mnogostradalna-ja”. Tymczasem to nieprawda, okupacja Kremla trwała dwa lata, a Napoleon nakazał odwrót z Moskwy po miesiącu. Niewiele jak na kilkaset lat. Najbardziej krzywdziła Rosjan sama Rosja, krzywdząc na dodatek wiele innych narodów. Sam długo skłonny byłem sądzić, że to Japonia wywołała wojnę w 1904 roku, a myślałem tak właśnie przez rosyjskie jojczenie.

A co robimy np. z Brodskim i jego słynnym wierszem o Ukrainie?

– Brodskiego zawsze lubilem umiarkowanie, za dużo u niego wierszy „niekoniecznych”, nawet jeśli są doskonale napisane. Wypracowanie mistrza pozostaje wypracowaniem. Wiersz o Ukrainie też jest wypracowaniem, tyle że paskudnym. W zakończeniu Brodski mówi o „bzdurach Tarasa” – chodzi o Szewczenkę, wielkiego poetę, dla Ukraińców jednego z ojców założycieli narodu, kodyfikatora jego języka poetyckiego. Rosjanie go nie lubią, ale nie za bzdury, tylko właśnie za prawdę, bardzo dla nich niemiłą:

*Pokój duszy twej, hetmanie!
Nie znależ Moskali:
Co im tylko wpadło w oczy,
Zaraz rozdrapali.*

(Przeł. Jerzy Jędrzejewicz)

Tak pisał o Chmielnickim i tak było. Alians z Moskwą przyniósł likwidację swobód kozackich i odrębności Ukrainy, a także zwykłą grabież ziemi za Piotra I, co opisał nasz Teodor Tomasz Jeż w „Starodubowskiej sprawie”. Tylko kto dziś czyta Jeża lub chociaż coś o nim wie?

Nie znam ani jednej takiej osoby.

– Na pewno nie czytają Jeża nacjonaliści noszący jego portrety w listopadowym marszu. A to akurat internacjonalista, twórca pięknych postaci Ukraińców: Wasyla Hołuba, Hryhóra Serdecznego. Sam był jedną z najpiękniejszych postaci polskich XIX wieku. W PRL jeszcze go wydawano, choć oczywiście bez tych antyrosyjskich rzeczy. A co teraz z nim robi pamięć, a raczej skleroza narodowa? No, ale nasz stosunek do klasyków to osobny temat.

A taki Zachar Prilepin? Rozumiem, że nie powinno się go już nigdy przyswajać polszczyźnie?

– Prilepin to też narodowy bolszewik, weteran specnazu z wojny czezeńskiej. W 2014 r. walczył w Donbasie, popiera Putina i jest hołubiony przez władzę. Wydano u nas kilka jego książek. Mówią, że znakomite. Powtórzę za Wyspiańskim: „A to czytaj, kto ciekawy”. Ja ich nie czytałem i nie przeczytałem. Recenzowałem natomiast zbiór krótkich tekstów, zwanych szumnie esejami, i nie mam wątpliwości, że to ćwierćinteligent, w dodatku częstujący nas bandyckim humorkiem. Czy może takim, z jakim strażnik łagrowy nabija się z umierającego więźnia. Po Noblu dla Aleksijewicz Prilepin tak wyszydzal jej „wyjątkowo banalne” wywiady z refrenem: „Rosja wszystkich zabiła, zabiła, zawsze wszystkich zabijała, i będzie zabijać, powstrzymajcie to zło, ci niewolnicy nigdy nie przestaną być niewolnikami, tam są popi i Stalin, a wy wiecie, czym to się kończy, a zwłaszcza ja to wiem”. No cóż, mimo woli nieźle scharakteryzował swój kraj.

To pewnie zgodziłby się pan z ministrem Głińskim, który mówił w Kijowie: „Nie czas na rosyjski balet, Chór Aleksandrowa, ale także na wspaniałą przecieź literaturę czy muzykę poważną... Rosjanie wybrali jakąś tragiczną i obłądną drogę rozwiązywania swoich problemów”? – Putinowi udało się wiele rzeczy. Zjednoczył Ukrainę, zjednoczył Unię, wzmocnił NATO, made America great again i udał mu się nawet taki drobniaczek: nie sądziłem, że w jakiegokolwiek sprawie zgodzę się z panem Głińskim, a muszę.

Ale nie potrzebuję ministra do takich wniosków, już dawno postawiłem sobie pytanie: jaką funkcję pełni kultura rosyjska? Czy aby nie legitymizuje państwa, którego nienawidzę? Są okresy, kiedy tłumacz nie może bezrefleksyjnie „przybliżać literatury”, żeby nie realizować celów Rosji, która dla Polski była i jest zagrożeniem. Kultura w takim kraju nigdy nie jest neutralna. Przypominam, że olimpiadę w Soczi inaugurował film „Alfabet” z wieloma wielkimi nazwiskami tej kultury oraz widowisko „Pierwszy bal Nataszy Rostowej”. Dwa tygodnie później „zielone ludziki” zajmowały Krym.

Rosja sama dawno wypisała się z cywilizowanego świata. Wskutek nieudolnie przeprowadzonej akcji w teatrze na Dubrowce zginęło przeszło stu zakładników. Żaden rząd zachodni by się po czymś takim nie utrzymał, a popularność Putina wzrosła. Zdumiał mnie też wybuch entuzjizmu po wojence z Gruzją. To tak, jakby ktoś wyszedł z domu, pobił pięcioletnie dziecko, wypiął pierś i żądał medalu za odwagę.

A kto to jest dzisiaj rusofob?

– Rusofobia to pojęcie z repertuaru Putina, Ławrowa, Zacharowej i całej tej szajki. Oni rozumieją je tak: jeśli komuś nie podobą się cokolwiek z tego, co robią, np. że ich żołnierze mordują, gwałcą i okradają cywilów, to znaczy, że jest rusofobem. Zna pan mądrość ludową: „Jeśli ktoś ci mówi, że jesteś pijany, możesz nie wierzyć; jeśli ktoś jeszcze, też możesz nie wierzyć. Ale kiedy ci to mówi trzecia, czwarta i pią-

kę polską, głównie dziewiętnastowieczną. Tę mało znaną. Bardzo dobre są powieści obyczajowe Kraszewskiego, dużo ciekawsze od tych rzeczy historycznych. Orzeszkowa może nie cała, ale sporo rzeczy się broni. Dygasiński świetny, a u nas nieczytany. Znakomici prozaicy galicyjscy, zwłaszcza satyrycy – Jan Lam i Michał Bałucki, także memuary Chłędowskiego. Wbrew powszechnym mniemaniom w owym stuleciu mamy dobrą prozę, poezja zaś – poza paroma wielkimi nazwiskami – jest mniej warta. Dla tłumacza jego własny język jest najważniejszy, muszę więc stale obcować z dobrą polszczyzną.

A co z tą nienawiścią?

– Czy dzicz zasługuje na takie uczucie?

Ukraińcy nazywają tych żołdatów „orkami”, a trudno nienawidzić orka. Nienawiść rezerwuję dla państwa, które ich wysłało.

Skoro jesteście przy Ukraińcach, Jurij Andruchowycz konstatuje: „Gadanie o Bułhakowie to współudział w zbrodni”. Ale czy nie jest tak, że kultura to kultura, a zbrodnie, wojna, gwałty to jej odwrotność?

– Taki podział jest bardzo wygodny dla agresorów. Ci z Moskwy i Petersburga są od kultury, a na wojnę w ich imieniu idą ciuśmoki z głębokiej prowincji. Dodam jeszcze jedną wypowiedź, a zarazem odpowiedź Saszi Irwancja: „Oni tu nie przyszli recytować nam Pasternaka. Oni nas przyszli zabijać”. Podczas wojny wypowiada się mnóstwo nienawistnych słów, czemu trudno się dziwić. Ilja Erenburg pouczał żoł-

Zdumiał mnie wybuch entuzjizmu po zwycięskiej wojence z Gruzją.

To jakby ktoś wyszedł z domu, pobił pięcioletnie dziecko, wypiął pierś i żądał medalu za odwagę

ta osoba – idź do domu i się prześpij”. No więc oni nie chcą wytrzeźwieć. Ale to ich wybór, ja zaś nie zamierzam tłumaczyć się z rusofobii.

Czy tłumacz literatury rosyjskiej nie powinien być raczej skończonym rusofilem?

– Przez długi czas walczyłem z polskimi stereotypami na temat Rosjan, tłumacząc, że nie są azjatycką dziczą kradnącą ludziom zegarki. Tymczasem widzę to, co widzę: właśnie dzicz, która zachowuje się dokładnie według stereotypu przekazanego nam w opowieściach z 1945 roku. Znamemu stara Niemka mówiła, że stacjonujący w jej rodzinnym domu „Sowieci” nie wiedzieli, do czego służy klozet, i myli w nim kartofle. Minęło prawie 80 lat i nadal klozet jest dla nich tajemnicą.

Renata Lis opublikowała w „Tygodniku Powszechnym” tekst „Nadal czytam Ruskich”: „Odkąd trwa wojna w Ukrainie, czuję, że żąda się ode mnie nienawiści”. I wyjaśnia, że nie chce mieć w sobie nienawiści. Pan również nadal czyta Ruskich?

– Jeśli tłumaczę lub recenzuję książkę, to ją oczywiście czytam. Ale tak dla siebie? Zdziwi się pan, kiedy powiem, co czytam: klasy-

nierzy radzieckich, że dzień bez zabitego Niemca jest dniem straconym. A nie był to człowiek krwiożerczy, tylko reagował na Holocaust.

U nas po wojnie nawet światli ludzie mówili straszne rzeczy o tym, co należy zrobić z Niemcami, np. wysterylizować wszystkich Niemki. W szkołach uczono dzieci, że nazwy narodowości pisze się dużą literą z jednym wyjątkiem: niemiec – małą. Polacy dostawali drzączki na sam dźwięk języka Goethego i Schillera. Ukraińcy może przez sto lat będą nienawidzić kacapów. I co, mamy ich pouczać, że to nieładnie? Warto posłuchać Oksany Zabużko i przyjrzeć się uważnie literaturze rosyjskiej, zamiast powtarzać jak pacierz frazesy o jej wielkości.

A czy nie jest aby tak, że odrzucając rosyjską kulturę w całości, potwierdzamy narrację putinowską?

– Jest wystarczająco dużo groźniejszych rzeczy. Rosja od dawna wzmocnia u nas tendencje antyliberalne i antyeuropejskie, tę całą walkę z „Gejropą”. Czy pan sądzi, że ot tak, dla rozrywki przyjaciele Sowu nagrywali platformiane pogaduszki? Putin nigdy nie ukrywał, że nie chce zjednoczenia Europy. Samo hasło „wstawiania z kolan” przyszło przecieź stamtąd! Ciekaw-

we, co by powiedziały nasze władze, gdyby za ich przykładem Niemcy wstały z kolan i zażądały od nas swoich pięknych miast: Breslau, Danzig, Stettin, Elbing, Allenstein? Ten rząd ma zdecydowanie więcej szczęścia niż rozumu.

A czy szukanie „nazizmu” w Ukrainie to nie jest narracja putinowska? Jakie prawo ma Putin do mówienia o nazizmie? W czym jest lepsza ideologia każąca mordować ludzi niewłaściwej klasy od mordowania ludzi niewłaściwej rasy? A Rosja taką ideologię wyznawała przez 70 lat i jeszcze narzucała innym. Przedtem zrodziła pefaszystowską czarną sotnię, którą zainfekowała choćby Rumunię.

Adam Michnik mówił niedawno: „Putiny przychodzą i odchodzą, a ten naród, który wyprodukował teraz takie świństwo, będzie z tego długo wychodził w bólach, ale ja wierzę, że naród Puszkina, Do-stojewskiego, Turgieniewa, Czechowa kiedyś z tego wyjdzie”.

– Z Adamem Michnikiem miałem już zaszczyt spierać się na festiwalu literackim w Sopocie, podczas wojny o Donbas. Wyraziłem niewiarę w to, że dzisiejsi dysydenci kiedykolwiek będą tam rządzić. Będzie wieczna huśtawka: odwilż, mróz, znowu odwilż. Puszkina pisał kiedyś do Czaadajewa:

*O druhu! Wierz mi, wszędzie ona
Szczęśliwa gwiazda nad ojczyzną,
Zerwie się Rosja przebudzona
I na ruinach despotyzmu
Wyrzje lud nasze imiona.*

(Przeł. Julian Tuwim)

Minęło dwieście lat i despotyzm nadal ma się dobrze. To nie dzieło przypadku, tylko sprawa systemowa – ustroju wprowadzonego przez Piotra I, którego istota pozostaje niezmienna. Od trzystu lat nie powstało w Rosji społeczeństwo obywatelskie, bo ledwo zacznie się tworzyć, zaraz jest dławione.

Puszkina i Czajkowski nie zbawią Rosji. Ich wielkość nijak się ma do jakości państwa. Muszą tam powstać instytucje obywatelskie, a te utrzymają się tylko wtedy, gdy Rosja przestanie być imperium. Życzę jej zatem, by poniosła klęskę w wojnie i żeby się rozpadła.

I ani razu po 24 lutego nie dopadły pana myśli w rodzaju: „Lepiej było zostać matematykiem, a nie całe życie z tymi przeklętymi Rosjanami”?

– A zrobiłby pan wtedy ze mną wywiad dla najważniejszej gazety w kraju? Jestem humanistą, takim, którego ciekawiła również matematyka. Ale nie była moją pasją, więc nie miałbym satysfakcji z jej uprawiania. Zawsze natomiast chciałem pisać i to mi się udało, choć nie o tłumaczeniu marzyłem. Okazało się, że to, co robię, robię dobrze, a taka świadomość pozwala i godnie żyć, i łżej umierać.

W Rosji poznałem fascynujących ludzi, prowadziłem ciekawe rozmowy, zobaczyłem trochę świata, a przede wszystkim zyskałem przyjaciół. Raczej nie naprawią swego kraju, ale z żadnym nie musiałem teraz zrywać. Czyż mógłbym o nich mówić: „przekłeci”? ●

„Olesza. Kapitulacja i śmierć inteligenta radzieckiego”, Arkadij Bielinokow, przeł. Jerzy Czech, wyd. Agora

„Człowiek, który siedział”, Aleksiej Fiediarow, przeł. Jerzy Czech, wyd. Czarne



ZMYSŁY SĄ PRZESTARZAŁE

Po co symulować wzrok, słuch, zapach, dotyk, wyrzeźbione w plejstocenie,
skoro to wszystko da się wygenerować w mózgu? Bez diod, elektrod, gogli

KASPER KALINOWSKI



PARTNER STRATEGICZNY:
POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYK

JUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

FOT. GETTY IMAGES

Cztery lata temu Oscara za specjalne osiągnięcia otrzymał Alejandro Iñárritu. Jego „Ciało i piasek” opowiada historię grupy meksykańskich imigrantów próbujących przedostać się do USA. W trakcie seansu trafiamy m.in. do „zamrażarki”, zimnego pomieszczenia, w którym bohaterów przetrzymuje straż graniczna. Iñárritu to ceniony twórca, ale historia jak historia, choć przejmująca, za co wyróżnienie? Otóż to pierwsza fabuła wykonana w technologii wirtualnej rzeczywistości, oglądana w goglach.

A „Ciało i piasek” to dopiero początek symulowania wrażeń zmysłowych. Dziś nowe technologie imitują również wrażenia dotykowe i smakowe. Naukowcy z Carnegie Mellon University opracowali nowe urządzenie. Ich rozwiązanie wykorzystuje przenoszone w powietrzu fale ultradźwiękowe do wywoływania wrażeń na wargach, zębach i języku. Gadżet jest na tyle niewielki i lekki, że można go przymocować do dostępnych już w sprzedaży gogli wirtualnej rzeczywistości.

Wyobraźmy sobie wirtualny świat, w którym znajduje się wodospad. „Za każdym razem, gdy się pochylasz i myślisz, że powinienes poczuć wodę, nagle czujesz strumień wody na swoich wargach” – opowiada Vivian Shen, współautorka prototype.

RZECZYWISTOŚĆ TO TYLKO PRZYBLIŻENIE

Większość ekspertów zgodzi się, że to, co określamy jako rzeczywistość, to wyłącznie pełne błędów i nieciągłości przybliżenie statystyczne generowane przez mózg. Nic nie stoi więc na przeszkodzie, abyśmy próbowali symulować rzeczywistość za pomocą nowych technologii. Jej niedoskonałość nie wydaje się dużą przeszkodą. Nasza percepcja również jest niedoskonała - w toku ewolucji miała ułatwić przetrwanie, a nie wiernie odzwierciedlać otoczenie.

Rzeźbiona głównie w paleolicie, już teraz z łatwością daje się oszukać nowym technologiom. Doskonałe obrazy to najlepiej przebadany z ludzkich zmysłów – wzrok. Na początku roku naukowcy z Wielkiej Brytanii i USA wybrali 400 twarzy wygenerowanych przez sztuczną inteligencję. Do każdej przyporządkowali jej odpowiednik z prawdziwego życia. W pierwszym eksperymencie badani mieli ocenić, czy prezentowana twarz jest prawdziwa, czy fałszywa. Nie szło im najlepiej. Odsetek poprawnych odpowiedzi - ok. 48 proc. - odpowiadał poziomowi przypadkowych wskazań.

Nie to zrodziło jednak największe wątpliwości. Gdy poproszono uczestników o ocenę, jak bardzo godne zaufania są prezentowane im twarze, technologia deepfake wygrała ze zdjęciami realnych osób. Fałszywe twarze zyskały zaufanie o prawie 8 proc. wyższe od prawdziwych.

To, co określamy jako rzeczywistość, to wyłącznie pełne błędów i nieciągłości przybliżenie statystyczne generowane przez mózg. **Żeby go oszukać, nowe technologie nie muszą wiernie odzwierciedlać otoczenia**

Najnowsze wytwory sztucznej inteligencji są więc nie realistyczne, lecz hiperrealistyczne – już przewyższają rzeczywistość, którą mają imitować. Jak podsumowują autorzy pracy, „cyfrowo wygenerowane twarze wyłoniły się po drugiej stronie doliny niesamowitości”. „Dolina niesamowitości” to termin, którego po raz pierwszy użył robotyk Masahiro Mori. Przewidział, że im bardziej ludzki stanie się wygląd robotów, tym bardziej atrakcyjne będą dla ludzi. Zauważył jednak, że istnieje pewien stopień podobieństwa, w którym roboty stawaly się prawie, ale nie do końca, ludzkie – i wtedy wywołują uczucie dziwności i odrazy. Wiele wskazuje, że najnowsze deepfake’i przekraczają tę granicę.

Statyczne obrazy, algorytmiczne reguły szachów, wymagająca kreatywności gra go, a nawet symulowany już przez AI geniusz Bacha dzieli jednak wiele od analogowego doświadczenia rzeczywistości, na które składają się informacje płynące ze wszystkich zmysłów.

DUKAJ ZADAJE TRUDNE PYTANIE

Jak zauważa najciekawszy polski futurolog Jacek Dukaj: Jaki jest logiczny kres technologii bezpośredniego transferu przeżyć? Punkt zejścia się wszystkich warstw „przeżycia”: bodźców zmysłowych (widok płomieni, huk ognia, wrażenie ciepła); zintegrowanego osobistego doświadczenia (przeżywam pożar); wywoływanych przez nie emocji (starch, rozpacz, fascynacja)? Taką symulację pokazywał serial „Westworld”, gdzie wyposażone w świadomość, a nawet wolną wolę, nieodróżnialne od ludzi hosty zaludniały parki rozrywki. Jak stwierdził jeden z bohaterów, rzeczywiste jest po prostu to „czego nie da się czymś zastąpić”.

Mimo że w 2022 roku jesteśmy wciąż daleko od samego zdefiniowania „świadomości”, coraz bardziej realistycznie potrafimy zastępować izolowane doświadczenia.

Prof. Michał Wierzchoń, psycholog z Uniwersytetu Jagiellońskiego: - Systemy wirtualnej rzeczywistości, podobnie jak było w przypadku rozwoju przemysłu filmowego, zaczęto rozwijać od symulacji doświadczeń dla dominującego u człowieka zmysłu, czyli wzroku. Jednak pełna symulacja wymaga symulacji multisensorycznej. Kluczowa jest immersja, czyli poczucie zanurzenia w wirtualnym środowisku. Na jej poczucie immersji wpływa trójwymiarowy obraz obserwowany z pierwszoosobowej perspektywy - stąd tak często gry komputerowe są FFP, “first person perspective”, patrzymy w nich oczami postaci - i zintegrowane w spójne w czasie i przestrzeni doświadczenie sygnałów z wielu zmysłów, włącznie z dotykiem.

Trudności dostrzega dr Tomasz Komendziński, kognitywista z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu: - Pełną symulację rozumiem jako oddanie mechanizmów integracyjnych oraz regulacyjnych, na które dla nas pracował bieg ewolucji oraz pracuje indywidualny rozwój osobniczy. Od czegoś takiego dzieli nas daleka droga.

JAK KARAĆ ZA WIRTUALNE MORDERSTWA

A nawet jeśli ją przebedziemy, to – ostrzega dr Komendziński - nie znamy konsekwencji takich rozwiązań. Nie chodzi tylko o kwestie etyczne czy regulacje prawne, ale podstawowe konsekwencje zdrowotne.

Jak wskazuje w swoim eseju australijska pisarka Angela Buckingham: „Ta nowa forma rozrywki jest niebezpieczna. Wpływ immersyjnej wirtualnej przemocy musi być kwestionowany, badany i kontrolowany. Zanim możliwe stanie się realistyczne symulowanie doświadczenia, jakim jest zabicie kogoś, morderstwo w rzeczywistości wirtualnej powinno być nielegalne”.

No właśnie. Czy jeśli wrażenia “prawdziwe” i “sztuczne” będą nieodróżnialne, zabijanie kogoś w świecie cyfrowym wciąż będzie można traktować jako formę rozrywki? A może konieczne będą nowe regulacje prawne lub nawet odpowiedzialność za czyny popełniane wirtualnie?

BYŁAŚ SERCA BICIEM

Mimo pewnych sukcesów w symulowaniu wrażeń wzrokowych i dźwięków, złożenie w całość wszystkich elementów wciąż się nam wymyka. Wystarczy obejrzeć filmy wykonane w technologii deepfake, np. Zelenskiego apelującego o kapitulację. W przypadku wideo, w przeciwieństwie do zdjęć, nie mamy problemu z wychwyceniem cyfrowej nakładki.

Trudności dobrze obrazują również badania nad dotykem. Zmysłem, który długo wydawał się poza zasięgiem technologii.

Dotyk to pierwszy ze zmysłów, jaki wykształca się w okresie prenatalnym. Pierwszy, jakim poznajemy otoczenie. Jako pierwszy osiąga dojrzałość – zanim ukształtują się pozostałe, za pomocą dotyku świat na nas wpływa. To dotykowi zawdzięczamy postrzeganie siebie jako odrębnych od otoczenia obiektów fizycznych. I dotyk wciąż pozostaje podstawową luką w komunikacji na odległość. Rozmawiając przez Skype’a czy Zooma, wciąż tęsknimy za drugą osobą. To nie wina programistów. Takimi skonstruowała nas ewolucja.

Nic dziwnego, że doznania dotykowe na odległość stały się celem wielu start-upów. Od czasu, gdy w 2006 r. opracowano pierwszą „koszulkę przytulającą”- Hug-Shirt - a „Time” uznał ją za jeden z wynalazków roku, dokonał się znaczny postęp. Jej działanie sprowadzało się do zestawu czujników, które odtwarzały siłę nacisku, temperaturę czy rytm bicia serca drugiej osoby. W 2022 r. to już przestarzała technologia.

Zdaniem dr Brygidy Dzidek, inżynierki zmysłu dotyku oraz założycielki i prezeski Haptology - start-upu opracowującego inteligentną biżuterię - która na co dzień tworzy wrażenia dotykowe, jesteśmy blisko przełomu. Na początku technologie haptyczne odmieniają świat rozrywki.

- Dzisiaj świat cyfrowy możemy tylko oglądać, interfejs komunikacyjny to zazwyczaj płaskie guziki, masywne klawiatury czy nieporęczne kontrolery. Świat jest płaski, a różnica w jakości jego odbioru zależy w głównej mierze od jakości grafiki. Próby przeniesienia świata rzeczywistego do początkowo internetu, a teraz do tzw. metaversum sprowadzają się do poszukiwania narzędzi, które mogą urzeczywistnić odbiór treści. Wprowadzić poczucie Obecności. Hapling, pierścień symulujący wrażenia dotykowe, nad którym pracujemy, pozwala na integrację zmysłu dotyku w świecie wirtualnym. Pozwala poczuć elementy świata, jego dynamikę, a także podkreślić interakcję z innymi użytkownikami w trakcie wspólnej zabawy - wskazuje dr Brygida Dzidek.

W świecie rzeczywistym wrażenia dotykowe powstają poprzez vibracje na skórze, które przełożone na impulsy nerwowe tworzą w mózgu obraz otaczającego nas świata. Klasyfikacja wrażeń sensorycznych, ich parametryzacja i stworzenie ich biblioteki pozwoli inżynierii haptycznej za pomocą vibracji tworzyć odczucia nawet tak subtelne jak dotyk kropli deszczu czy bicie serca.

Marzenia o nieodróżnialności świata cyfrowego i rzeczywistego mogą się spełnić szybciej, niż przypuszczamy. Według niektórych wystarczy 10 lat.

GORZKO, GORZKO! BEZ PRAWDZIWEGO KACA

Raport firmy Ericsson Consumer & IndustryLab podkreśla, że do 2030 r. będzie możliwe całkowite zanurzenie się w cyfrowym świecie. Takim, który będzie zawierał dźwięki, zapachy, a nawet wrażenia smakowe. Wszystkiego – dosłownie i metaforycznie - będzie można doświadczyć bez wychodzenia z domu.

Zdaniem twórców raportu punktem zwrotnym była pandemia. Wymuszone porzucenie biur sprawiło, że model pracy zdalnej stał się już rzeczywisto-

ścią, jednak obecnej formie „zdematerializowanego biura” wciąż brakuje jakości tradycyjnych interakcji w cztery oczy. W ciągu dekady komunikacja cyfrowa będzie musiała obejmować dotyk, smak, zapach oraz odczuwanie gorąca lub zimna. Czynniki, które zapewnią mniej lub bardziej realistyczną immersję. Wszystko będzie się odbywać w Internecie Zmysłów.

Internet of Senses to inne określenie na lansowane przez Marka Zuckerberga metaversum - cyfrową rzeczywistość, która udoskonalił to, co już znamy z obecnego internetu określanego jako „internet przedmiotów”. Przeniesie się do niego wiele relacji społecznych. W 2022 r. w metaversum odbyły się już pierwsze śluby, swoje przedstawicielstwa ma w nim wiele cenionych marek. Producent klocków LEGO oraz Epic Games, czołowa firma z rynku gier wideo, pozazdrościły Facebookowi marzeń o nowym świecie i również chcą mieć swój metaverse.

Jak mówi dr Małgorzata Bulaszewska, kulturoznawczyni z Uniwersytetu SWPS, metaversum ma oferować coś, co moglibyśmy nazwać pełniejszą obecnością. Teraz, gdy komunikujemy się z ludźmi na całym świecie, to trochę jest tak, jakbyśmy stali przed szybą wystawową i opowiadali o tym, co się znajduje po drugiej stronie.

MARTINI CYFROWO WSTRZĄŚNIETE, NIE ZMIESZANE

Nimesha Ranasinghe i jego zespół w centrum Connective Ubiquitous Technology for Embodiments (CUTE) na Keio-National University of Singapore rozpoczęli już badania nad generowaniem wrażeń smakowych. Opracowali „Vocktail” (od „wirtualny koktajl”) - kieliszek do martini z elektrodami, wkładami zapachowymi i diodą LED. Za pomocą elektrod osoba pijąca może kontrolować kwasowość lub słoność napoju w kieliszku. Może również dodawać zapachy, takie jak czekolada, mięta, truskawka lub banan. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby zmieniać kolor drinka za pomocą diody LED. Użytkownicy mogą stworzyć kwaśne, zielone, miętowe mojito lub słono-kwaśną, czerwoną, truskawkową margaritę. Wszystko na bazie wody.

Ranasinghe eksperymentował również z symulacją słonego smaku. Poprosił uczestników o zjedzenie purée palczkami wyposażonymi w elektrody. Palczki nie są sztucznym pierwszego wyboru do purée – chodziło o to, żeby użytkownicy musieli zliżywać lepkie ziemniaki, a więc ich języki stykały się z elektrodami.

SPACER W LESIE BEZ KOMARÓW

Gdy rodzice i eksperci biją na alarm, podkreślając uzależniający i szkodliwy wpływ nowych technologii na młode pokolenie, wyniki badań nie pozwalają na jednoznaczne wnioski. Największa praca na temat wpływu cyfrowych rozrywek, która uwzględniła również czynniki genetyczne, udokumentowała m.in. wzrost inteligencji u dzieci, które na graniu spędzały więcej czasu. Pewne pozostaje natomiast, że od nowych technologii nie ma już odwrotu. Ostatnią rzeczą, na jaką spoglądamy przed snem, pozostaje ekran. To również pierwsza rzecz, jaką widzimy po przebudzeniu.

Ich wpływ nie musi jednak ograniczać się do rozrywki. Może kompensować to, co odbiera nam współczesna cywilizacja.

Sposób życia typowy dla mieszkańców zindustrializowanej zachodniej kultury stoi w sprzeczności z warunkami, w jakich gatunek Homo sapiens spędził olbrzymią większość swojej historii. Nie tylko ogranicza bezpośrednie kontakty międzyludzkie, ale często wręcz uniemożliwia kontakt z naturą. Symulowanie doświadczeń może pomóc w obu przypadkach.

Już dekadę temu psycholog Deltcho Valtchanov z University of Waterloo w Kanadzie udokumentował, że zanurzenie się w wygenerowanej komputerowo przestrzeni przyrodniczej spowodowa-

ło wzrost pozytywnych uczuć, takich jak szczęście, życzliwość, sympatia i radość. Zaobserwowano również spadek uczuć negatywnych, w rodzaju strachu, złości i smutku oraz obniżenie poziomu stresu, zarówno odczuwanego, jak i na poziomie fizjologicznym. Valtchanov i jego współpracownicy doszli do wniosku, że spotkania z naturą w rzeczywistości wirtualnej przynoszą efekty zbliżone do tych, jakie występują w trakcie rzeczywistych spacerów i wypoczynku.

Uczestnicy eksperymentu mieli ocenić, jak bardzo godne zaufania są prezentowane im twarze.

Technologia deepfake wygrała ze zdjęciami realnych osób



Sam pomysł terapii przez kontakt z naturą nie jest oczywiście nowy. W 1982 r. Japońska Agencja Leśnictwa w trosce o obywateli trapionych chorobami cywilizacyjnymi i powszechnym przepracowaniem zaleciła im shinrin-yoku, „kąpiele leśne”. Wkrótce nieżyjący już twórca socjobiologii Edward Wilson spopularyzował termin „biofilia”, którą definiował jako intuicyjną i wrodzoną tendencję do skupiania się na życiu i jego procesach. Teraz kąpiele leśnych będziemy mogli zażywać bez wychodzenia z domu. A o kontakt z naturą może być coraz trudniej. Nie chodzi o zmiany klimatyczne, tylko o raport ONZ, który wskazuje, że obecnie ponad połowa mieszkańców świata żyje w miastach, a do 2050 r. już ponad 70 proc. ludzi będzie zamieszkiwać obszary zurbanizowane.

Jeśli nie przekonują nas wirtualne spacer po leśie, warto pamiętać, że nowe technologie to również przyszłość medycyny. Już teraz pomagają wielu chorym. Tzw. substytucja sensoryczna polega na dostarczaniu osobom pozbawionym dostępu do określonego zmysłu (np. wzroku) niedostępnej informacji za pośrednictwem innego zmysłu (np. słuchu). Możemy zatem „widzieć” za pomocą słuchu czy dotyku.

Jak stwierdza prof. Wierchoń, który zajmuje się substytucją sensoryczną: - Konstruowanie nowych

FOT. GETTY IMAGES

Jutronauci 2022

- Pandemia koronawirusa i wojna w Ukrainie poważnie zmieniły naszą rzeczywistość i wywołują wiele obaw o przyszłość. W tej, szóstej już, edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, duży nacisk położymy na przyszłość edukacji. Jak musi zmienić się szkoła, żeby przygotować dzieci na wyzwania przyszłości? Gdzie młodzi mają się uczyć wartości, skoro w posadach trzęsą się ich dotychczasowe gwaranty: Kościół i rodzina? Zastanowimy się też, jak pod wpływem migracji zmienia się nasze społeczeństwo.

- W tym roku ponownie spojrzymy poza horyzont aktualności i spróbujemy zrozumieć, jak może wyglądać nasza przyszłość w najrozmaitszych dziedzinach. Na Wyborcza.pl/jutronauci oraz na łamach „Wyborczej” czekają na Państwa eseje, analizy oraz podcasty. Zaprosimy Państwa też do oglądania debat z udziałem jutronautów oraz ekspertów.

PARTNER WSPIERAJĄCY:

FANUC

systemów generujących precyzyjne i realistyczne bodźce dotykowe sprawdzi się tam, gdzie informacja dotykowa ma pozwalać jednostce lepiej funkcjonować w środowisku. „Przetłumaczenie” bodźców wzrokowych na bodźce dotykowe wymaga jednak precyzyjnego urządzenia.

Dr Komendziński: – Już teraz dokonujemy interwencji w celach rehabilitacyjnych czy neurorehabilitacyjnych za pomocą chipów, implantów bądź pośredniej stymulacji procesów przetwarzania informacji, najczęściej elektrycznej lub magnetycznej.

STUDENCI MYŁĄ BACHA Z ALGORYTMEM

Niezależnie od tego, czy na sceny rodem z „Matrixa” przyjdzie nam jeszcze poczekać, warto pamiętać, że w technologii to, co dekadę temu wydawało się wynalazkiem rodem z s.f., jutro może stać się rzeczywistością. Pierwszy komputerowy układ scalony opracowany w 1958 roku miał dwa tranzystory. W 2013 roku jeden układ scalony miał ich już 2,1 miliarda, a gdy w 2019 r. kalifornijski start-up Cerebras Systems zbudował największy na świecie układ scalony, Wafer Scale Engine (WSC), było to już 1,2 bln tranzystorów. Jego następcą ma 2,6 bln tranzystorów. Być może dlatego słynny futurolog Ray Kurzweil przewiduje, że w ciągu następnych stu lat doświadczymy odpowiednika 20 000 lat postępu.

Gdy w 1997 r. DeepBlue wygrał w szachy z człowiekiem, „New York Times” stwierdził, że „być może nie wcześniej niż za 100 lat komputer pokona człowieka w go – jeśli nie później”. Pomyłono się o 80 lat – w 2015 r. mistrz Europy w go Fan Hui został pokonany przez algorytmy. Jak szacuje Związek Go, liczba do wyrażenia ilości możliwych partii w grze jest 300-cyfrowa. W szachach według szacunków informatyka Claude’a Shannona to „zaledwie” 120-cyfrowa liczba.

Gdy teoretyk muzyki Gaëtan Hadjeres stworzył program DeepBach na podstawie 389 chorali Bacha, algorytmy zaczęły same tworzyć utwory. 45 proc. studentów kompozycji nie było w stanie odróżnić ich od oryginału.

Możliwe, że spełnimy marzenie o symulowaniu rzeczywistości, ale w odmienny sposób - cała technologia, nad którą obecnie pracujemy, za dekadę lub dwie okaże się bezużyteczna. Po co symulować działanie zmysłów rzeźbionych w odpowiedzi na plejstoceńskie zagrożenia, kiedy wrażenia będziemy mogli generować bezpośrednio w mózgu? Bez zestawu diod, gogli do wirtualnej rzeczywistości czy nieporęcznych elektrod?

Takiego zdania jest Hans Moravec, futurolog z Carnegie Mellon University. Jak podkreśla: „Zmysły nie mają przyszłości”. Jego zdaniem to relikw ewolucji, który nie sprawdzi się w świecie nowych technologii. Jak zauważa w artykule o tym samym tytule: „Zmysły rozwijały się, gdy świat był dziki, umożliwiając naszym przodkom wykrywanie subtelnych okazji i niebezpieczeństw. Zmysły są mniej przydatne w oswojonym świecie, w którym nasze interakcje stają się coraz bardziej prostą wymianą informacji. Ten anachronizm stanie się jeszcze bardziej widoczny, gdy upowszechnią się wirtualne rzeczywistości, protezy narządów zmysłów i interfejsy mózg-komputer. Byłoby o wiele lepiej ominąć całe przetwarzanie sensoryczne i wprowadzić wiadomość z komputera bezpośrednio do myślących regionów mózgu. W ten sposób wszystkie nasze zmysły staną się przestarzałe, ponieważ nasze środowisko fizyczne nieubłaganie przekształca się z surowego miejsca fizycznego w gęsto połączoną cyberprzestrzeń”.

Być może szybciej uda nam się przenieść wrażenia zmysłowe do świata cyfrowego, niż o nich rozmawiać. Filozofowie już dawno opisali zjawisko jako problem qualiów – subiektywnych doświadczeń zmysłowych, których nie sposób zwerbalizować. Jak opisać komuś, kto nigdy nie jadł truskawek, ich smak? To czysto subiektywne doświadczenie.

Nawet w pełni realistyczne symulowanie doświadczeń nie odpowie na wiekowe pytania. Jacek Dukaj: „Zresztą i dysponując technologią przekazu z mózgu do mózgu, nie przełamiemy paradoksu subiektywnej świadomości. Jako że oczywiście nie włamiemy się do cudzego umysłu i nie przeżyjemy jako ten umysł takiej a takiej kombinacji przepływów sygnałów po synapsach”. ●

• **Pracownicy ogrodu społecznego w faweli Manguinhos, w Rio de Janeiro. Produkują żywność w miejscu, które wcześniej był narkotykowym zagłębieniem**

FOT. BRUNA PRADO VAP

Kocham porządku. Co roku na początku stycznia sprzątam w swoim życiu. Przyglądam się jego poszczególnym sferom – praca, dom, czas wolny. Na pierwszej stronie nowego kalendarza wypisuję listę spraw, które już zakończyłam i z którymi czas się pożegnać. A niżej listę tych, którymi chciałabym się w nadchodzącym roku zająć. Od kilku lat na tej liście znajduje się hasło „kryzys klimatyczny”. Zwykle z wykrzyknikiem. Albo z podwójnym podkreśleniem. Bardzo przejmuję się zmianami klimatu. Każda informacja o pożarach w Australii, wylesianiu Amazonii, rosnących emisjach gazów cieplarnianych powoduje u mnie wręcz fizyczny ból. Przeraża mnie to, jak niewiele się robi, by powstrzymać zmiany. Chciałabym zacząć działać w tej sprawie. Tylko jak?

Nie boję się ograniczeń w swoim życiu. Jestem gotowa niczym ekologiczna Marie Kondo przyrzeć się każdej rzeczy w swoim domu i zapytać: „Ile dwutlenku węgla emituje produkcja i transport tego przedmiotu?”, „Jaki jest mój ślad węglowy?”, „Jak mogę go zmniejszyć?”. Pod hasłem z wykrzyknikiem notuję nieśmiało działania, które przychodzą mi do głowy: segregować śmieci, ograniczyć podróże, kupować mniej przedmiotów. Ale prawda jest taka, że nie mam pojęcia, czy te czynności naprawdę mają jakiś wpływ na klimat. Zwykle kończy się więc tak, że hasło zapisane w kalendarzu nie przekłada się na konkretne działania. Po kilku tygodniach po prostu o nim zapominam.

W tym roku uparłam się i postanowiłam zajrzeć pod powierzchnię.

ŻÓŁW W TOREBCE

Na początek dobra wiadomość – nie jestem jedyną osobą, która jest jednocześnie przejęta i zagubiona. To bardzo powszechny stan. W październiku 2021 roku grupa Kantar przeprowadziła w dziesięciu krajach (między innymi w USA, UK, Singapurze i Polsce) badania stosunku ludzi do kryzysu klimatycznego. Wynika z nich, że 62 proc. osób (w Polsce 56 proc.) uważa, że zmiany klimatyczne to najważniejsze ze współczesnych wyzwań związanych ze środowiskiem naturalnym. W sumie 78 proc. ankietowanych jest nimi zaniepokojonych, ponad połowa czuje, że w jakiś sposób już dotknęły ich osoby. Dwie trzecie sądzi, że inni obywatele, rządy i korporacje są dużo mniej zainteresowani tym problemem niż oni. Jednocześnie upatrują rozwiązań w innowacjach technologicznych, a nie w zmianach swoich nawyków. Trzech na czterech respondentów uważa, że robi dla planety wystarczająco dużo. 76 proc. byłoby w stanie zaakceptować ostrzejsze zasady w codziennym życiu, ale prawie połowa uważa, że wcale nie musi tego robić. Jakby sądzili, że ewentualne ograniczenia powinny dotyczyć wyłącznie innych – tych, którzy nie robią dla środowiska wystarczająco dużo. Jako najważniejsze akcje, które mogą coś zmienić, wymieniają: ograniczanie śmieci i recykling, ochronę lasów i zagrożonych gatunków (pewnie pod wpływem zdjęć na facebookowych wallach, które poruszają nasze sumienia, prezentując żółwie i koniki morskie zaplątane w plastikowe torebki). Najmniej ważne są dla nich: ograniczenie handlu międzynarodowego, rezygnacja z jedzenia mięsa, ograniczenie lotów i korzystania z pojazdów na ropę. Wyraźnie widać, że najmniej popularne są te rozwiązania, które najbardziej wpływają na styl życia przeciętnego człowieka. Ponad połowa respondentów przyznaje jednak, że tak naprawdę nie wie, w jaki sposób mogłaby zmienić swoje życie na bardziej przyjazne klimatowi.



JAK POOKOC
SWÓJ ŚLAD
WĘGLOWY

Czy to, że nie jem mięsa i jeżdżę na rowerze, może powstrzymać zmiany klimatu, czy to tylko korporacje próbują przerzucić na mnie poczucie winy za zniszczone środowisko?

URSZULA JABŁOŃSKA



OBYWATEL ZAMIAST KONSUMENTA

Druga wiadomość jest gorsza – Rebecca Solnit, amerykańska historyczka i eseistka, jedna z moich największych idolek, uważa, że to w ogóle nie ma sensu. W głośnym felietonie w dzienniku „The Guardian” przytacza informację, że samo pojęcie osobistego śladu węglowego zostało stworzone w 2004 roku przez firmę PR na zlecenie petrochemicznego giganta BP. Miało pomóc wykreować poczucie, że kryzys klimatyczny nie jest winą koncernów energetycznych, tylko stylu życia ludzi. „Indywidualnych wyborów nie uda się upowszechnić z prędkością, która jest w stanie wpłynąć na problem w odpowiednim czasie; może to sprawić kolektywna akcja mająca na celu zmianę prawa” – pisze Solnit. Radzi zatroskanym kwestią klimatu, którzy mają wolny czas i pieniądze, żeby nie marnowali ich na deliberacje nad tym, czy polecą na konferencję samolotem, czy pojadą pociągiem. Powinni je przeznaczyć na walkę o wprowadzenie proklimatycznych regulacji prawnych. Bo tylko wtedy jest szansa, że zmiany nastąpią wystarczająco szybko. Solnit argumentuje, że nie możemy definiować się jako konsumenci, czyli przez to, co kupujemy czy czego używamy, powinniśmy zdefiniować się jako obywateli

– cząstki elementarne politycznego systemu – i z tej pozycji walczyć o zmiany.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że najlepiej mamy do powiedzenia na wyborach. Doceniam także wartość protestów i rozumiem, że powinniśmy naciskać na ludzi u władzy w sprawie proklimatycznych regulacji. Jednak chciałabym, żeby Rebecca Solnit przyjechała ze słonecznego San Francisco do Polski i poczuła to, co czuję ja po latach bezowocnych protestów w sprawach tak podstawowych jak prawa reprodukcyjne kobiet. Nigdy nie zapomnę uczucia zapadania się w czarnej otchłani absurdu, kiedy w październiku 2020 roku, marznąc na demonstracji przeciwko ustawie zakazującej aborcji, uświadomiłam sobie, że zamiast mierzyć się z rzeczywistymi wyzwaniami współczesności, jakimś bez wątpienia są zmiany klimatu, muszę cofać się do spraw, które dawno już powinny być oczywiste. Poza tym chciałabym zobaczyć twarde dane odnośnie do tego, co ma największy wpływ na ograniczenie emisji. O jakie dokładnie regulacje powinienam walczyć? W jakiej sprawie protestować?

MNIEJ MIĘSA I DZIECI

Znajduję je na stronie projektu Drawdown. W 2013 roku zainicjował go Paul Hawken, amerykański ekolog i pre-

biorca, by cztery lata później wydać książkę „Drawdown: The Most Comprehensive Plan Ever Proposed to Reverse Global Warming”, która szybko została bestsellerem „New York Timesa”. Hawken przedstawia około 100 konkretnych rozwiązań podzielonych na różne kategorie – na przykład energia, jedzenie, budynki czy miasta – z dokładnymi opisami, ile emisji pomogą ograniczyć. Chwali się, że nad projektem pracowało ponad 200 naukowców, polityków, aktywistów, którzy dokładnie zmierzili wpływ każdego z tych rozwiązań na klimat. Z tabeli na stronie Projectdrawdown.org, dowiaduję się, że jeżeli chcemy utrzymać wzrost emisji na poziomie 1,5 stopnia do roku 2100, najważniejsze czynności to: instalacja lądowych elektrowni wiatrowych (w latach 2020-50 pozwoli oszczędzić 150 gigaton wyemitowanego dwutlenku węgla) i systemów fotowoltaicznych na dużą skalę (120 gigaton). Zaraz potem plasuje się ograniczenie odpadów spożywczych (jedna trzecia wyprodukowanego jedzenia nie jest zjadana, więc marnuje się energia, którą trzeba włożyć w jego produkcję i transport) i ograniczenie spożycia mięsa (po około 90 gigaton). Na piątym miejscu jest powszechny dostęp do edukacji i metod planowania rodziny, co, jak rozumiem, jest eufemistycznym ujęciem kontrowersyjnej propozycji, że ludzie powinni jednak mieć mniej dzieci. Aktualnie ONZ szacuje, że populacja ludzi wzrośnie niemal do 10 miliardów w 2050 roku, a to na pewno nie przyczyni się do redukcji emisji.

Dane projektu Drawdown potwierdzają to, co pisze Solnit. Popularne rozwiązania, które można łatwo zastosować w swoim życiu, poza tymi związanymi z jedzeniem, wcale nie mają aż tak wielkiego wpływu na emisje – elektryczne samochody pozwolą zaoszczędzić maksymalnie 11,5 gigatony, korzystanie z rowerów 6,5, a recykling jedynie 6 gigaton. Z danych Drawdown wynika więc, że aby mieć wpływ na klimat, powinienam walczyć o przejście na zieloną energię, nie marnować jedzenia, nie jeść mięsa, ewentualnie nie mieć dzieci. Może jeszcze zaangażować się w działania na rzecz poprawy sytuacji kobiet. Wszystkie te warunki spełniam od lat. Czy to możliwe, że powstrzymanie zmian klimatycznych będzie aż tak proste i bezbolesne dla mojego stylu życia?

Kiedy analizuję te dane, moją uwagę zwraca jedna rzecz. Hawken upatruje rozwiązań głównie w technologii. Na przykład gdy omawia kwestię lotnictwa, nie wspomina o tym, że można by ograniczyć liczbę lotów, które rocznie emitują około 1 gigatony dwutlenku węgla. Koncentruje się na tym, aby wprowadzać do obiegu najnowsze i najbardziej energooszczędne maszyny, ulepszać silniki, jak najszybciej zezłomować stare modele. W wywiadach Hawken zapewnia, że kryzys klimatyczny nie musi oznaczać dla ludzi poświęceń, wręcz przeciwnie – więcej miejsc pracy, rozwój i poprawę warunków życia. To obraz walki z emisjami, który łatwo sprzedać rządowi czy korporacjom. Być może nie powinno to dziwić, skoro Hawken sam jest przedsiębiorcą i doradza w kwestiach ekologii takim firmom jak Ford czy Walmart.

Filozofka Ingrid Robeyns: Należałoby określić granicę bogactwa. Patrząc od strony etyki, nikt nie powinien posiadać więcej, niż potrzebuje do satysfakcjonującego życia

ZIELONY WZROST GOSPODARCZY NIE ISTNIEJE

Jednak wątpliwości pojawiają się w mojej głowie pewnego popołudnia, kiedy słucham wiadomości w radiu. Pierwszy news dotyczy szczytu klimatycznego w Glasgow, na którym po raz pierwszy w historii wszyscy delegaci zgodzili się, że należy wycofać się z paliw kopalnych (mam nadzieję, że tutaj wybrzmiewa mój sarkazm). Drugi – tego, że mimo pandemii COVID-19 Unia Europejska wciąż ma szanse na wzrost gospodarczy. W głowie kołaczę mi pytanie – czy to się przypadkiem nie wyklucza? Czy możliwe jest radykalne ograniczenie emisji przy zachowaniu wzrostu gospodarczego? Wydaje mi się, że nie.

Podobnego zdania jest dziennikarz i autor George Monbiot, który w „Guardianie”, w artykule „Capitalism is killing the planet – it’s time to stop buying into our own destruction”, zaznacza, że jeżeli chcemy osiągnąć 3 proc. wzrostu gospodarczego rocznie, aktywność ekonomiczna do 2045 roku będzie musiała się podwoić. A wraz z nią – emisje i inne fatalne skutki dla środowiska. Nie ma czegoś takiego jak zielony wzrost gospodarczy. Aktywności ekonomicznej jest po prostu za dużo. Samo wytwarzanie rzeczy i ich transport to mnóstwo energii. Monbiot nie waha się wskazać palcem winnego – to kapitalizm. Koncerny naftowe bogacą się, zaciągając dług u przyszłych pokoleń, które nie będą już mogły cieszyć się bezpieczeństwem i dobrobytem, którym względnie mogliśmy cieszyć się my. Ten dług tak naprawdę napędza właśnie wzrost gospodarczy. Wszyscy bierzemy w tym udział, wszyscy wspieramy ten system naszymi pieniędzmi. I chociaż Monbiot, podobnie jak Solnit, przytacza argument o szkodliwości skupiania się na jednostkowym śladzie węglowym, skrupulatnie go oblicza, ponieważ wyraźnie wskazuje on winnych obecnej sytuacji. Najwięcej dwutlenku węgla emitują najbogatsi. Na przykład Bill Gates emituje aż 7,5 tys. ton rocznie, głównie za sprawą licznych podróży prywatnym samolotem. Tymczasem jeżeli chcemy utrzymać wzrost temperatury na świecie poniżej 1,5 stopnia, nasze osobiste emisje dwutlenku węgla nie powinny przekraczać 2 ton na osobę rocznie. Sprawdzam, że przeciętny mieszkaniec Polski emituje 7,52 tony dwutlenku węgla rocznie, USA – 15,5 tony, a Filipin – jedynie 1,2 tony.

Te wyliczenia odsłaniają niewygodną prawdę – nie uciekniemy od zmiany stylu życia. Żeby obniżyć emisje, wszyscy na globalnej Północy będziemy musieli mniej konsumować, podczas gdy mieszkańcy globalnego Południa mogą jeszcze trochę rozwinąć swoje gospodarki. Monbiot sugeruje, że najbogatsi powinni ograniczyć się najbardziej i nie pomogą im elektryczne samochody i nowoczesne silniki w prywatnych samolotach. W końcu dlaczego są najbogatsi? Dlatego, że przez lata eksploatowali zasoby naturalne ziemi, wykorzystywali tanią siłę roboczą i przyczyniali się do emisji gazów cieplarnianych. Najbogatsze 5 proc. ludzkości jest odpowie-

działne aż za 40 proc. emisji w latach 1990-2015. Monbiot przywołuje koncepcję „limitarianizmu”, którą przedstawiła belgijska filozofka Ingrid Robeyns. Zaproponowała, żeby tak jak jest określona granica ubóstwa, poniżej której nie powinien spaść poziom życia żadnego człowieka, tak samo określić granicę bogactwa. Patrząc od strony etyki, można powiedzieć, że nikt nie powinien posiadać więcej, niż potrzebuje do satysfakcjonującego życia. Robeyns proponuje, żeby pieniądze na działania, które trzeba będzie podjąć w związku ze zmianami klimatycznymi: przesiedlenia związane ze wyczerpaniem poziomem mórz czy inwestycje w zieloną energię, pozyskać z drastycznie wysokich podatków (nawet 100 proc.!) płaconych przez tych, którzy przekroczą granicę bogactwa. Podkreśla, że zmiany klimatyczne to oczywiście kwestia etyczna i polityczna, ale nie można rozpatrywać jej w oderwaniu od kwestii konsumpcji i nierówności społecznych.

Ja też bym chciała, żeby koszty walki ze zmianami klimatycznymi ponieśli najbogatsi. Dlaczego mam je ponosić ja – niezbyt zamożna mieszkanka Warszawy, która nigdy się na niczym nie wzbogaci, właścicielka 30-metrowej kawalerki po babci i starej hondy (zdaję sobie sprawę, że to i tak dużo)? Problem tylko w tym, że ani Monbiot, ani Robeyns, ani ktokolwiek inny nie ma żadnego pomysłu na to, jak najbogatszych do tego przekonać. Ponieważ łatwiej wyobrazić sobie koniec świata niż koniec kapitalizmu, nie wyobrażam sobie również, żeby któraś partia polityczna wygrała wybory, niosąc na sztandarach postulat ograniczenia wzrostu gospodarczego, nie mówiąc już o stuprocentowym podatku klimatycznym dla najbogatszych. Czy w tej sytuacji można winić ludzi przejętych kwestią klimatu, że wbrew radom Solnit zwracają się jednak ku temu, na co mają jakikolwiek wpływ – ku zmianie nawyków i ograniczaniu własnych emisji? Niestety, jest bardzo prawdopodobne, że odgórne regulacje klimatyczne wcale nie nadejdą wystarczająco szybko, by zapobiec katastrofie. Zamieniam się więc w ekologiczną Marie Kondo i otwieram na komputerze kalkulator śladu węglowego.

MÓJ ŚLAD: 6,83 TONY

Na początek – dom. Przeglądam rachunki za prąd i gaz i obliczam, ile zużyłam w ciągu ostatniego roku. Potem – loty. Niestety, były aż trzy. Samochód? Mam, i to stary, na benzynę, ale na szczęście nie jeżdżę dużo, ponieważ pracuję w domu. Muszę też podać, jaką stosuję dietę (od dawna nie jem mięsa, ale zdarza mi się zjeść rybę), ile pieniędzy wydaję na jedzenie, lekarstwa, ubrania, książki, restauracje, sport. I wreszcie jest mój ślad węglowy: 6,83 tony dwutlenku węgla rocznie. Dobra wiadomość jest taka, że jest niższy od śladu przeciętnego mieszkańca Polski (7,52 tony). Zła – że jeżeli chcę, aby temperatura na świecie nie wzrosła o więcej niż 1,5 stopnia, powinien wynieść 2 tony, czyli o prawie 5 ton mniej. Szukam na kalkulatorze winnych. To loty samolotem (wygenerowały aż 3 tony emisji) oraz mój styl życia, czyli to, co konsumuję – jedzenie, leki, ubrania, książki (2,5 tony). Energia, którą zużywam w domu, generuje 1 tonę. Zaskoczeniem jest to, że samochód, pociąg, metro w moim przypadku generują stosunkowo niewiele emisji.

Szykuję więc cięcia. Z jednej dalekiej podróży samolotem rocznie nie jestem w stanie zrezygnować. To moja praca, moja radość, pokaźny kawałek sensu życia. Ale po Europie mogłabym chyba zacząć jeździć pociągami? Lekki muszę brać, to niewiele da się zmienić. Nowych ubrań i przedmiotów codziennego użytku zasadniczo już prawie nie kupuję. Buszuję po internetowych lumpeksach, wymieniam się ubraniami z koleżankami. Jeżeli coś jest mi bardzo potrzebne, piszę ogłoszenie na sąsiedz-

kiej grupie internetowej i zazwyczaj dana rzecz znajduje się u kogoś w szafie do odkupienia za grosze. Lektury mogłabym w sumie kupować tylko w wersji elektronicznej (choć sama piszę książki, które wychodzą w papierze, więc nie wiem, czy to się liczy). Pozostaje jeszcze jeden winowajca – jedzenie. Nie spożywam mięsa, ale to, co jem, i tak generuje aż tonę emisji rocznie. Może tutaj jest pole do działania?

SAMOCHODY NAPĘDZANE ŚMIECIAMI

Akurat wykładam na półki paczki z mąką, kiedy podchodzi do mnie klientka, żeby zapytać, gdzie jest cynamon w laskach. To mój pierwszy dzień w sklepie, więc jestem jeszcze nieco zagubiona, ale po chwili odnajduję ostatnią paczuszkę przyprawy. Jako świeżo upieczona członkini Kooperatywy Dobrze muszę odbyć trzy godziny dyżuru w sklepie miesięcznie (mogę też więcej, jeżeli mam czas i ochotę) i raz na pół roku zapłacić składkę. Przysługuje mi wtedy zniżka na cały asortyment sklepu. Składają się na niego warzywa, owo-

ry miał pomóc lokalnym społecznościom przygotować się na przyszłość, w której energia nie będzie już tak łatwo dostępna (choć na początku stulecia więcej mówiło się o tym, że zasoby węgla i ropy są na wyczerpaniu, niż o konieczności świadomego odejścia od nich). Kinsale już w 2021 roku miało stać się wzorem miasta, które odeszło od ropy i drastycznie zredukowało emisje gazów cieplarnianych.

Autorzy planu przyglądali się różnym aspektom codziennego życia w mieście: transportowi, jedzeniu, edukacji, zdrowiu, turystyce. Doszli do wniosku, że Kinsale importuje 90 proc. jedzenia, jego wyprodukowanie, zapakowanie, przewiezienie pożera mnóstwo energii i generuje emisje. Miasto miało stać się właściwie samowystarczalne pod względem żywności, wypełnione sadami, które staną się częścią parków, i wspólnotowymi ogrodami, w których rosnąć będą warzywa. Mieszkańcy mieli być zrzeszeni w kooperatywie, która miała się zająć produkcją i sprzedażą jedzenia w lokalnym marketcie. Podobnie rzecz miała się z energią. Miasto, zamiast czerpać brudną energię z zewnątrz, powinno zainwestować we własne wiatra-

Mój ślad węglowy: 6,83 tony dwutlenku węgla rocznie.

Niższy od śladu przeciętnego mieszkańca Polski (7,52 tony).

Ale jeżeli chcę, aby temperatura na świecie nie wzrosła o więcej niż 1,5 stopnia, powinien wynieść tylko 2 tony

ce, jajka, miody i inne produkty, głównie od rolników z ekologicznych gospodarstw w okolicy Warszawy, a także inne, zawsze ze sprawdzonych źródeł (na przykład pomarańcze czy mandarynki od dostawcy z Sycylii). Jedzenie jest jak najmniej przetworzone, opakowania po jajkach czy słoiki zwrotne. W ten sposób skrócone są łańcuchy produkcyjne i dostaw, emisje ograniczone. A przede wszystkim – kooperatywę tworzą osoby podobnie jak ja przejęte kwestiami klimatu i ekologii.

W 2009 roku w mieście Totnes w Irlandii przeprowadzono eksperymentalny projekt – Transition Streets. Sąsiedzi mieli spotykać się w niewielkich grupach i zastanawiać się, jak mogą ograniczyć swój ślad węglowy. Wzięli w nim udział mieszkańcy prawie 500 domostw, a ci, których domy spełniały warunki techniczne, mogli starać się o grant na instalację na dachu paneli słonecznych. Efekt był zaskakujący – kiedy sąsiedzi poznali się i zaczęli rozmawiać o problemie emisji, szybko pojawiły się pomysły na lokalne rozwiązania, na przykład na założenie wspólnego ogrodu, w którym można uprawiać warzywa.

Pomysłodawcą projektu był Anglik Rob Hopkins. Zanim osiadł w irlandzkim Cork, podróżował po Indiach, Tybecie i Hongkongu. W Irlandii zaczął uczyć zasad permakultury (to podejście do ziemi, które stara się jak najwierniej naśladować procesy zachodzące w naturze) i w 2001 roku w college'u w mieście Kinsale poprowadził pierwszy dwuletni kurs ze zrównoważonego rozwoju. Wraz ze studentami wymyśliłi Kinsale Energy Descent Action Plan, któ-

ki albo panele słoneczne, znacznie usprawnić miejski transport, upowszechnić ekologiczne budownictwo.

W 2005 roku Hopkins przeprowadził się do Totnes i ogłosił je pierwszym Transition Town – Miastem Przemiany. Tam właśnie zaczął wdrażać wiele swoich pomysłów. Transition Streets to tylko jeden z nich. Mieszkańcy stworzyli markę Grown in Totnes – sprzedawali fasolę, mąkę czy ciastka z produktów, które wyrosły w obrębie 30 mil od miasta. Na dachach wielu domów, a nawet ratusza, pojawiły się panele słoneczne. Hopkins wpadł także na pomysł lokalnej waluty – funta Totnes, który mógł zostać wydany tylko na miejscu, co ograniczało ucieczkę pieniędzy poza miasto i ożywiało lokalną ekonomię. Jego idee chwyciły wśród mieszkańców, więc postanowił pójść za ciosem. W 2007 roku założył organizację Transition Network – każde miasto w dowolnym kraju na świecie mogło dołączyć i zapoczątkować zmiany u siebie. Aktualnie do sieci należą 2-3 tys. lokalnych społeczności w 50 krajach świata. Pod Bolonią członkowie stworzyli kooperatywę spożywczą, w ramach której ludzie wspólnie uprawiają ziemię. W Holandii powstała lokalna inicjatywa zbierania z domów organicznych odpadów i przetwarzania ich na gaz, którym zasilą się samochody. W Niemczech rośnie sieć ekologicznych cohousingów, czyli wspólnych domów. W Brixton, dzielnicy Londynu, sąsiedzi zebrałi 130 tys. funtów na budowę pierwszej elektrowni słonecznej, która jest własnością lokalnej społeczności. W Derbyshire

mieszkańcy sprzedają owoce i warzywa, które hodują w przydomowych ogródkach. Lokalne kooperatywy łączą się w coraz większe sieci, dzielą wiedzę i doświadczeniami, spotykają na konferencjach.

U podstaw Transition Network leży przekonanie, że z dużymi problemami (zmiany klimatyczne, nierówności społeczne, pogarszająca się sytuacja ekonomiczna) łatwiej poradzić sobie w skali lokalnej. Warto zadać sobie pytanie, jak nasze otoczenie odzwierciedla zmiany, które chcemy zobaczyć na świecie. Takie spojrzenie okazało się niezwykle atrakcyjne dla wielu aktywistów zmęczonych walką z władzami czy korporacjami, której efekty zwykle są słabo widoczne. Nareszcie mogli skoncentrować się na pozytywnym działaniu. Oczywiście Transition Network natychmiast spotkała się z krytyką. Kolektyw Trapese opublikował rozległą polemikę z jej założeniami. Zainspirowało go pewne zdarzenie: podczas planowania wspólnych warsztatów o zmianach klimatycznych lokalna grupa z Transition odmówiła poparcia dla ludzi z miejscowości Rossport, którzy walczyli z korporacją Shell o to, by nie prowadziła gazociągu przez ich tereny. Argument był taki, że ruch skupia się wokół pozytywnych przykładów, a nie protestów „przeciw”. Kolektyw Trapese w długim wywodzie podkreślał, że nie można odpuścić stawiania w obronie uciśnionych oraz walki z korporacjami, które niszczą przyrodę, czy z politykami o proklimatyczne prawo.

Ale czy to się wyklucza? Kiedy wykładam na półki kartony owianego mleka w sklepie Kooperatywy Dobrze i rozmawiam z klientem, który akurat dzisiaj jest klientem, a jutro zamienimy się rolami, myślę, że taka nowa lokalność pełni ważną funkcję, której można nie zauważyć na pierwszy rzut oka – tworzy oddolne wspólnoty ludzi o podobnych wartościach.

Rebecca Solnit w tym samym esej, w którym zniechęca nas do śledzenia osobistego śladu węglowego, przyznaje, że również przygląda się swojemu życiu. San Francisco, w którym mieszka, korzysta wyłącznie z zielonej energii, ponieważ lokalne władze to zorganizowały. Może swobodnie poruszać się rowerem po mieście, ponieważ sąsiedzka organizacja wywalczyła jakościowe ścieżki rowerowe. Rola lokalnych społeczności w tworzeniu rozwiązań proklimatycznych jest ogromna. Ale czy jesteśmy w stanie stworzyć społeczność, jeżeli się zastanowimy się nad swoimi wyborami i wartościami, które za nimi stoją? Nie dołączyłabym do kooperatywy, gdybym nie prześledziła swojego śladu węglowego i nie zastanowiła się, co jestem gotowa zmienić w swoim życiu, by go ograniczyć. Przebywanie z ludźmi, którzy starają się wokół siebie zorganizować coś inaczej, daje też nadzieję, że autostrada w przepaść, w którą prowadzi nas kapitalizm, to nie jest jedyna możliwa droga. „Opowiadamy się w ten sposób za drobnymi i doraźnymi zwycięstwami i za częściowymi sukcesami, gdy brakuje zwycięstw ostatecznych i pełnych, a być może są one wręcz niemożliwe” – pisał Paul Goodman, którego Solnit cytuje w swojej książce „Nadzieja w mroku”. A to daje z kolei siłę, żeby po raz kolejny stawiać się na demonstracji, której efekty nie staną się widoczne od razu, a być może nawet nigdy to nie nastąpi.

Indywidualne wybory i kolektywne akcja są jak siły yin i yang w filozofii taoistycznej – dopełniają się nawzajem. Dlatego dylemat, czy większy sens ma jeżdżenie na konferencje pociągami zamiast samolotem, czy chodzenie na demonstracje proklimatyczne, przypomina ten o kurze i jajku. Obie rzeczy mają sens, a często bez jednej nie ma drugiej. Dlatego za rok znów obliczę swój ślad węglowy, zastanowię się, w którym miejscu mogę dokonać zmian, i zobaczę, dokąd mnie to zaprowadzi. ●

PO PRAWDZIE

Winy Kaczyńskiego



Jest ich bez liku, skupię się na „oczywistych oczywistościach”.

Agnieszka Kublik

18 czerwca kończy 73 lata, jest spod znaku Bliźniąt. Bywają inteligentne, impulsywne, nerwowe, miewają dwie twarze, są kłamliwe, nieszczerze i powierzchowne, a także egocentryczne i chytre. Brakuje im empatii, skupiają się na sobie. Świetnie czują się na samodzielnych lub kierowniczych stanowiskach.

Czy to obraz Jarosława Kaczyńskiego?

Wygrał wybory w 2015 r. hasłem „Polska w ruinie”, gdy wmówił to 5,7 mln Polaków. Teraz PiS chce przekonać miliony, że zło to „wina Tuska”. Gdybym była opozycją, to znalazłabym odpowiedź: „Wszystko, co w Polsce złego, to вина Kaczyńskiego”.

W ubiegłym roku Polacy czekali na wyrok dwa razy dłużej niż 10 lat temu, mimo to Ziobro opowiada, że czeka się krócej. Bo jego resort zestawiał dane, które są nieporównywalne – pierwszy kwartał tego roku z całym poprzednim rokiem.

A przewlekłość w sądach to ogromny problem dla frankowiczów – postępowania mogą trwać latami, rekordziści na rozprawę czekają nawet pięć lat.

Media publiczne tracą na wiarygodności, a mimo to dostają miliony z budżetu, by PiS nie utracił władzy. To wbrew pozorom ma sens, bo aż 86 proc. wyborców PiS ma o TVP jak najlepsze zdanie.

Chorzy długo czekają na opis badań diagnostycznych. Jak podał NIK, w trybie stabilnym w 17 proc. przypadków na opis badania czeka się ponad 14 dni, a rekord wyniósł aż 168 dni. W trybie pilnym na co dziesiąte badanie czekało się powyżej dwóch tygodni – nawet 64 dni.

Daruję sobie inflację, ceny benzyny, chleba, masła, owoców i warzyw, bo to oczywista вина Kaczyńskiego, skoro rządzi wszystkim i wszystkimi.

Wszystkie afery po 2015 r. – вина Kaczyńskiego. A to, że winni nie zostali ukarani – вина Kaczyńskiego.

Weźmy sprawę respiratorów, na które poszły miliony, a które nie nadały się do użytku. Śledczy z Koalicji Obywatelskiej – posłowie Michał Szczęba i Dariusz Jorński – twierdzą, że za aferą z respiratorami kupionymi od handlarza bronią Izdebskiego stoi Morawiecki. Co gorsza, na polecenie Morawieckiego te same respiratory od Izdebskiego kupiła spółka KGHM. Potem odkupiła je kancelaria premiera po 159 tys. zł za sztukę (cena ryn-

kowa 65 tys. zł), a cała umowa ze spółką E&K opiewała na 100 mln. Premier zaprzecza, ale tak, to вина Kaczyńskiego, że mamy premiera, który nie kłamie, gdy się pomyli.

Afera z „wyborami kopertowymi”, do których nie doszło, a które pochłonęły co najmniej 70 mln zł. Tu Kaczyński się przyznał, że

parł do wyborów, zablokował je Jarosław Gowin, więc jest poza rządem i Zjednoczoną Prawicą.

Afera „srebrnych wież”, w której podejrzenia o oszustwo padły na samego Kaczyńskiego, trafiła do prokuratury tylko po to, by ta odmówiła wszczęcia śledztwa.

Afera KNF nie została wyjaśniona do dziś. Zaczęła się w listopadzie 2018 r., kiedy „Wyborcza” ujawniła stenogram rozmowy przewodniczącego Komisji Nadzoru Finansowego Marka Chrzanowskiego z Leszkiem Czarneckim, właścicielem Getin Noble Banku i Idea Banku. Chrzanowski obiecywał Czarneckiemu spokój w zamian za zatrudnienie znajomego prawnika i sowite wynagrodzenie – 1 proc. wartości Getin Noble Banku, co bankier wyliczył na 40 mln zł. Po ujawnieniu nagrania Chrzanowski został zmuszony do dymisji, a potem zatrzymany. Przed zatrzymaniem pozwolono mu przez kilka godzin czyścić gabinet. Jest na wolności, publicznie bronił go prezes Narodowego Banku Centralnego Adam Glapiński. Chrzanowski jest dzisiaj pracownikiem Szkoły Głównej Handlowej. Pracuje w Instytucie Ekonomii Politycznej i Polityki Gospodarczej, w Katedrze Polityki Gospodarczej i Teorii Pieniądza. Ma tam etat pracownika badawczego, od wybuchu afery nie pracuje bezpośrednio ze studentami.

No i afera hejterska u samego Ziobry. Posłuszni mu sędziowie planowali akcje oczerniające sędziów przeciwnych zamachowi na wymiar sprawiedliwości. Wykorzystywali poufne dokumenty Ministerstwa Sprawiedliwości, współpracowali z prorządowymi dziennikarzami.

A te horrendalnie wysokie nagrody, jakie przyznała swojemu rządowi premier Beata Szydło? Aż 22 ministrów jej gabinetu w latach 2016-17 dostało od kilkudziesięciu do ponad 110 tys. zł, co zdarzyło się po raz pierwszy w historii III RP (dotychczas byli nagradzani co najwyżej wiceministrowie). Sprawa przeszła do historii po sejmowym wystąpieniu Szydło, która odpowiadając opozycji, krzyczała: „Te pieniądze po prostu się należały”.

No i afera Pegasusa. Władza kupiła za 35 mln zł izraelski system, który pozwala na śledzenie smartfonów oraz ich użytkowników za pieniądze z resortu sprawiedliwości przeznaczone na Fundusz Pomocy Ofiarom Przestępstw. PiS wykorzystał tę cyberbroń do śledzenia opozycji podczas kampanii wyborczej w 2019 r.

Tak, ta вина Kaczyńskiego jest bezsporna. ●

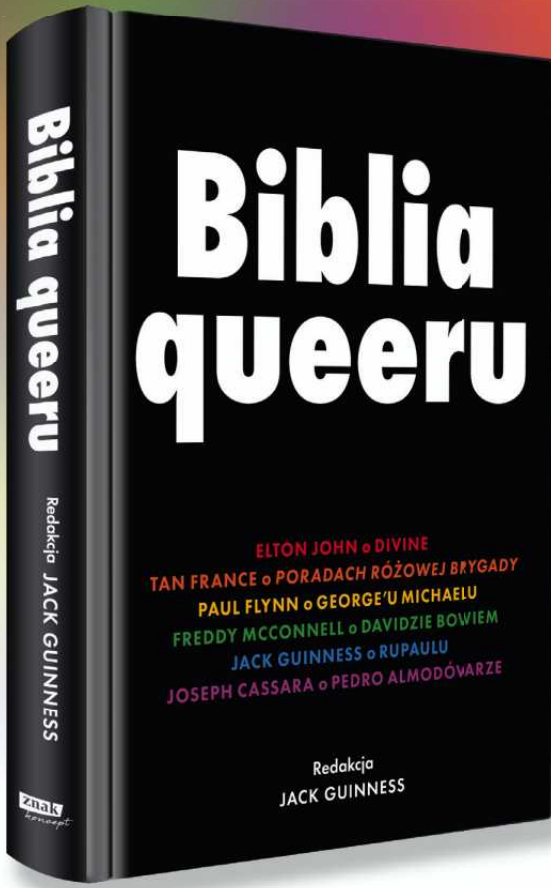
Z TYM WYDANIEM DOSTAJĄ PAŃSTWO DOSTĘP DO:

1.

Serwisu Wyborcza.pl na sobotę i niedzielę

2.

Fragmentu książki „Biblia queeru” Jacka Guinnessa



Gwiazdy świata sztuki i publicystyki wyjaśniają, dlaczego dotychczas przemilczane tematy przedostały się do najpopularniejszych czasopism, stacji telewizyjnych oraz rozgłośni radiowych. Autorzy oddają głos tym, którzy przecierali szlaki dla kolejnych nieheteronormatywnych pokoleń. Dzięki tej książce dowiesz się, jak powstawała queerowa popkultura.

Twój wyjątkowy kod dostępu

do fragmentu książki „Biblia queeru” Jacka Guinnessa oraz treści Wyborcza.pl na ten weekend:

BQU22GJ

Aby skorzystać z kodu:

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend
- 5 Fragment książki czytaj na Wyborcza.pl/czytelnia

Jeśli masz pytania lub kłopot z aktywacją kodu, chętnie pomożemy. Skontaktuj się z infolinią: tel. 22 555 54 55 (sob. 9-17), e-mail: pomoc@wyborcza.pl.

NASZA EUROPA



FOT. MISTYSLAV CHERNOV/AP

Iker Seisdedos

EL PAÍS

Przeszłość i przyszłość klimatu są przechowywane w temperaturze 34 st. poniżej zera w chłodni na Ohio State University w Columbus. Paleoklimatolog Lonnie Thompson spędził ostatnie 40 lat na zbieraniu próbek lodu z całej planety i przechowywaniu ich w metrowych tubach, które ułożone w linii prostej miałyby długość ponad 7 km.

Na widok mojej zaniepokojonej miny, gdy zamykają się za nami drzwi trzech kolejnych pomieszczeń prowadzących do serca „lodowego archiwum”, naukowiec wyjaśnia, że system został zaprojektowany w taki sposób, aby uniemożliwić zatrzęsienie się w nim. „Poza tym mamy jakieś 20 minut, zanim zamrzniemy na śmierć”. Minęło zaledwie 20 sekund i, szczerze mówiąc, trudno mi w to uwierzyć.

Lonnie ma 73 lat, jego żona Ellen jest o rok starsza. Pod ich obliczami czcigodnych naukowców kryją się jednak rasowi poszukiwacze przygód. Wspinali się na najwyższe góry świata lub spędzali długie miesiące na odległych równinach Antarktydy, aby wiercić w lodowcach i głębokich warstwach lodu, zbierać próbki i przywozić je do Columbus w celu analizy w The Byrd Polar and Climate Research Center.

Dzięki tym badaniom uzyskują bezcenne dane na temat zachowania i zaburzeń pogodowych w przeszłości, które z kolei dostarczają wskazówek na temat obecnych zmian klimatu. Szukają takich kawałków lodu, które są jak linie czasu rejestrujące tysiące lat susz, opadów, pożarów, popiołów wulkanicznych, zawierając informacje o ilości gazów cieplarnianych, a nawet mikroby.

„Są one najlepszymi świadkami życia na naszej planecie. Lodowce nie mają żadnego programu politycznego. Nie wywierają na nikogo presji, ale są dowodem na to, że system klimatyczny zmienia się pod wpływem działalności człowieka” – mówi Lon-

nie. Należy do pokolenia naukowców, którzy dosłownie odkryli zmiany klimatu, widział również, jak masy lodu, którym poświęcił swoją karierę, kurczą się w ostatnich dziesięcioleciach – rekordy wahają się od 56 proc. w Quelccaya w Peru do 93 proc. w Puncak Jaya w Papui Nowej Gwinei.

Bjorn Stevens, dyrektor Max Planck Institute for Meteorology i przewodniczący jury, które przyznało Thompsonom tegoroczną nagrodę Frontiers of Knowledge Award for Climate Change, mówi: „Ich najbardziej oryginalnym wkładem są studia nad lodowcami tropikalnymi. Byli tam pionierami. Eksploracja obszarów polarnych była dobrze rozwinięta, gdy zdecydowano się na eksplorację pod tym kątem innych szerokości geograficznych, obejmujących Andy, Himalaje i Kilimandżaro. Wykonywali pomiary, których nikt inny nie dał rady zrobić”.

Sam Lonnie szacuje, że w sumie spędził około czterech lat życia na wysokościach zwykle nie do osiągnięcia dla zwykłych śmiertelników. Z kolei Ellen uczestniczyła w 15 wyprawach na Grenlandię i Antarktydę.

Już po dekadzie wspólnych badań zaczęli otrzymywać oferty z najbardziej prestiżowych instytucji w USA, ale woleli pozostać w Ohio. W 2015 r., kiedy Ellen była dyrektorem centrum, do jego nazwy dodano słowo „klimat”, bo zdano sobie sprawę, że prawie wszyscy zatrudnieni tam naukowcy są w taki czy inny sposób zaangażowani w badania nad zmianami klimatu.

Personel to dziś ok. 60 osób. Pracują w pomieszczeniach bez okien, w których na drzwiach wiszą dowcipy o paleoklimatologach („Jestem na Antarktydzie, zaraz wracam”). Jest też pierwsza cyfrowa mapa Antarktydy o wysokiej rozdzielczości, wykonana przy udziale Centrum ze 187 585 zdjęć satelitarnych. W ogromnym, skąpanym w naturalnym świetle pomieszczeniu znajduje się Amerykańskie Repozytorium Skał Polarnych, gdzie Anne Grunow czuwa nad archiwum liczącym 59 tys. eksponatów. „Dzięki nim mamy jakieś pojęcie o klimacie w dawnych czasach” – mówi. Są też pomieszczenia, w których przechowywany jest sprzęt do ekspedycji, np. uwolniony w 1997 r. na Nevado Sajama w Boliwii unikatowy balon na ogrzane powietrze, oraz kilka laboratoriów. W laboratorium izotopów stabilnych

nowe urządzenia pomiarowe współistnieją ze starymi (i to zawsze parami, aby awaria nie sparaliżowała pracy). W dniu naszej wizyty rano był tam Ping Nan-Lin, który analizował dane dotyczące stężenia metanu wydobytego z lodu. Potem, ubrany jak Eskimos, udał się do chłodni w poszukiwaniu kolejnych próbek.

Lonnie Thompson w 1971 r. rozpoczął karierę w dziedzinie geologii węgla. Wybór sensowny dla kogoś, kto urodził się w Gas-saway w Wirginii Zachodniej, miasteczku w środku amerykańskiego zagłębia węglowego. Wtedy jednak pojawiła się możliwość podjęcia studiów polarnych. W pudełku ze zdjęciami lotniczymi odkrył istnienie Quelccaya, pięknego lodowca w południowo-wschodnim Peru. „Wszyscy badacze koncentrowali się na Grenlandii i Antarktydzie, ale przyszło mi do głowy, żeby poszukać gdzie indziej, bo przecież cywilizacja nie narodziła się w regionach polarnych – wspomina. – 70 proc. ludności świata mieszka

Lodowce nie mają żadnego programu politycznego. Nie wywierają na nikogo presji, ale są dowodem, że człowiek zmienił klimat. Za 25-30 lat jedynym dowodem na ich istnienie będzie nasza zamrażarka w Ohio

w strefie tropikalnej, gdzie występują również zjawiska pogodowe, które mają największy wpływ na cywilizację człowieka, takie jak El Niño i monsun”. Złożył wniosek o dofinansowanie, który został odrzucony. „Ale gdy na początku lat 70. po raz pierwszy wybrałem się na biegun południowy, w drodze doszedł do mnie teleks”. Człowiek, który zajmował się pieniędzmi na granty, oznajmiał w nim, że po sfinansowaniu „prawdzych” projektów pozostało jeszcze 7 tys. dol. dla Thompsona. Ten je przyjął i latem następnego roku wyruszył do Peru.

Sukces nie był natychmiastowy. Trzeba było przewieźć sprzęt i paliwo na dużą wysokość, która wykluczała użycie helikopterów. Pierwszy triumf w Quelccaya przyszedł, gdy Thompson już miał rzucić ręcznik i przenieść się na wydział ekonomii. Było to w 1983 r., podczas wyprawy, w której po raz pierwszy użył maszyn wiertniczych napędzanych energią słoneczną. „Spędziłem tam trzy miesiące. Nie mieliśmy pieniędzy na tragarzy, więc nasza szóstka musiała wnosić sprzęt na górę, na grzbietach koni i własnych. Nie było GPS-u, w zasadzie niczego. Ale mieliśmy szczęście – w tamtym roku El Niño był aktywny i codziennie zza chmur wychodziło słońce”.

Jak na naukowca przystało, Lonnie w dużej mierze polega na „szczęściu”. „Wybraliśmy Quelccaya – gdzie potem wracałem 25 razy – nie wiedząc, że to najlepszy możliwy wybór: okazało się, że jest to największa tropikalna pokrywa lodowa na świecie, a leży ponad Amazonią. To miejsce jest jak książka” – mówi. Wrócili z 6 tys. próbek. Od tego czasu wykonali odwierty w 16 krajach.

Rozmowa z Thompsonami to także opowieść o dość bolesnych przygodach z mrozem. Jak wtedy, gdy Ellen spędziła 21 dni, pracując na płaskowyżu we wschodniej części Antarktydy (w miejscu o znamiennej nazwie potocznej: Południowy Biegun Niedostępności), bo samolot z zaopatrzeniem miał problem z jej zlokalizowaniem: „Straciłam 9 kg, ponieważ nie da się jeść tak dużo, aby produkować w takim mrozie wystarczająco dużo kalorii i nie tracić masy ciała” – wspomina. Lonnie dodaje, że „z wiekiem wrażliwość na zimno się nasila, choć na szczęście ubrania bardzo się poprawiły”. Mówi też, że w jego przypadku, człowieka, który w wieku 64 lat przeszedł przeszczep serca, dodatkowym czynnikiem jest niedobór tlenu w wysokich partiach gór.

Chociaż i tak woli te trudności od logistyki związanej z dostarczaniem próbek z odległych miejsc do Columbus (kiedyś prawie stracił drogocenną przesyłkę na lotnisku w Pekinie, gdy już udało mu się ją przewieźć przez pół pustyni Gobi). Albo przeszkody biurokratyczne: „Kiedy pojawia się w jakimś odległym kraju i wyjaśniasz attaché naukowemu w naszej amba-

sadzie, co zamierzasz zrobić, on mówi: Wiesz, że jeśli coś ci się tam stanie, nie możesz liczyć na naszą pomoc, prawda?”.

Lonnie wspomina, że na początku spotykał się również z niezrozumieniem miejscowych: „Nie mogli uwierzyć, że idziemy po łód; podejrzewali, że szukamy złota i srebra”. Musiał też brać pod uwagę, że mieszkańcy tych regionów czasem uważają łodowce za miejsca święte, w których mieszkają „ich bogowie lub przodkowie”. „Zawsze powtarzam moim zespołom, żeby odnosili się do tubylców z szacunkiem, że jesteśmy tylko gośćmi”. Wspomina podróż do Papui Nowej Gwinei, podczas której zostali zaatakowani przez autochtonów. Korzystając z iluzorycznej ochrony umundurowanego przewodnika, zwołał ich na pełną napięcia naradę, podczas której oskarżyli go o próbę kradzieży wspomnień ich bogów. Na co Thompson: „Ależ my właśnie chcemy je ratować”.

Jego praca zaprowadziła go również do innych nieprzyjaznych środowisk, takich jak Senat USA, gdzie pojawił się na zaproszenie Ala Gore’a, późniejszego viceprezydenta. Było to w czasie, gdy to, co robili, z „obszaru butikowych badań”, jak ujmuje to Ellen, przechodziło do centrum uwagi ludzkości, która zaczynała uznawać zmiany klimatu za jedno z najważniejszych zjawisk.

Lonnie mówił senatorom, że na własne oczy widział, na łodowcach, że globalne ocieplenie to nieusuwalna rzeczywistość. „Przedstawiłem dowody, które wydawały mi się na tyle przekonujące, że sądziłem, iż coś zrobią. Byłem naiwny”. Dziesięć lat później pojawił się w Kapitolu ponownie i „wtedy dopiero pojawiły się wątpliwości co do paliw kopalnych”.

„Jak na standardy większości ludzi, nasza kariera była wspaniała – dodaje. – Ale ja widzę jedynie dowód naszej porażki; nie udało nam się niczego zmienić. Przeciwnie, jest jeszcze gorzej: emisje CO2 rosną szybciej niż kiedykolwiek, a klimat zmienia się bardziej, niż myśleliśmy. Wydawało się, że punkt zwrotny nastąpił w 2019 r., wraz z protestami młodzieży, ale potem przyszła pandemia i priorytety się zmieniły. A potem wojna w Ukrainie, która dobitnie pokazała, jak bardzo jesteśmy uzależnieni od źródeł energii”.

„Ale gdybyś zapytał mnie o przyszłość 15 lat temu – mówi Ellen – powiedziałabym, że nie mam nadziei. Studenci należeli wtedy do tzw. pokolenia ja. Nie obchodziło ich nic poza nimi samymi. Dzisiejsi są o wiele bardziej zaangażowani i uważni”.

Lonnie uważa natomiast, że „rozwiązanie nadziei, gdy firmy produkujące paliwa kopalne staną się po prostu firmami energetycznymi zajmującymi się energią wiatrową lub słoneczną”. „Jest to zmiana modelu, która będzie ich kosztować, ale nie mają wyboru. Zauważyłem to w moim miasteczku rodzinnym; węgla nie będzie tam wiecznie i ludzie to w końcu zaakceptowali. Problem polega na tym, jak długo to potrwa w skali globalnej i jak bardzo nieodwracalne będą trwające już procesy”.

Obecnie realizują film dokumentalny „Canary” (od kanarków w kopalni, których ofiara ostrzega przed toksycznymi gazami). Pomysł wyszedł od ich córki (zresztą wysokiej funkcjonariuszki FBI w Waszyngtonie), która powiedziała im: „Słuchajcie, zebranie jeszcze jednego rdzenia lodowego niczego nie zmieni, musicie podjąć wysiłek, aby świat dowiedział się o wynikach tych badań”.

Ostatnia wyprawa Thompsona odbyła się w 2019 r. – na Huascarán, peruwiański masyw o wysokości 6700 m, skąd obserwował falę pożarów, która pustoszyła wtedy Amazonię. Zebrał wtedy próbki, które „zapewniły rozrywkę” całemu zespołowi w czasie pandemii. Która zresztą dała im czas na opublikowanie kilku ważnych badań, np. po sześciu latach analiz zidentyfikowali 32 różne wirusy, które zostały zamrożone na 15 tys. lat, z czego 28 było wcześniej nieznanym. Fakt, że łód pochodził z otworów wywierconych w Gulya w Chinach, tylko ułatwił publikację w czasie, gdy świat zastanawiał się nad pochodzeniem koronawirusa.

Lonnie chce jeszcze raz pojechać do Quelccaya, latem 2023. A gdyby miał przed sobą więcej czasu, nie waha się: poleciałby na Marsa, szukać marsjańskiego lodu. Ponieważ jeśli coś jest dla niego oczywiste, to że nie ma lepszego zapisu historii niż łód. „To łód pozwala zrozumieć tę i każdą inną planetę”. ●

MADE IN CHINA

Dlaczego Chińczycy są zadowoleni, a Węgrzy nie



Czy naród w naszym mniemaniu zniewolony naprawdę takim jest, jeśli sam zniewolony się nie czuje?

Robert Stefanicki

Pełne paradoksów wyniki Indeksu Percepcji Demokracji, sondażu przeprowadzanego w 53 najważniejszych krajach pięciu kontynentów, odkrywają nie tylko to, jak różnymi (od naszych) problemami żyją inni, ale też jak względne są problemy.

Przyjrzyjmy się pytaniu o największe zagrożenia.

Pół świata obawia się wojny i konfliktów – widać efekt agresywnej Rosji (badanie prowadzono w kwietniu i maju). Ale ta obawa dotyczy głównie świata zachodniego.

Szwedzi czują się dwa razy bardziej zagrożeni wojną niż Pakistańczycy, położeni między niefunkcjonującym Afganistanem i odwiecznie wrogimi Indiami. Dania boi się wojny bardziej niż Izrael.

Afryka i Ameryka Południowa za główne zagrożenie uważają biedę i głód. Tak jak połowa Rumunów, Greków i Węgrów, którym członkostwo w Unii Europejskiej powinno złagodzić te obawy. Najmniej biedy i głodu boi się Azja – znak olbrzymiego postępu, jaki udało się osiągnąć na tym kontynencie.

Chiny i cała Azja obawiają się koronawirusa, choć relatywnie nieźle sobie z nim poradziły. W świadomości mieszkańców Europy Zachodniej jest to problem już prawie nieistniejący.

W tym kontekście ciekawa jest odpowiedź na pytanie o zadowolenie z reakcji rządów na pandemię – niezadowolone są tylko kraje europejskie: Francja, Niemcy, Polska, Węgry i Rumunia. Najwyższe noty – powyżej 90 proc. – dają rządowi Chińczycy, a zaraz za nimi Hindusi, choć pamiętamy dramatyczne sceny palenia zwłok w miejskich parkach z ubiegłego lata, gdy wirus zbierał w Indiach szczególnie obfite żniwo.

Ale w kolejnym punkcie Hindusi jakby sobie zaprzeczają – są bowiem narodem najmocniej krytykującym swój rząd za ograniczanie wolności w odpowiedzi na pandemię. Najmniej krytyczni są tu mieszkańcy Chin, potem Szwecji.

Kryzys klimatyczny trwoży wyłącznie państwa bogate, zdolne poradzić sobie z nim łatwiej niż biedne. W Algierii, Nigerii czy Egipcie wierzą, że mają większe problemy niż ocieplenie klimatu.

Globalnie 30 proc. ludzi twierdzi, że zmiany klimatyczne są jednym z największych wyzwań. Autorzy raportu podkreślają, że to wcale nie oznacza zgody, aby rząd uczynił walkę z kryzysem klimatycznym jednym z głównych priorytetów.

Ten rozróż jest ogromny w krajach tak różnych, jak Korea Południowa, Węgry, Chile, Kenia. A znacznie mniejszy w krajach najbogatszych.

Nierówności ekonomiczne są największym problemem dla mieszkańców Ameryki Południowej, ale też dla krajów południa Europy i Turków. Bliższy Wschód i Afryka znacznie mniej się nimi przejmują. Nie pokrywa się to z mapą współczynnika Giniego, obrazującego realny poziom nierówności. Oznacza to albo niedostrzeganie pro-

blemu w części najbardziej dotkniętych nim krajów, albo pogodzenie z nim.

Terroryzm spadł z pozycji „największego zagrożenia”. Wciąż przejmują się nim Izrael, Nigeria, a także... Rosja i Ukraina, co pokazuje, że definicja terroryzmu jest dziś równie uznaniowa, jak nazizmu.

Rasizm i dyskryminacja dalej uwierają Południowych Afrykanów, trzy dekady po upadku apartheidu, oraz co czwartego respondenta z USA. Europejczycy nie widzą problemu.

Autorytarnymi rządami najbardziej martwią się wcale nie ci, którzy ich bezpośrednio doświadczają, lecz mieszkańcy Ameryki Północnej i Japonii – mając na myśli rządy nie własne, lecz te w Moskwie i Pekinie.

Konia z rządem temu, kto zgadnie, który kraj dzisiaj najbardziej obawia się migracji. To Chile, które przyjęło rzeszę uciekinierów z Wenezueli. Na dalszych miejscach są kraje zachodniej Europy, lecz ten problem zajmuje już tylko co piątego Włocha czy Francuza.

Jednym z najbardziej uderzających paradoksów jest święte przekonanie Chińczyków, że żyją w demokracji. Taką odpowiedź wybrało aż 83 proc. respondentów netto, tzn. o tyle odpowiedzi pozytywne przeważały nad negatywnymi. Narzuca się kilka wyjaśnień. Pierwsze, że Chińczycy boją się mówić, co myślą, albo że mówią to, co wiedzą, że powinni powiedzieć. Ale wszyscy? Chiny to jednak nie Korea Północna, prowadzi się tam rozmaite sondaże uznawane za wiarygodne.

Drugie wyjaśnienie: Chińczycy są ogłupieni propagandą, która przekonuje ich, że Chińska Republika Ludowa jest krajem demokratycznym. Widać efekty odcięcia od informacji ze świata zewnętrznego, ale też inne badania pokazują, że Chińczycy ich wcale nie szukają, nawet jeśli im dać taką możliwość.

Co prowadzi do trzeciego wniosku: że nie wiedzą, co to demokracja. Mimo że w sondażu aż 91 proc. zapewnia, że demokracja jest dla nich ważna.

Zdumienie rośnie z kolejnymi pytaniami. Tylko 17 proc. Chińczyków nie wierzy, że w ich kraju odbywają się wolne i uczciwe wybory. Tylko 5 proc. – że panuje tam wolność słowa. To samo (?) 5 proc. uważa, że w Chinach nie wszyscy są równi wobec prawa (w USA – 42 proc.).

7 proc. Chińczyków jest zdania, że „ich rząd służy głównie interesom mniejszości”. Wśród Amerykanów jest to 63 proc. – za uprzywilejowaną mniejszość uznających, jak należy się domyślać, te czy inne elity.

Zadowolenie Chińczyków ze swojego modelu i zaufanie do rządu – bo tak należy odczytywać wyniki sondażu – nie jest nowym fenomenem, potwierdzają go inne badania renomowanych instytutów. Mało tego: z roku rok zadowolenie rośnie.

Dla odbiorcy zachodniego te wyniki mogą być szokujące. Starsi mają jeszcze przed oczami prodemokratyczny zryw na placu Tiananmen, który zbiegł się z upadkiem komunizmu w Europie. Ale od tego momentu minęło już półtora pokolenia. W Chińczykach zaszły duże zmiany, m.in. wyparowała z nich chęć buntu.

Po krwawo zduszonym proteście na Tiananmen były jeszcze dwa znaczące, mniej więcej równoległe przejawy bun-

tu społecznego. Zyskujący zaskakującą popularność ruch Falun Gong został bezwzględnie spacyfikowany. Z kolei fala lokalnych protestów przeciwko szkodliwym i niesprawiedliwym działaniom władz lokalnych była imponująca statystycznie, ale nie miała znaczenia w skali kraju.

Teraz zachodnie media ekscytują się „protestami” w chińskich mediach społecznościowych, ostatnio przeciwko restrykcjom covidowym, ale w rzeczywistości jest to nieistotny – w sensie niezdolności do wpłynięcia na rzeczywistość – margines.

Wyniki Indeksu Percepcji Demokracji stoją w kontraście z obrazem Chin, jaki malują przywódcy zachodni, oskarżając Pekin o represje polityczne i sponsorowane przez państwo łamanie praw człowieka. Chińczycy w swojej masie, nie licząc tych bezpośrednio dotkniętych, uznają te oceny za krzywdzące. Jest to pogląd odgórnie sterowany, niemniej ziarna propagandy sukcesu (Chin) i rzekomego spisku (wrogów Chin) padają na podatny grunt. Gdy w odpowiedzi na doroczny raport USA na temat łamania praw człowieka w Chinach Pekin publikuje własny raport o problemach w Ameryce – z dostępem do broni, z rasizmem, wpływem wielkiego kapitału na proces wyborczy – które, jak twierdzą chińscy urzędnicy, podważają prawo Waszyngtonu do pouczenia innych narodów, to obywatele ChRL się z nimi zgadzają. Niektórzy pewnie nawet współczują Amerykanom, że muszą żyć w tak zgnitym systemie.

Połowa Amerykanów by się z nimi zgodziła. Chińczycy pękają z dumy, że ich kraj jest potężny i dobrze rządzony (na szczeblu centralnym, bo lokalnie niezadowolone jest większe), podczas gdy mieszkańcy Zachodu są mocno krytyczni wobec swoich władz, bo krytyczne myślenie jest wpisane w liberalną demokrację.

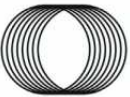
Chiny są najbardziej uderzającym przykładem tego zjawiska, ale jest ono też widoczne np. w Rosji. Co trzeci Rosjanin uważa, że jest tam za mało demokracji, podczas gdy w Nigerii czy Indonezji – gdzie wybory są dalekie od doskonałości, ale jednak uczciwsze niż w Rosji – ponad 70 proc. Nie mówiąc o Polsce czy Grecji, gdzie aż dwie trzecie uważa wybory za nieuczciwe.

Narodem najbardziej na świecie niezadowolonym z braku wolności słowa są Węgrzy, wyrażający równie wielkie rozczarowanie panującym u nich systemem, jak obywatele Wenezueli i Iranu.

Jeśliby przyjąć, że prawdziwie zniewolony jest ten, kto się niewolnikiem czuje, należałoby się pochylić nad Węgrami, a Chińczyków zostawić w spokoju.

Krytyczna postawa mieszkańców Zachodu wobec wybranych ich własnymi rękami przedstawicieli stwarza wrażenie słabości państw zachodnich, co jest nie tylko ochoczo wykorzystywane w propagandzie Moskwy i Pekinu, ale też może w tych reżimach powodować przekonanie o własnej przewadze.

W połączeniu z narastającą wzajemną niechęcią mocarstw liberalnych i nieliberalnych – co też wyraźnie widać w sondażach – tworzy się podatny grunt pod wybuch wojny. W przypadku Rosji już to nastąpiło, w przypadku Chin wszystko przed nami. ●



LENA
LEADING — EUROPE
NEWSPAPER — ALLIAN



FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ochojska o pomocy uchodźcom z Ukrainy

GDYBYM DOSTAŁA RÓŻDZKĘ HERMIONY

Nie wszyscy Ukraińcy wrócą do siebie. Te osoby muszą gdzieś się podziać, a mieszkań dla nich nie ma. Słyszał pan o jakiejś ofercie rządu? Mam nadzieję, że będą wspólne wakacje dla dzieci polskich i ukraińskich organizowane przez NGO i samorządy, ale co dalej? Co zimą? Nie wiemy, co będzie z covidem. Ludzie nie mogą wciąż mieszkać w tymczasowo oddanych biurach, czasami nieogrzewanych.

Janina Ochojska

CZEGO SIĘ DOWIEDZIAŁAM O POMAGANIU PO ATAKU ROSJI NA UKRAINĘ?

Wojna nie jest niczym dobrym, ale dla Ukraińców to wojna obronna. Niestety, jest ona bardziej okrutna, niż się spodziewałam – chodzi o całkowite zrównanie z ziemią terenów zajętych przez Rosję, unicestwienie narodu ukraińskiego. Moim zdaniem zniszczenia w Bośni czy w Czeczenii nie były tak straszne jak te obecnie w Ukrainie.

Żołnierze i cały naród ukraiński potrafili się zmobilizować na skalę, której również się nie spodziewałam. Bronią się skutecznie, choć mają do dyspozycji o wiele mniej wojsk i środków niż potężna Rosja. Gdy myślę dziś o patriotyzmie, zaangażowaniu w walkę i gotowości do poświęcenia życia, to przykład tego dają nam Ukraińcy.

Wszyscy zaczęliśmy patrzeć na Ukraińców z podziwem, a to, co nas kiedyś dzieliło, zniknęło bezpowrotnie, mam nadzieję. Można i trzeba różne sprawy wyjaśniać, ale nie muszą one ludzi dzielić. Polacy podziwiają ukraiński hart ducha, tym bardziej że sami obawiają się Rosjan u drzwi swoich domów.

...

FESTIWAL DOBROCI I SAMOORGANIZACJI

Nie wątpiłam w to, że przyjemy uchodźców ukraińskich, że będziemy chcieli tak licznie ugścić ich w swoich domach – co swoją drogą jest przewspaniale – ale mnie to specjalnie nie dziwi, bo tacy jesteśmy.

Ale nie sądziłam, że do tego stopnia będziemy potrafili się zorganizować jako naród, aby przyjąć tak dużą liczbę ludzi. Jestem pod wrażeniem samoorganizacji, szczególnie młodych ludzi (choć niektórzy skończyli nawet 60 lat), zbiorowej umiejętności prowadzenia ad hoc skomplikowanych, wielowątkowych operacji – czyli przyjmowania, nakarmienia, organizowania i relokowania uchodźców na dworcach, prowadzenia ośrodków recepcyjnych, tej całej pracy



na granicy, która była wykonana głównie przez wolontariuszy.

To nie są tylko moje spostrzeżenia, to również obserwacje osób z całej Europy i zza Oceanu, którzy przyjechali, chcieli pomagać i nagle zetknęli się z rzeszą uchodźców przekraczających granicę z Polską, na których czekała rzesza wolontariuszy z ciepłym jedzeniem, pić i dobrym słowem.

Ta nasza polska, oddolna zdolność organizacyjna budziła powszechny podziw, że ludzie tak licznie i chętnie poświęcali swój czas, a pracodawcy byli gotowi nawet oddelegowywać pracowników do niesienia pomocy.

Podobna mobilizacja odbyła się w całej Polsce, gdzie gromadzono dary dla uchodźców i walczącej Ukrainy.

To jest miłe, jak człowiek dowiaduje się czegoś takiego o swoim narodzie, tym bardziej że taki entuzjazm nie zauważyliśmy, niestety, wobec przekraczających granicę z Białorusią. Do dziś akty-

wiści i wolontariusze w tajemnicy pomagają potrzebującym na terenach przygranicznych z Białorusią, bo jest to nielegalne.

...

BEZWŁAD RZĄDU

Dowiedziałam się też rzeczy, których, niestety, się spodziewałam.

Szkoda, że rząd nie potrafi i nie chce się odnaleźć w zapale Polaków. Ale to nic nowego. W opracowywanej właśnie książce na 30-lecie PAH jest rozdział o Powodzi Tysiąclecia z 1997 r. Gdyby z tego rozdziału wyjąć słowa takie jak „powódź”, „Opole”, „Wrocław”, „wały przeciwpowodziowe”, „woda”, to w zasadzie mogłaby to być opowieść o rządowej niemocy w obecnej sytuacji, kiedy mamy tak dużo uchodźców z Ukrainy.

Wtedy też służby stworzone do niesienia pomocy nie miały odpowiedniego sprzętu, nie były przeszkolone, nie umiały sobie poradzić w kryzysowej sytuacji. Oczy-

wiście to były inne czasy, telefonów komórkowych i internet dopiero raczkowały, ale bezwład, brak planowania i sprawczości rządu były bardzo podobne. Tak samo jak z drugiej strony zapal zwykłych ludzi, którzy potrafili się zorganizować, znaleźć pieniądze, podzielić się pomocą.

Bez zaangażowania dziesiątków, a może setek tysięcy nic byśmy nie zdziałali.

...

ZAWIŚĆ NASZA CODZIENNA

Szybko jednak pojawiły się rysy. Akcję „Zdażyć z pomocą” [dla powodź] zorganizowaliśmy wspólnie z „Gazetą Wyborczą”, wybudowaliśmy razem 26 domów, kupiliśmy 13 mieszkań.

Pamiętam, że rok po powodzi pojechaliśmy z reporterem „Wyborczej” zobaczyć, jak ludzie mieszkają, jak sobie radzą. W większości wszystko było wspaniale. Ale w jednej miejsco-

• Punkt czasowego pobytu dla uchodźców z Ukrainy w Hrubieszowie

FOT. JAKUB ORZECZOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

wości pani, która dostała od nas dom, była sekowana przez sąsiadów. Zazdrościli jej murowanego budynku (wcześniej miała drewniany), choć sami mieszkali w domach murowanych. Oczywiście, że w porównaniu z domem, który miała wcześniej, to jej warunki mieszkaniowe się poprawiły, ale przecież na tym polega pomoc, aby ludziom było lepiej.

To było trudne doświadczenie, ale zawiść jest rzeczą ludzką, szkoda tylko, że nasza podopieczna zastanawiała się, czy się stamtąd nie wyprowadzić.

Niestety, zazdrościmy innym, nawet jeśli sami mamy nie najgorzej. To przejawia się w różnych aspektach naszego życia, teraz wobec Ukraińców. Słysząc narzekania, a dlaczego Ukraińcy mają przedszkole i żłobek za darmo,

a ja muszę płacić? No dlatego, że oni nie mają żadnego dochodu i nie mają czym płacić.

Tutaj też nie zadziałała komunikacja – to kolejny błąd rządu, który chwalił się, że żłobki, przedszkola i leki dla Ukraińców są za darmo. Ale nie dodał, że to będzie tylko przez dwa miesiące. To wystarczyło, aby panowie Morawiecki i inni, którzy lubią się chwalić, zrobili Ukraińcom krzywdę. Na szczęście zazdrość nie jest postawą powszechną.

...

NIE UCZYMY SIĘ NA BŁĘDACH

Dziwi mnie to, że z Powodzi Tysiąclecia państwo nie wyniosło żadnej lekcji. Rząd jak nie potrafił, tak dalej nie umie zarządzać sytuacjami kryzysowymi. Nie chcieliśmy sobie przyswoić prawdy, że do kłopotów należy się przygotować wcześniej. Proszę mi wierzyć, że gdyby znów wydarzyła się powódź, to powtórzyłby się ten bezwład władz rządowych. Muszę jednak wspomnieć, że środowisko pozarządowe „zyskało” na powodzi. Powstała wtedy organizacja Traktwa, która istnieje i działa we Wrocławiu do dzisiaj.

Tyle czasu już minęło od agresji Rosji na Ukrainę, a wciąż nie ma strategii pomocy uchodźcom z Ukrainy. Co jako państwo zrobimy, jeśli polskie rodziny nie będą mogły dłużej gościć u siebie uchodźców? Gdzie ich wtedy umieścimy?

Wielu Polaków, którzy przyjęli potrzebujących pod swój dach, chciało by, aby już zajęło się nimi państwo. Nielicznych stać na użyczenie swoich mieszkań czy domów miesiącami czy latami.

Czy to jest cechą nas, Polaków, że nie potrafimy zaplanować? Przecież po 24 lutego zdaliśmy egzamin celując jako społeczeństwo. Wychodzi więc na to, że to władze naszego państwa są jakieś niewydarzone. A tu ze strony władz słychać tęsknotę za jeszcze większą centralizacją państwa. To nic, że w sytuacjach kryzysowych centralizacja się nie sprawdza. Będzie się sprawdzać jeszcze mniej.

...

GDZIE BĘDĄ MIESZKAĆ, Z CZEGO ŻYĆ?

Obawiam się, że Ukraińcy zmieniają swoje dobre zdanie o Polakach, gdy nie będą mieli gdzie mieszkać. W takich momentach można zapomnieć o tym, co dobrego spotkało ich wcześniej, no bo jak, gościli mnie, a teraz mam spać pod mostem, bo nie mam dokąd pójść?

Tylko nielicznych będzie stać na wynajęcie mieszkania na komercyjnych warunkach.

A uchodźcy nadal będą przybywać, wojna w Ukrainie się nie skończyła, nie wiemy, jak to wszystko się potoczy, miasta są zniszczone i pobyt Ukraińców w Polsce może się bardzo przedłużyć.

W pomocy tak dużej liczbie uchodźców z Ukrainy nie można opierać się tylko na prywatnym wysiłku Polaków, a rząd do tej pory właśnie taki znalazł na siebie pomysł. Różne organizacje pozarządowe i samorządy lokalne przęda coraz cenniej, bo choć zastępują rząd, to robią to z własnej kieszeni. W tym czasie rząd ochoczo sobie przypisuje owoce cudzej pracy.

Przecież to nieprawda, że po 24 czerwca, kiedy skończy się rządo-

wa pomoc, Ukraińcy nie będą jej potrzebowali, zaledwie 180 tys. z nich ma pracę.

Usłyszmy wtedy, zwłaszcza od Ukrainek, że nie mają z czego żyć. Wiele z nich przyjechało do Polski z kilkorgiem dzieci, zabierając potomstwo rodzeństwa, kuzynek czy sąsiadek. Jak one mają pracować, skoro opiekują się tymi dziećmi?

...

WIEMY, CO ROBIĆ, ALE RZĄD NAS NIE SŁUCHA

Nie tylko ja wiem, co trzeba zrobić, aby wszystko działało. Ale rząd nie chce spotkać się z organizacjami pozarządowymi i nas wysłuchać. Rząd nigdy się o nic nas nie zapytał. Poleciałabym na skrzydłach.

Kiedy jesienią ub.r. rząd dowiedział się od sojuszników o spodziewanym ataku, od razu powinien zaprośić doświadczone organizacje zajmujące się sprawami socjalnymi, migracjami, samorządy lokalne – i wspólnie zastanowić się nad planem, gdy przybędzie do nas 100 tys. uchodźców, 1, 2 czy 5 mln.

Taki plan powinien zawierać m.in. stworzenie bazy danych o przyjezdnych. Co z tego, że nadaliśmy im numery pesel (choć nie wszystkim), skoro nie wiemy, jakie mają zawody, skąd pochodzą, gdzie są rozlokowani. Czy dziś umiemy szybko odnaleźć np. inżynierów budownictwa, gdyby jakiś pracodawca takowych poszukiwał?

Do przyjazdu uchodźców można było dobrze się przygotować, aby wzmocnić pozytywne efekty niezwykłego zrywu Polaków.

A teraz, choć Polacy zrobili, co trzeba, to zaczną się problemy, bo Ukraińcy raczej masowo nie będą wracać.

Dzieci będą musiały w szkole borykać się z nieszczęśliwymi pomysłami pana Czarnka.

Samorządom lokalnym już zaczyna brakować pieniędzy, np. na pomoc społeczną, bo zostały one wydane na uchodźców. A przecież w związku z drożyzną będzie ona potrzebna. Niesienie pomocy społecznej, medycznej trzeba tak zorganizować, aby to się nie odbywało kosztem Polaków, którzy też jej potrzebują. Bo ludzie zaczną się buntować.

Pilną kwestią do uregulowania są też uprawnienia Ukraińców od przekraczania granic. Większość nie ma zagwarantowanego prawa do powrotu do Polski w przypadku chociażby kilkudniowego powrotu do Ukrainy. Tracą też prawo do wyjazdu do innych państw strefy Schengen. To duży problem, o którym się nie mówi.

...

WROGOŚĆ, CZARNE CHMURY

Nie wszyscy Ukraińcy wrócą do siebie. Te osoby muszą gdzieś się podziać, a mieszkań dla nich nie ma. Słyszał pan o jakiejś ofercie rządu? Mam nadzieję, że będą wspólne wakacje dla dzieci polskich i ukraińskich organizowane przez NGO i samorządy, ale co dalej? Co zimą? Nie wiemy, co będzie z covidem. Ludzie nie mogą wciąż mieszkać w tymczasowo oddanych biurach, czasami nieogrzewanych.

Rząd buduje narrację wrogości wobec osób innej religii i koloru skóry, wmawiając nam, że to gwałciciele i mordercy, którzy zagrożą naszym rodzinom. Polacy, którzy mają dostęp tylko do publicznej telewizji, a jest ich wielu, otrzymują informacje zupeł-

nie niezgodne z rzeczywistością. Niestety, ta wrogość jest przez wielu widzów przyjmowana za dobrą moneę. Bardzo trudno nam zrozumieć, że przez granicę z Białorusią próbują się przedostać ludzie wykształceni, których było stać na to, aby opłacić samolot, przemytników – uciekają przed wojną, a ich wykształcenie i potencjał moglibyśmy wykorzystać.

W rządzie chyba nikt tak nie myśli.

Obawiam się wzrostu resentymentów polsko-ukraińskich. Już takie rzeczy się pojawiają w sieci. To pokłosie tego, co budowano przez ostatnie siedem lat, czyli snutej opowieści, że byliśmy cudowni, ratowaliśmy wszystkich, kogo tylko się dało, a to nas prześladowano. Sztuką jest zmierzyć się z prawdą i spokojnie rozmawiać, że to, co było, być nie musi.

Przez lata dzięki wysiłkowi społeczeństwa obywatelskiego wspieranego przez mądrą władzę udało się poprawić stosunek Polaków do Niemców, Żydów, Ukraińców. W 2014 r. blisko 70 proc. Polaków akceptowało przyjęcie uchodźców z Afryki. Jednak taki pozytywny przekaz, który buduje się przez lata, można łatwo zniszczyć jedną kampanią.

...

GDYBYM NA CHWILĘ DOSTAŁA RÓŻDŻKĘ HERMIONY GRANGER

Czy po 24 czerwca powinniśmy się zacząć rozglądać, czy wokół nas nikt z Ukraińców nie jest głodny? Taka uważność nie jest pozbawiona sensu. Ale to za mało, aby rozwiązać systemowe problemy gnębiące tak duże grupy ludzi. Sami nie damy rady, potrzebne jest państwo, decyzje rządu.

A rząd nic nie zrobił, aby dzieci w szkołach mogły dostawać bezpłatne posiłki, a tak jest w wielu krajach. Od wydarzeń w Usnarzu Górnym wciąż proszę o spotkanie ministrów Kamińskiego i Wąsika, ale nie odpowiadają. Ale nie ustaję w wysiłkach, mam nadzieję, że ktoś mądry to przeczyta, puknie się w głowę i cud się wydarzy.

Gdybym dostała magiczną różdżkę, to w pierwszej kolejności zamknęłabym za kratami satrapów takich jak Putin, Asad i ich koledzy.

A gdyby to się okazało niemożliwe, to przynajmniej doprowadziłabym do spotkania organizacji pozarządowych, samorządów lokalnych z rządem i do przyjęcia kompleksowego planu działań, aby jak najlepiej zaopiekować się ukraińskimi uchodźcami w Polsce. Chciałabym wszystkim potrzebującym zapewnić dach nad głową, aby każdy mógł mieszkać w przyzwoitych warunkach. Jeśli tworzy się warunki do podejmowania dobrych decyzji, to nie ma obaw, ludzie takie decyzje będą podejmować. ●

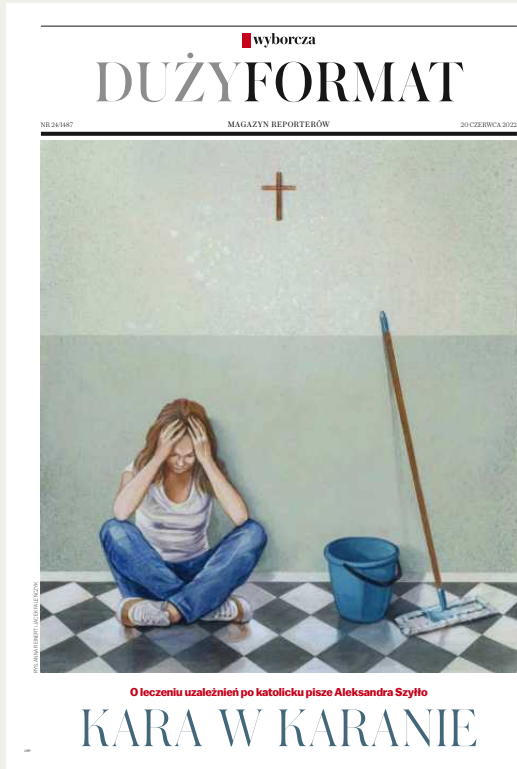
Not. Waldemar Paś

Piszczie: listy@wyborcza.pl



Wponiedziałek 20 czerwca wypada Światowy Dzień Uchodźcy. Z tej okazji nasze łamy oddamy imigrantom z różnych części świata, którzy przybyli do Polski, uciekając przed wojnami i prześladowaniami. Zapraszamy do kiosków i na Wyborcza.pl.

W PONIEDZIAŁEK W „WYBORCZEJ”



1 MILCZENIE I ZAKAZ PRZYJEMNOŚCI.

Jak wygląda
leczenie
uzależnień po
katolicku?

2 KOLEJKA WKURZONYCH.

Kto blokuje
stacje Orlenu?

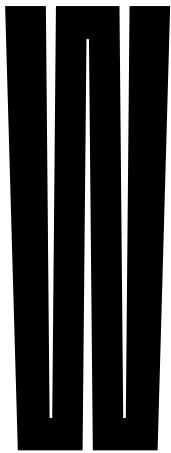
3 TRIUMF SODOMY.

Kto przyszedł
na pierwszy
polski festiwal
porno?

JAK NIEWIDZIALNA DZIEWCZYNNKA ZOSTAŁA BOKSERKĄ

Jak się walczy przez całe dzieciństwo, żeby przetrwać, to walka na ringu wydaje się pikusiem.

Izabela O'Sullivan



Wychodząc na ring, po prostu działałam. Chyba nie zastanawiałam się nad tym, co czuję. Przed walką słuchałam muzyki motywacyjnej, zwykle jakiegoś rocka, i to mnie napędzało. Miałam wtedy w sobie dużo męskiej energii.

W moim życiu prywatnym też nie było miejsca na słabość czy rozkładanie rąk. Jak się walczy przez całe dzieciństwo, żeby przetrwać, to walka na ringu wydaje się pikusiem. To, że trenowałam, dawało mi poczucie siły i sprawczości. Wydawało mi się, że jestem ponad to, co działo się w domu.

Wioleta Michalska w 2012 roku została mistrzynią Polski seniorek w boksie, wcześniej odnosiła sukcesy w koszykówce. Zakończyła karierę sportową ze względu na problemy z kręgosłupem i brak wystarczającego finansowego wsparcia. Dzisiaj mieszka pod Sheffield w Anglii, prowadzi blog, grupę psychologiczną na Facebooku i pracuje jako psychoterapeutka.

DZIECKO NIEWIDZIALNE

Gdy była mała, lubiła stawać przed lustrem i doszukiwać się podobieństwa do taty. Imponowała jej jego życiowa zaradność. Miło wspomina wspólne wakacje za granicą albo jak rysował dla niej samochody. Ale z dzieciństwa najlepiej pamięta awantury. Zdarzały się regularnie i nasilały z każdym rokiem. – Ojciec bił mamę, a ja na to patrzyłam i nie wiedziałam, co robić. Zaczęło się od delikatnych popychanek, potem uderzał z otwartej dłoni. Było też mocne ściskanie za ręce, mama ukrywała siniaki pod długimi rękawami. Zdarzało się, że ciągnął ją za włosy, a któregoś razu rzucił o ścianę tak, że uderzyła głową – opowiada Wiola.

Jej ucieczką stały się szkoła i sport. Zawsze świetnie się uczyła,

nigdy nie okazywała, z czym mierzyła się w domu. Po trzeciej klasie podstawówki był nabór do klasy sportowej. Przeszła testy i zaczęła trenować koszykówkę w działającym przy szkole Huraganie Wołomin. – Hala sportowa i szkoła to były jedyne miejsca, w których czułam się dobrze. Po treningach ostatnia wychodziłam z szatni – wspomina. Została kapitanką drużyny, a w 2010 roku Huragan zdobył brązowy medal na mistrzostwach Polski juniorek. Wioleta podkreśla, że trafiła na wspaniałego trenera, który zastępował jej figurę ojca. Tego prawdziwego się wstydziła. Zdarzało się, że przychodził na jej mecze pijany.

W domu wszystko kręciło się wokół ojca i jego nałogu. – Mama całą energię włożyła w to, żeby go ratować z uzależnienia. Starała się też robić wszystko, żeby nie było powodów do awantury. Ale on i tak potrafił je sobie wymyślić – twierdzi Wioleta. – Byłam dzieckiem niewidzialnym. Nikt nie pytał, jak się czuję ani jak było w szkole. Bardzo wcześnie zaczęłam sobie robić śniadania i kolacje. Gdybym o to nie zadbała, pewnie nikt by nie zauważył, że nie jadłam.

Ojciec potrafił nie rozmawiać z nią przez tydzień, nic go nie interesowało, a jak się napił, sprawdził Wioli wyrwykowo lekcje, przetrzepywał komputer, zaczynał o wszystko pytywać. – Gdy dojeżdżał pod dom, szłam do okna i patrzyłam, jakim idzie krokiem. Jak tylko wydawało mi się, że może być pod wpływem, kładłam się i udawałam, że śpię.

Przez całe dzieciństwo jej nie uderzył. Zrobił to dopiero, gdy miała 17 lat i stanęła w obronie matki. Wioleta tak wspomina ten dzień: – Bił ją po głowie plastikową butelką z wodą. Nie wytrzymałam, odepchnęłam go, zamachnęłam się i chyba trafiłam w twarz. Zamarł, a potem włączyła mu się wściekłość w oczach i mi oddał. Pobiegłam po telefon i zamknęłam się w łazience. Po raz pierwszy zadzwoniłam na policję. Gdy usłyszał rozmowę, tak mocno szarpał za klamkę, że ją wygiął. W końcu uciekł z domu, a ja wyszłam i powiedziałam mamie, że albo ze mną odchodzi, albo odejdę sama. Pojechaliśmy złożyć zeznania i z jedną reklamówką rzeczy się wyprowadziłyśmy.

Pomieszkowały najpierw u wujka, potem u babci. Mama Wiole złożyła pozew o rozwód. – Zachorowała na depresję, przez około rok była odcięta od rzeczywistości, praktycznie jej wtedy nie miałam – wspomina. – Zresztą między nami od wielu lat była zamiana

ról. Ona była ofiarą, ja jej opiekunką i powierniczką. To ja ją wspierałam, chciałam zrobić wszystko, żeby ją uratować. Zapłaciłam za to wielką cenę.

PODCIĘTE SKRZYDŁA

Po gimnazjum Wiola dostała się do Szkoły Mistrzostwa Sportowego w Łomiankach. Dwa razy dziennie miała treningi koszykówki, do tego lekcje. Ale dobrze było tylko przez rok. – W drugiej klasie zmienił się trener. Ten nowy był bardzo ostry, wszystkie się go bałyśmy. Jedne osoby wychwalał, inne mocno krytykował. Znalazłam się w tej drugiej grupie. Twierdził, że nie mam potencjału, chociaż wszyscy wcześniej powtarzali, że jest odwrotnie. Na większości meczów grzałam ławę – opowia-

Ojciec bił mamę, a ja na to patrzyłam i nie wiedziałam, co robić

da. Po drugiej klasie liceum dyrekcja szkoły stwierdziła, że Wiola nie ma perspektyw jako koszykarka, i rozwiązała z nią umowę. – To był absurd, zwłaszcza że bardzo dobrze się uczyłam. Miałam najwyższą średnią w szkole i stypendium. Jedyne powód tego wyrzucenia, jaki przychodzi mi do głowy, to mój ojciec – twierdzi. – Dość często przyjeżdżał do szkoły, czasem pod wpływem alkoholu. Uprzykrzał mi życie, ja nie chciałam go widzieć, robiły się miniafery. Może dla nauczycieli to był problem. Próbowalam rozmawiać o tym z trenerem. Usłyszałam: „To twój ojciec, a ojca trzeba szanować”.

Na ostatni rok nauki Wioleta musiała szukać nowej szkoły średniej. Została ze wszystkim sama, bo mama wciąż była w kiepskim stanie psychicznym. Udało się znaleźć miejsce w LXII Liceum Ogólnokształcącym Mistrzostwa Sportowego w Warszawie. Z dziewczynami, z którymi zaczęła chodzić do klasy, wcześniej była rywalką na boisku. Znała je wszystkie. Jednak po sytuacji z Łomianek straciła zapał do koszykówki. – Ale ponieważ mam duszę sportowca, postanowiłam poszukać innego sportu. I może trochę z buntu na to, co mnie spotkało w domu i potem w szkole, wybrałam boks

– mówi. Wyszukała kluby w Warszawie. Jedyńm, w którym odebrano telefon, była Legia. Powiedziała, że ma prawie 18 lat i chciałaby zacząć trenować. Już na pierwszych zajęciach złapała bakcyła, a trener był w szoku, że tak szybko idzie jej nauka. Boksowała codziennie. Wstawała o 6.00, dojeżdżała z Wołomina pociągami, najpierw szła na lekcje, potem na dwugodzinny trening. Kończyła o 19.00, zanim wróciła do domu, często była 22.00.

Po maturze wystartowała w mistrzostwach Polski seniorek. Był 2011 rok i trenowała zaledwie od sześciu miesięcy, a zdobyła srebrny medal. Po tym sukcesie totalnie poświęciła się boksowi. Wyprowadziła się od babci, wynajęła pokój w Warszawie i poszła na studia zaoczne – na dziennikarstwo i komunikację społeczną. Do-

czeństwa. Miałam wtedy w sobie ogromną pustkę, potrzebę akceptacji i miłości. I w ogóle bycia zauważoną – wyznaje.

Przez dwa lata był to związek na odległość, bo on mieszkał w Anglii, ona kończyła studia. – Mniej więcej rok po zdobyciu złota na mistrzostwach Polski okazało się, że mam dyskopatię. Ból kręgosłupa był tak potworny, że nie mogłam trenować. Kiedy zrezygnowałam z boks, stwierdziłam, że nic mnie nie trzyma w Polsce, i pojechałam do H. Przylatywałam tylko do Warszawy na egzaminy, bo to był ostatni rok licencjatu.

W pierwszych latach pobytu na Wyspach skończyła kursy angielskiego w londyńskim college'u. Pracowała jako opiekunka do dzieci i pomoc domowa i choć trafiła na wspaniałą, otwartą rodzinę, trudno jej było odnaleźć się w tej roli.

Z H. wzięli ślub i zdecydowali się na dzieci, ale z czasem wszystko zaczęło się sypać. – Czułam, że nie mam w nim wystarczającego oparcia, zaczęła dawać o sobie znać różnica wieku i podejścia do relacji. Widział mnie w roli pani domu, a mnie brakowało przestrzeni na realizowanie swoich marzeń i ambicji. Coraz mocniej utwierdzałam się w przekonaniu, że nie żyję w zgodzie ze sobą – dodaje Wioleta.

Kryzys pogłębił się po narodzinach drugiego dziecka. Prowadzili już wtedy dwa oddzielne życia. Ona poświęciła się domowi, on pracy. – Najpierw patrzyłam na to w kontekście kryzysu w związku, ale wszystko się przedłużało, a my nie potrafiliśmy ze sobą rozmawiać. Namawiałam męża na terapię dla par, zgodził się spróbować, ale szybko zrezygnował. Wtedy zaczęłam rozważać odejście. Miałam w głowie obraz mamy, która ciągle odkładała decyzję o opuszczeniu ojca. Każda wymówka była dobra. Męczyła się, a ja na to patrzyłam. Nie chciałam powtarzać tego scenariusza.

Kiedy Wiola zdecydowała się zakończyć związek, ich córka miała dwa lata, syn pięć miesięcy. – Postanowiłam zacząć od nowa, uciec z tej relacji i się odciąć. Wydawało mi się, że inaczej sobie z tym nie poradzę. Kiedy H. nie było w domu, zostawiłam notatkę, że odchodzę i żeby nie martwił się o dzieci – mówi. – Postanowiłam wyjechać z Londynu do Sheffield. Miałam tam znajomą, poprosiłam ją o pomoc. Najpierw mieszkaliśmy u niej, później znalazłam tymczasowe zakwaterowanie, które można nazwać domem samotnej matki.

ZWROT AKCJI

Na jednym z obozów bokserskich poznała swojego przyszłego męża. – Był ode mnie starszy o 15 lat. Wydawało mi się, że się mną opiekuje i da mi poczucie bezpie-

FOT. AGNIESZKA HYCZKIEWICZ



Byli tam przez niecałe cztery miesiące. Miejsce zostało zaadaptowane ze starego hotelu. Wiola z dziećmi dostała własny pokój z łazienką i aneksem kuchennym. – Było też coś w rodzaju świetlicy, wychodziliśmy tam zwykle na tzw. coffee mornings. Mamy mogły porozmawiać, a dzieci w tym czasie się bawiły – opowiada Wiola. Wspomina ten czas jako bardzo trudny. – Nie miałam pracy, rodziny ani żadnych perspektyw. Byłam zdana tylko na siebie, z dwójką małych dzieci. Czułam duże osamotnienie, ale stwierdziłam, że lepsze to niż pozostanie w związku, w którym zaczęłam się męczyć – wyznaje. – Skupiłam się totalnie na dzieciach i myślałam zadaniowo: wstaję rano, muszę dać im jeść, wyjść z nimi na spacer, zrobić zakupy. Sporo było też spraw formalnych. Panie w ośrodku pomagały mi załatwić mieszkanie socjalne.

Dzięki ich wsparciu udało się wynająć dom pod miastem, ale wtedy pojawiły się kolejne kłopoty, bo Wioleta nie miała z czego opłacić rachunków. Skończył jej się macierzyński, a nie mogła iść do pracy. W okolicy nie było żłobka, na opiekunkę nie było jej stać. – Żeby jakoś przetrwać, postanowiłam zgłosić się po pomoc do państwa. Dostałam odmowę i odpowiedź, że wsparcie dla samotnej matki przysługuje osobom mieszkającym w Anglii dłużej niż pięć lat, jeśli są bez pracy. Zabrakło mi kilku miesięcy. Ale

ja nie byłam bezrobotna, w Londynie miałam przecież własną jednoosobową firmę. Walczyłam, chodziłam po urzędach i biurach doradczych, pisałam pisma. Przez trzy miesiące żyliśmy z karty kredytowej i alimentów od H. W końcu wniosłam sprawę do sądu i wygrałam – opowiada.

Stopniowo zaczęła spłacać długi i odetchnęła z ulgą, bo już nie musiała się martwić, co włożyć do garnka i z czego opłacić media. Dom okazał się piękny, w malowniczej okolicy. Ale w środku miał tylko zrobioną łazienkę i powieszone szafki w kuchni. Zastali betonowe podłogi i gołe ściany. Wiola kupowała za grosze używane meble i wyposażenie.

Mężowi na początku pozostała możliwość kontaktu mailowego. Nie była gotowa na rozmowy telefoniczne, mail dawał większą przestrzeń, pozwalał wybrać czas na odczytanie wiadomości. Dość szybko sądownie uregulowali sprawę widzeń z dziećmi, a potem H. przeprowadził się do Sheffield.

Po rozstaniu z mężem Wiola zaczęła uważniej przyglądać się sobie i swoim potrzebom. – Chociaż myślałam, że to zaczęło się już w trakcie związku. Czułam, że to niby moje życie, ale nie takie, jakie chciałabym mieć. A jak już byłam sama z dziećmi, zdałam sobie sprawę, że wcześniej wszystko, co robiłam, było wyłącznie sposobem na prze-

trwanie. Za wszelką cenę chciałam mieć rodzinę, zapłacić sobie pustkę z dzieciństwa – opowiada. – Po odejściu od męża zadałam sobie pytanie, kim jestem i co chcę robić w życiu. Miałam problem z odpowiedzią. Odnalazłam siebie dopiero po kilku terapiach i stosach przeczytanych książek psychologicznych. Wcze-

śniej wszystkim wokół próbowałam udowodniać, że jestem ważna i coś warta. Długo mi zajęło, zanim uświadomiłam sobie, że chcę żyć dla siebie i dla swoich dzieci, na własnych zasadach.

JAK FENIKS

Mniej więcej w czasie, gdy pospłacała długi, zaczęła prowadzić blog „Feniks z popiołów”. – Chciałam to zrobić w formie pamiętnika, ale szkoda mi było pisać do szuflady. Doszłam do wniosku, że skoro stałam na nogi po tylu przeżyciach, to może zainspiruje to innych i im pomoże – mówi. – Dzisiaj mam na blogu prawie 10 tysięcy obserwujących.

Już po pierwszych postach odzew był bardzo duży. Ludzie zaczęli pisać, że mają podobne doświadczenia i że pomogło im to, co znaleźli na blogu. W 2018 roku Wiola założyła na Facebooku grupę „Wolni od toksycznych relacji”. Zaczęła też nagrywać filmy na YouTube. – Coraz więcej osób odzywało z prośbą o wsparcie, a ja nie byłam pewna, jak mogę im pomóc poza tym, że dzielę się swoją historią – przyznaje. – Ale potem przyszła myśl, że nie wszyscy, którzy pomagają innym wyjść z kryzysu, są psychoterapeutami. Zrobiłam kurs life coachingu i zaczęłam prowadzić sesje.

H. co tydzień zabierał dzieci na weekendy, a dla Wioli to był czas,

kiedy mogła zająć się sobą. Dużo czytała, oglądała filmy z zakresu rozwoju osobistego i psychologicznego, spędzała czas na łonie natury, ale również działała twórczo – malowała, pisała wiersze i pamiętnik. – Poszłam też na kolejną terapię, bo wcześniej korzystałam ze wsparcia dla DDA i DDD. Poznawanie siebie i leczenie ran z przeszłości zajęło mi około dwóch lat – mówi. Z czasem zapragnęła pogłębić pracę z ludźmi. Złożyła papiery na magisterkę z psychologii na Derby University. Było kilka osób na jedno miejsce, ale się dostała. Końcowy egzamin, który polegał na nagraniu sesji terapeutycznej z pacjentem, a potem na napisaniu na jej podstawie pracy, zdała z wyróżnieniem. – Usłyszałam, że jestem stworzona do tego, żeby pomagać ludziom – mówi.

Dziś ma uprawnienia, by prowadzić psychoterapię. – Sesje są dużo głębsze, niż kiedy działałam jako coach. Pracuję metodą, która mi pomogła najbardziej – z wewnętrznym dzieckiem. Ale to też praca z ciałem czy medytacje. Łączę wiele nurtów – dodaje. Do niedawna prowadziła głównie konsultacje online, teraz otwiera gabinet stacjonarny.

Grupa na Facebooku liczy 12 tysięcy członków. – Jest bezpieczną przestrzenią. Od razu blokuję hejterskie komentarze, nie ma wyzwisk, ludzie mogą wstawiać posty anonimowo. Wiele osób pisze do mnie, że czytanie historii innych pomogło im uwolnić się od przemocowych, toksycznych relacji albo chociaż zobaczyć, w czym tkwią.

BEZPIECZNA PRZYSTAŃ

Po rozstaniu z mężem Wiola była sama przez prawie dwa lata. – Polecam to wszystkim, żeby nie wchodzić z jednego związku w drugi, tylko nauczyć się żyć w relacji ze sobą. Dla mnie ten czas był kluczowy. Poczułam siebie, dowiedziałam się, czego chcę. I wtedy poznałam swojego obecnego partnera.

Należeli do tej samej grupy podróżniczej na Facebooku. Skupia Polaków, którzy umawiają się na wspólne wycieczki po Anglii. Na jedną z wypraw pojechali tylko we dwoje. Potem widywali się na kolejnych wycieczkach, już w szerszym gronie, i poznawali, a po roku on przeprowadził się pod Sheffield, bo mieszkał w Manchesterze. – Dzisiaj mam pewność, że jestem z właściwym mężczyzną. Paweł jest moim najlepszym przyjacielem, razem wychowujemy dzieci. Kiedy w weekendy jesteście sami, podróżujemy po UK albo chodzimy na piesze wycieczki po okolicy – opisuje.

Wiola z ojcem nie ma kontaktu od 10 lat, z mamą utrzymuje poprawne stosunki. W tym roku kończy 30 lat. Jej historia stała się inspiracją do jednego z memów Marty Frej: „Jestem silna, bo przestałam walczyć ze sobą i zaczęłam walczyć o siebie”. Dzisiaj z aktywności fizycznej Wiolecie zostały spacer, czasem fitness, rekreacyjnie jogging. – Kiedyś sport był moją ucieczką. A teraz już nie mam przed czym uciekać. Wreszcie mogę odetchnąć i realizować swoje plany. ●

Akcja społeczna Kulczyk Foundation, „Wysokich Obcasów” i Fundacji „Gazety Wyborczej”. Z uwagą i czułością przyglądamy się naszym relacjom – tym rodzinnym i tym z nami samymi – aby je uporządkować i z nową energią tworzyć świat po pandemii. Rozmawiamy o lękach, które towarzyszą wielu z nas, o podziale obowiązków i pomysłach na to, jak przygotować siebie i swoich najbliższych na nowy świat.

Chcemy tworzyć nową rzeczywistość. Chcemy rozmawiać o wolności kobiet w sferze świadomości, cielesności i bytu.

KULCZYK FOUNDATION

CZUŁOŚĆ WOLNOŚĆ
HISTORIA CZYNNYCH W RELACJI

Adam Michnik poleca Karpiński i starzy mistrzowie

• **Wojciech Karpiński (1943–2020),
Paryż, rok 2008.**

FOT. BOHDAN PACZOWSKI/FOTONOVA

wzywam was Starzy Mistrzowie w ciężkich chwilach zwątpienia

Zbigniew Herbert

Paryż wkrótce po II wojnie światowej. Nawet jeśli stolica Francji chciała wtedy myśleć o sobie, że ciągle jest centrum świata, w głębi duszy wiedziała, że jej blask przygasa. Miała za sobą lata tchórzliwej kolaboracji, upokorzenie i głód, teraz część jej mieszkańców z lękiem szykowała się do życia pod mogącą na dejsć okupacją sowiecką, część – niecierpliwie jej wyglądała.

W sercu tego miasta, na zawsze już odgradzony od ojczyzny, Józef Czapski szybkim krokiem swych długich nóg przemierzał Pont Neuf, woda podchodziła wysoko, jakby zapowiadając potop. Myślał, że może Paryż „już umarł”, że to „ruina Paryża”. Podobnie czuł w tym czasie Tadeusz Różewicz, tyle że idąc krakowskim Rynkiem, na środku którego oczyma duszy zamiast Mariackiej bazyliki widział „wielką pryzmę cegieł i kamieni”, gdyż we wnętrzu człowieka ocalonego z apokalipsy kościół stał się „kupą gruzu”.

Inaczej niż młody poeta Czapski nie chciał się pogodzić ze zgonem starej Europy. Przekonywał emigracyjnych czytelników, ale też samego siebie: to od siły mego pragnienia zależy, czy dziedzictwo kultury stanie się dla mnie jedynie milczącym grobem, czy też mimo wszystko dojrzę w nim skarb bezcenny.

ZŁOTE GWOŹDZIE, TALIZMANY

Podobny wybór postawił przed nami Wojciech Karpiński. Wiosną roku 2020, unieruchomiony w mieszkaniu przez pandemię, przeglądał stare numery paryskiej „Kultury”. Zbierał artykuły najcenniejsze, a w każdym razie jemu samemu najbliższe, ich fragmenty opatrywał komentarzem i umieszczał na „fejsbukowym” profilu miesięcznika. Wbrew obawom, jakie mogłaby budzić archiwalna dziś funkcja Instytutu Literackiego, profilu nader żywym, współczesnym wcieleniu siedziby piśma z Maisons-Laffitte. Tego domu, który Wacław A. Zbyszewski opisywał jako wyzwanie rzucone XX stuleciu, bo naprzeciw beznadziei historycznych wypadków stawały w nim książki: „pieczołowicie zebrane, ponumerowane, pokatalogowane, sta-

AŻ MINĘŁO. CO MINĘŁO? ZYCIE

Trzeba żyć według autorów, których się czyta.

Andrzej Franaszek*

rannie odkurzone, poukładane na długich półkach aż po powalę”.

I tak oto, dzięki mediom społecznościovym, powstawała osobista antologia, niedawno opublikowana w postaci woluminu „120 dni »Kultury«”. Niestety już po śmierci jej autora.

„Kultura”, Jerzy Giedroyc, Maisons-Laffitte? Jak wiele z tych pojęć powinienem wyjaśnić? Większość moich studentów, przyszłych polonistów, o „Laficie” i jego mieszkańców nigdy nie słyszała, polecam im teraz „120 dni” jako wtajemniczenie w spadek, który otrzymali po minionym stuleciu, szansę dostrzeżenia w dorobku autorów paryskiego piśma czegoś więcej niż grobowca przeszłości.

Ale i dla mnie, choć prawie każdy z przywołanych przez Karpińskiego tek-

stów kiedyś już czytałem, była to lektura ważna. Komentarze antologisty zmieniają zbiór cytatów we frapującą opowieść, podręcznik historii widzianej przez pryzmat indywidualnych losów. Może to epokowa chwila, w której się znaleźliśmy, wzmacnia odczucie aktualności zdań napisanych nie raz przed 70 laty?

Autorzy „Kultury” budowali na nowo świat po katastrofie, nie możemy się z nimi pod tym względem porównywać, ale przecież czujemy kruchość porządku, który jeszcze kilka lat temu zdawał się niepodważalny. Najpierw coś złowrogiego stało się z naszą ojczyzną, teraz zaś, śledząc wojnę w Ukrainie, nie wiemy, jaki kierunek wybierze zwrotnica dziejów.

W czasach zamętu szukamy oparcia w słowach poprzedników, chcemy, by stały

się one – jak niegdyś dla Czapskiego – „złoty-mi gwoźdźmi”, albo – jak dla Jerzego Stempowskiego – „talizmanami”. Ten drugi pisał, że w takich słowach spoczywa „szansa życia i odnowienia się z popiołu przeszłości”.

POLSKIE KAPUŚCISKO

Oto konstelacja Karpińskiego: Gombrowicz, Miłosz, Czapski, Jeleński, Stempowski, Herling-Grudziński, Wat, Zbyszewski, wreszcie – Herbert i Kolakowski. Przerzucam strony, wypisuję...

Gombrowicz o Miłoszu i jego doświadczeniu komunizmu: „jeden z pisarzy na emigracji, którego naprawdę zmoczyła ta burza. Innych – nie. Byli wprawdzie na deszczu, ale z parasolami. Miłosz został zmoczony do nitki”.

Jeleński o współczesnym mu artyście, koniecznie awangardowym: „typ francuskiego Kmicica miał niedawno jeszcze do wyboru: zostać spadochroniarzem w Algierii czy malarzem z Galerie Stadler. (...) A Casanova? Czy ryzykowałby lochy weneckie, mieszał się w drobne szpiegowskie afery, szachrował w karty, gdyby żył dzisiaj? Żywoćność jego umysłu, spontaniczność, awanturniczość, zasoby wyobraźni otwarłyby mu wszystkie galerie”.

Herling o antycznym grobowcu, o malowidłach, w które miał wpatrywać się zmarły: „widział nurka, skaczącego z wysokiej trampoliny muru do morza. Postać nurka (...) z głową podniesioną tak, by oczy mogły bez lęku patrzeć, jest obrazem harmonii i doskonałości (...) przejścia z życia w toń śmierci”.

Gdy czytam „120 dni »Kultury«”, co chwila coś podkreślam, ciągle powraca do mnie myśl, jak potężne osobowości współtworzyły polską literaturę. Stylem ci pisarze nieraz różnili się zasadniczo, ale łączyła ich powaga myślenia, dążenie do klarowności: idei i zdań. Jak ujął Stempowski, aby „pisać jasno i prosto (...), trzeba zacząć od jasnego myślenia”, a przekazanie to traci pozory banalności, gdy tylko uświadomimy sobie siłę bełkotu, jaki zewsząd nas dziś osacza.

Jest też książka Karpińskiego potężną antologią tematów, kalejdoskopem, w którym w różne zależności układają się Wenecja i formuła życia w dzienniku, pokusy ideologii i refleksja nad mechaniką historii. Można w niej śledzić zaskakujące koleje losu, choćby Miłosza, który zmierza od pewności artystycznego samobójstwa do Nobla. Można przemyśleć dylemat artysty, który po rozsypaniu się dawnych wartości próbuje znaleźć dla swej sztuki nowy język. O tym wszak

opowiada historia Czapskiego, poruszająca tym mocniej, gdy wiemy, jak mało pod wpływem wojny zmieniła się poetyka pozostałych kapistów – piewców gry barwnej.

Z tego punktu widzenia Czapski przypomina zresztą Miłosza. Poeta zrezygnował z zachwycającej melodii „Campo di Fiori”, by zastąpić ją pogruchotanym, szorstkim językiem wiersza „Biedny chrześcijanin patrzy na getto”, malarz zaś w szkicu „Raj utracony” żegnał się z fascynacjami młodości: „między światem Bonnarda, który wzbogacił widzenie nasze i zaraził nas mądrą miłością życia i sztuki, między tym Bonnardem a rzeczywistością dzisiejszą jest przepaść”. I zaraz przychodzi do głowy pytanie, czy wojna roku 2022 wpłynie na polską sztukę, poezję, zmieniając styl myślenia.

Wertując „120 dni »Kultury«”, można przyjąć perspektywę jeszcze szerszą – odnaleźć wśród cytatów portret naszej zbiorowej duszy, z tym bolesnym rysem niedokończenia, pochwyconym przez Zbyszewskiego. Wspominał on wizytę w Wilanowie, słowa zaprzyjaźnionego historyka, który widząc, że tamtejszy park niespodziewanie „urywa się w jakimś kapuścisku”, wdychał: „król wielkiego państwa (...) nie potrafił parku doprowadzić do naturalnej granicy. (...) Czyż te szpalery nagle urywające się nie są symbolem Polski?”. I dodawał: tak, to prawda – Polska jest „krajem snów o potędze, dum o hetmanie, wielkie zamiary, plany, słowa – a potem wszystko się urywa w kapuścisku. (...) Nie umiemy niczego doprowadzić do końca”.

Wybrani przez Karpińskiego autorzy, pisząc po utracie wolnego państwa, gorzko osądzają jego przeszłość, nie boją się kalać gniazda. Emigracja nie zamyka ich w getcie polonijnych wspominek, przeciwnie – wyostrza myślenie.

Podobnie jak rówieśni mu poeci Nowej Fali, Krynicki, Zagajewski czy Barańczak, chciał Karpiński głęboko zaczerpnąć powietrza, wypłuć knebel zniewoleń – także tych, które obowiązują po dobrej, bliskiej mu stronie politycznej barykady.

I znów pytanie: co to oznacza dzisiaj, dla nas – żyjących w kraju tak głęboko podzielonym? W jakim stopniu zaangażowanie grozi nam uludnym ułatwieniem ocen – gdy przysmykamy oko na rzeczywistą wartość przedstawienia teatralnego, felietonu, wiersza, bo ważniejszy nam się zdaje ich polityczny, doraźny wydźwięk. Fakt, że autorka czy autor „są z nami”.

KAMIEŃ NA BIURKU

Nie chcę przedstawiać obrazu wylizanego niczym „patriotyczny” oleodruk, wiem, że autorów publikujących w piśmie Giedroycia także ścigali demony: zazdrości czy pychy. A jednak nad tą bolesną kondycją artysty, wzmaganą jeszcze przez udręki wygnania, wznosili czystą nutę sztuki, osiągałi, no trudno, muszę użyć tego słowa, szlachetność tonu, że w ich pistaniu wyraźny jest zamiysł nie tylko estetyczny lub intelektualny, ale także – moralny.

Szukali, niech będzie mi wybaczony patos, równie ważnych co stylistyczne mistrzostwo jakości duchowych, które wliczał niegdyś Herbert. To „bezinteresowność, zdolność kontemplacji, wizja utraconego raju, odwaga, dobroć, współczucie, pewna mieszanina rozpacz i humoru”.

Gombrowicz podkreślał heroizm pisarskiego powołania, każącego iść pod prąd masowych oczekiwań, bo przecież „popularność, którą zdobywa się na służbie czytelnika i prądów epoki, oznacza jedynie duże nakłady”, dodawał stanowczo: „ten, kto się boi ludzkiej wzdargi i osamotnienia wśród ludzi, niech milczy”.

Czytam te słowa w charakterystycznej dla dzisiejszej kultury sytuacji upiornego nadmiaru, bombardowany ciągle nowymi tytułami, wiedząc też dobrze, czym są pokusy i rozpacz targowiska próżności, niezwykle rozszerzonego przez internet, nieustanną komunikację. Sięgam więc po talizman, podarowaną mi notatkę Czap-

skiego, który strofował siebie, czując, że wiek, słabnięcie ciała, ale też wierność artystycznym wyborom odsuwają go na boczny tor: „coraz mniej nagłych radosnych niespodzianek i aż gąszcz od niespodzianek bolesnych i przykrych. Ledwo jedną przeżyłeś, i jakoś przeżyłeś – już druga itd. To wszystko uderza w miłość własną i jedyne z tego wyzwolenie” – stracić tę miłość.

Nie do końca wiem, jak Karpiński osądzał współczesność. Czy diagnozował schyłkowość, bizantyjskość naszego czasu? Na pewno przestrzegał przed życiem ułatwionym, przed podsuwaną nam ogłupiającą rozrywką, przed kapitulacją, na którą decydujemy się każdego wieczoru, zapadnięci w sezony seriali. Napominał we wstępie do antologii: „powinniśmy zdobyć się na dystans do nieprzyjaciela, strzec się przed złodziejami czasu, zagłuszaczami naszego głosu”.

Świadomy, że takie wezwania po-brzmiewają tonem dziś niemodnym, czuję, że całkowicie się z nimi zgadzam. Chciałbym książkę Karpińskiego położyć na biurku niczym kamień – znak wierności i pa-

skiego, który strofował siebie, czując, że wiek, słabnięcie ciała, ale też wierność artystycznym wyborom odsuwają go na boczny tor: „coraz mniej nagłych radosnych niespodzianek i aż gąszcz od niespodzianek bolesnych i przykrych. Ledwo jedną przeżyłeś, i jakoś przeżyłeś – już druga itd. To wszystko uderza w miłość własną i jedyne z tego wyzwolenie” – stracić tę miłość.

Nie do końca wiem, jak Karpiński osądzał współczesność. Czy diagnozował schyłkowość, bizantyjskość naszego czasu? Na pewno przestrzegał przed życiem ułatwionym, przed podsuwaną nam ogłupiającą rozrywką, przed kapitulacją, na którą decydujemy się każdego wieczoru, zapadnięci w sezony seriali. Napominał we wstępie do antologii: „powinniśmy zdobyć się na dystans do nieprzyjaciela, strzec się przed złodziejami czasu, zagłuszaczami naszego głosu”.

Świadomy, że takie wezwania po-brzmiewają tonem dziś niemodnym, czuję, że całkowicie się z nimi zgadzam. Chciałbym książkę Karpińskiego położyć na biurku niczym kamień – znak wierności i pa-

Karpiński przestrzegał przed życiem ułatwionym. Przed podsuwaną nam ogłupiającą rozrywką

mięci, niczym brewiarz, zachętę do rachunku sumienia. W końcu – powiedziała niegdyś Maria Janion – trzeba prowadzić życie według autorów, których się czyta.

„WYSZEDŁ NA PALCACH”

Komentarze autora antologii dyskretnie przemycają szkice do autobiografii. Oto 13-latek, który przez ramię starszego brata czyta „Zniewolony umysł”. 16-latek, przenikający do działu emigracyjnych prohibitorów w Bibliotece Narodowej. 20-latek wyjeżdżający do Paryża, poznający tam Giedroycia, Zygmunta Hertza, Jeleńskiego, odwieczający „w ciemnym mieszkaniu na rue Bonaparte” Aleksandra Wata.

Kiedyś ten autoportret by mnie irytował – nieraz zresztą, może z zazdrości, oskarżano Karpińskiego o bycie nieznosnym prymusem – dziś właściwie wzrusza. Nie dlatego, że jego bohater odszedł, ale z powodu odmienionego czasu, kiedy pisarze wielbieni przez autora „Książek zbójcekich”, a i dla mnie najważniejsi, przestali królować w literackim pejzażu, trafili do rozmaitych czyśćców, kiedy nieledwie trzeba mieć odwagę, by o nich pisać. Obcowanie z książką „120 dni »Kultury«” pozwala mi więc spotkać człowieka bliskiego, odnaleźć podobny zachwyt, wspólnie z nim powtórzyć choćby te słowa Miłosza: „Aż minęło. Co minęło? Życie”.

Karpiński wyznawał, że zbiera teksty, któregoś tego samego „uczyły, jak patrzeć na świat”, że pragnie „dochować wierności mistrzom wybranym za młodu”. Myślę, że jest coś głęboko szlachetnego w tej postawie. Oczywiście można szukać zawsze nowych lektur, jak wielu krytyków – dekada za dekadą deklarować kolejne odkrycia, ale osiedlenie się na dobre w świecie już znanym nie musi być ucieczką czy ułatwieniem. Może być świadomym wyborem – votum separatum skierowanym przeciw współczesności. Pogłępleniem dawnych lektur, przeżyciem ich raz jeszcze – poprzez zmienne doświadczenie. Aktem właśnie wierności – podobnie jak honor irracjonalnej, bodaj niemożliwej do uzasadnienia.

W posłowie Julii Juryś, przyjaciółki Karpińskiego, czytam, że zmarł on 22 dni „po zamknięciu swojego »serialu« o »Kul-

turze«”, a zatem to nim „pożegnał się. Po swojemu. Nikogo nie niepokojąc, niko-go nie absorbując. Wyszedł na palcach, z książkami w dłoni”. Od bliskiej Karpińskiemu osoby wiem, że śmierci się nie spodziewał, przeciwnie – pełen był planów. Więc nie świadomy zamiysł, ale wyższe zrządzenie losu sprawiło, że przygotował duchowy testament.

Pisali o nim lub będą pisać ci, którzy znali go dobrze: Barbara Toruńczyk, Adam Michnik, Piotr Kłoczowski, Marek Zagańczyk, Mikołaj Nowak-Rogoziniński. Z „Tygodnika Powszechnego”, gdzie wytrwale pracowałem w latach 90., ścieżki prowadziły do nieco innych miejsc niż te drogi, które rozpoczynały się w warszawskich „Zeszytach Literackich”. Zatem spotkałem Karpińskiego ledwie parę razy, raz tylko dłużej – gdy zgodził się na rozmowę o Herbercie, od razu zresztą zaznaczając, że nie chce, bym go cytował w biografii poety.

Sądy miał trzeźwe, pozbawione tej skłonności do superlatywów, która czasem przeszkadza mi w jego szkicach. A może to nie on, pisząc, przesadzał, ale mnie brakuje daru pełnego rozpoznania i zachwytu? W paryskim apartamencie, gdzie rozmawialiśmy, w wygodnym lokum żyjącego sztuką dżentelmena przykuł mój wzrok intensywnie żółty obraz Józefa Czapskiego. Znałem go dobrze z reprodukcji, ale dopiero teraz zobaczyłem, że wybucha żarem niczym gwiazda.

Nie poznałem więc tajemnic Karpińskiego, jego najbardziej osobistych bóli i uniesień, nie wiem, kogo skrywała wystudiowana zewnętrzna forma, modulowany ton głosu, jakby rzymska twarz nad marynarką i zawsze rozpiętym guzikiem koszuli, może tylko szkice i fotografie na ścianach podszeptowały to i owo o przeszłości. Dziś wstrząsa mną, że rozmawiając z jego przyjaciółką, słyszę ciągle jej podświadomy protest, powracający czas terazniejszy: „Wojtek tłumaczy”, „Wojtek pisze”.

Umieszczam zakładkę między stronami antologii, tam, gdzie Karpiński cytuje fragment „Dzwonów w ziemi” [Miłosza], zaczynający się od słów „Kiedy jechałem zza gór Siedmiogrodu/ Przez bory, puszcze, karpacie zwaliska”. Myślę o ciągłości tego, co nazywa się tkaniną kultury, ale jeszcze bardziej – o ciągłości własnego istnienia. I ja przecież, przed ponad 30 laty, odczytywałem słowa tego wiersza, uwiedziony ich brzmieniem: „schylonemu nad Listy Pawłowe/ I pierwszą gwiazdę w niebie widzącemu/ Sen mocny z wolna ukołysał głowę”.

Niewiele rozumiałem, ale budziło się we mnie, maturzyście, przecucie ich wagi i piękna. I nie potrafię dziś opędzić się od pytań: gdzie są moi dawni przyjaciele, współtowarzysze, nieraz przewodnicy w pierwszych intelektualnych wędrówkach? Gdzie przebywa teraz tamten chłopiec – moje dawne „ja”?

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNY
WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński

WYDAWCA Agora SA, ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA

Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

Zbytnie zwrócenie się ku sobie? Jeśli tak, to w antologii Karpińskiego znajduję coś na kształt usprawiedliwienia. W autobiograficznym zamysłu tej książki, ale także w konkretnym jej fragmencie.

Oto Zbyszewski wspomina swego uniwersyteckiego mistrza, by zastanowić się wreszcie, czemu tak uporczywie powraca do jego postaci. Tak naprawdę – przyznaje – „roztkliwiłem się nad samym sobą i spoza zamglonego oblicza zapomnianego profesora spojrzał na mnie nieznajomy, daleki student, szczupły i czarny, i smagły, i biedny, i nędzny, ale z ideałami, z wiarą, z entuzjazmem”.

CO TU ROBI D'ARTAGNAN?

W przedmowie do „120 dni” autor antologii pisze: „gdy młody d'Artagnan wyruszał z rodzinnego domu w świat, dostał na drogę balsam leczniczy i list polecający. Chciałbym, aby te strony były takim darem na drogę, balsamem na rany zadawane przez życie i listem polecającym do wybitnych pisarzy. Z własnego doświadczenia wiem, że mogą pełnić te magiczne funkcje”. Wśród twórców, którzy tworzą Księgę Karpińskiego, jest Aleksander Dumas gościem niespodziewanym, może zatem świadczy o najdawniejszych, najbardziej „szczenięcych” zachwytach?

Sięgam na półkę po noszący ślady wielu lektur tom. „Trzej muszkietierowie”, grube wydanie z roku 1958 z ilustracjami Jerzego Skarżyńskiego, w przekładzie Joanny Guze. Upewniam się, że nadal pamiętam tę opowieść. Tak było: zraniony w pierwszym pojedynku, „dzięki skuteczności cygańskiego balsamu” d'Artagnan szybko powrócił do zdrowia. Obyśmy w dawnych słowach, zebranych przez Wojciecha Karpińskiego, potrafili odnaleźć ozdrowieńczą moc. ●



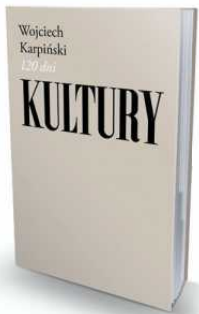
FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Andrzej Franaszek

• ur. w 1971 r., krytyk literacki, wykładowca Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, autor biografii Czesława Miłosza i Zbigniewa Herberta. Ostatnio opublikował zbiór esejów „Gwiazda Piotun. Opowieści o poezji, podróży i przyjaźni”. Tytuł tekstu: „Wyborcza”

Więcej: Wyborcza.pl/magazyn

Wojciech Karpiński, „120 dni »Kultury«”, red. Mikołaj Nowak-Rogoziniński, słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2021



A photograph of Paul McCartney on a stage, holding a double bass (upright bass) high in his right hand. He is wearing a white button-down shirt and dark trousers. The background is dark blue.

80. urodziny Paula McCartneya

Może ktoś znów wypowie MAGICZNE ZAKLĘCIE

Lennon zapytał:
„Jakie jest twoje hobby?”.
Odpowiedziałem:
„Lubię pisać piosenki”,
a on na to: „Och, ja też”.
Powiedzieliśmy więc sobie:
„To może ty zagrasz mi swoją, a ja tobie swoją”.

Jarek Szubrycht

Nie wiem, czy dziś wypada tak wprost pisać o przyziemnych motywacjach czterech młodzieniaszków z Liverpoolu, ale naprawdę o to chodziło. Statek kosmiczny The Beatles w pierwszej fazie lotu napędzany był hormonami. „Nie chciałem zostać żywą legendą. Zająłem się tym, żeby wykręcić się od pracy. I wyrwać łaski. Parę rzeczywiście udało się wyrwać i naprawdę nie musiałem iść do roboty” – przyznał kiedyś Paul McCartney. Zresztą gdyby nie nastoletnia chuć, Beatlesi mogliby w ogóle nie powstać. Kiedy bowiem Ivan Vaughan namawiał Paula, swojego kumpla ze szkoły, na wspólny wypad na przykościelny festyn w parafii św. Piotra w Woolton, być może wspomniał, że wystąpi tam zespół jego znajomego Johna Lenno-na, za to na pewno roztoczył wizję ładnych i miłych dziewcząt, które tylko czekają na to, by ich poznać. Pojechali na rowerach, zapłacili po 3 pensy wstępu. Czy udało im się zrealizować plany natury towarzyskiej – kroniki milczą. Dość szczegółowo opisują natomiast pierwsze spotkanie Paula z The Quarrymen, grającymi popularną wówczas w Wielkiej Brytanii muzykę skiffle. Jego zaintrygowała charyzma Johna, frontmana grupy, Paul z kolei zaimponował zgromadzonemu swoimi umiejętnościami. W salce parafialnej, przy piwie, nie tylko zagrał i zaśpiewał „Be Bop a Lula” Gene’a Vincenta, ale w dodatku nastroił gitarę. Tak kompetentny muzyk przydałby się w każdym składzie, więc dwa tygodnie później emisariusz The Quarrymen złożył McCartney’owi propozycję nie do odrzucenia. Swoją drogą chłopcy wiedzieli, że skiffle – pocziwa mikstura folku, jazzu i bluesa – brzmi jak przeszłość. Latem 1957 roku na listach przebojów królował Elvis Presley i wydawało się, że w sprawie rock’n’rolla będzie miał zawsze ostatnie zdanie. Tylko cud mógłby to zmienić.

– Ludzie pytają: „Czy wierzysz w magię?”. A ja odpowiadam: „Muszę” – deklarował niedawno Paul w wywiadzie dla „GQ”. – Nie chodzi o Gandalfa i tego rodzaju czary. Dla mnie życie może być magiczne, to, jak pewne rzeczy po prostu się łączą. To, że poznaliśmy się z Johnem i że właśnie obaj, niezależnie od siebie, zaczęliśmy pisać piosenki... Zapytał: „Jakie jest twoje hobby?”. Powiedziałem: „Lubię pisać piosenki”, a on na to: „Och, ja też”. Nikt wcześniej nie odpowiedział mi w ten sposób. Powiedzieliśmy więc sobie: „To może ty zagrażasz mi swoją, a ja tobie swoją”.

A więc tak to było. Magia.

KONIEC ZESPOŁÓW GITAROWYCH

Teraz więc będzie o Beatlesach. Choć poświęcił temu zespołowi niewiele ponad dekadę, a więc najwyżej 15 procent swojego długiego życia, Paul nigdy nie przestał być członkiem kwartetu. Przypominają mu o tym media, w których beatlemania nigdy się nie skończyła, przypominają tantiemy, dzięki którym jest miliarderem, przypominają fani – od przypadkowych przechodniów, którzy każdy jego spacer zamieniają w spotkanie autorskie, po koronowane głowy, polityków i inne gwiazdy muzyki, które przy Paulu błędną lub oblewają się rumieńcem i spieszą z niezbornymi holdami. Zaczepiany i komplementowany odpowiada często: „Ja też jestem fanem Beatlesów. Dobra z nas była kapela”. Bo co ma powiedzieć?

The Quarrymen przekształcili się w The Beatles w 1960 roku, znany światu skład – John Lennon na gitarze i przy mikrofonie, Paul McCartney z basem, również śpiewający, George Harrison z drugą gitarą i Ringo Starr za zestawem perkusyjnym, obaj przydatni w chórkach – ustabilizował się w 1962 roku. Wyglądali na gołowąsów, ale byli już wtedy doświadczonym zespołem, zahartowanym dziesiątkami koncertów w klubach Hamburga i w liverpoolskim Cavern. W tym ostatnim zobaczył ich Brian Epstein, z powodzeniem prowadzący lokalny sklep płytowy, a więc niejako człowiek z branży. Wprosił się na menedżera, dzikusów w skórzanym kurtkach przebrał w garnitury i załatwił próbne nagrania w prestiżowym londyńskim wydawnictwie Decca Records. „Zespoły gitarowe już się kończą” – zawyrokowała jakaś mądra głowa z firmy fonograficznej i tak zaczęła się ta historia. Epstein bowiem nie uwierzył ekspertyzie z Dekki, tylko poszedł do konkurencji. W EMI miał szczęście trafić na George’a Martina, producenta z doświadczeniem w nagrywaniu przede wszystkim płyt brytyjskich komików, z Peterem Sellersem na czele. Martin nie twier-

◀ **Paul McCartney na festiwalu Lollapalooza w Chicago, 2015 r.**

FOT. ROB GRABOWSKI/
INVISION/AP

▼ **Beatlesi w komplecie przed występem w telewizyjnym programie „Ready Steady Go!”, Londyn, 20 marca 1963 r.**

FOT. ICON AND IMAGE /
MEDIAPUNCH /IPX

dził nigdy, że poznał się od razu na geniuszu The Beatles, ale zaproponował im kontrakt, ujęty przede wszystkim charakterem muzyków, ich poczuciem humoru i atmosferą panującą w zespole (tylko Pete Best nie przypadł mu do gustu, więc doprowadził do zmiany perkusisty na Ringo Starra).

MILIARD PŁYT

Rola George’a Martina nie polegała tylko na przygotowaniu umowy i wypłaceniu zaliczki. Został piątym Beatlesem, katalizatorem twórczej energii młodych muzyków. Czasem grywał z nimi w studiu, choćby na fortepianie, pomagał aranżować piosenki, dyrygował orkiestrą, wymyślał efekty specjalne, wówczas pionierskie. Z jego pomocą talent kompozytorski spółki Lennon/McCartney oraz wykonawczy całej czwórki rozwijał się w oszalamiającym tempie. To właściwie niemożliwe, że od zgrabnych, ale prostych singli w rodzaju „Love Me Do” i „Please Please Me” do wielowątkowego, wyprzedzającego epokę arcydzieła „Sgt. Pepper’s Lonely Hearts Club Band” minęły raptem cztery lata. Do kulminacji w postaci sesji nagraniowych pożegnalnych „Abbey Road” i „Let It Be” oraz definitywnego rozpadu grupy – kolejne trzy. Studyjna aktywność The Beatles zamyla się w siedmiu latach, koncerty grali jeszcze krócej, zniechęceni tym, że wrzask fanów zagłusza muzykę, ale i wyczerpani ciągłym uciekaniem przed tłumem. Trudno uwierzyć, że w tak krótkim czasie kwartet z Liverpoolu stworzył kilka wybitnych albumów, wymyślił parę gatunków muzycznych i pobił niejeden rekord – od ściągnięcia przed ekrany telewizorów 60 procent mieszkańców USA (ich występ w „Ed Sullivan Show” oglądały na żywo 73 mln widzów!), przez zajęcie pięciu pierwszych miejsc na liście „Billboardu” w kwietniu 1964 roku (kolejno by-

ły to single: „Can’t Buy Me Love”, „Twist and Shout”, „She Loves You”, „I Want to Hold Your Hand” i „Please Please Me”), po sprzedanie obywatelom Ziemi ponad miliarda płyt ze swoją muzyką.

Rozpętali szaleństwo, które odmieniło kulturę popularną. Beatlemania story – ile to już lat? 60 lat minęło jak jeden dzień, a muzyka, kino czy literatura wciąż żywią się dziedzictwem Fab Four – kryminał „Piąty Beatles” Mariusza Czubaja, obyczajowa cegła „Beatlesi” Larsa Saabye’a Christensena albo komedia „Yesterday” Danny’ego Boyle’a to przykłady pierwsze z brzegu. Ta ostatnia to filmowe ćwiczenie na temat: „Co by było, gdyby nigdy nie było Beatlesów”. No właśnie, tak trudno to sobie wyobrazić, że aż boki zrywać.

YESTERDAY

John Lennon jest uważany za najważniejszego Bitelsa, bo rządził w The Quarrymen, od których wszystko się zaczęło, a w The Beatles skupiał na sobie największą uwagę mediów. Przeświadczenie o jego przewodniej roli utrwaliła przedwczesna, tragiczna śmierć. Tymczasem The Beatles nigdy nie byli oddziałem z jednym dowódcą i bezwonnymi wykonawcami jego rozkazów, a już na pewno Paul McCartney nie grał w tym zespole drugich skrzypiec. Po pierwsze i przede wszystkim, był basistą oraz wokalistą, ale w wielu utworach słuchać też jego grę na gitarze elektrycznej i akustycznej, instrumentach klawiszowych (od pianina po syntezator Mooga), nawet na perkusji. Bardzo dużo komponował, wspólnie z Lennonem i samodzielnie. McCartney’owi zawdzięczamy zarówno głupawo radosną „Ob-La-Di, Ob-La-Da”, jak i „Helter Skelter”, jazgotliwą antycypację muzyki metalowej, ale też takie arcydzieła muzyki pop jak „Eleanor Rigby”, „Hey Jude” czy wreszcie „Yesterday”. Ta ostatnia, rzewna balla-



– Gdyby nie Paul, nagralibyśmy pewnie tylko trzy płyty, **bo wszyscy zaczęliśmy nadużywać różnych substancji** i w głowie był nam tylko relaks – przyznawał Ringo Starr

da o tym, jak trudno się rozstać, jest zarazem pierwszym nagraniem Beatlesów, na którym słycać tylko jednego muzyka grupy – Paul śpiewa i brzdąka na pudle, w tle cicho pojękuje kwartet smyczkowy. Wiedział, że to dobra piosenka, ale zarazem czuł się zawstydzony swoim solowym występem, w dodatku tak mało rockandrollowym, więc początkowo piosenka nawet nie ukazała się na singlu w Wielkiej Brytanii. Błąd naprawiono dopiero po sukcesie utworu w Ameryce. Zresztą co tu dużo mówić – kiedy własne wersje nagrywają Bob Dylan, Elvis Presley, Ray Charles, Frank Sinatra, Aretha Franklin, Plácido Domingo i Shirley Bassey można śmiało założyć, że mamy do czynienia z jedną z najważniejszych piosenek w historii muzyki popularnej.

Paul McCartney był przeciwwagą dla Johna Lennona, jego kreatywnym partnerem i zarazem rywalem. Ich twórcze zmagania doskonale służyły zespołowi, który stracił impet, gdy zainteresowania Johna zaczęły wybiegać gdzie indziej. McCartney wtedy przejął stery, nie tylko więcej pisząc, ale też mobilizując kolegów. Wszedł również w mendedzkie buty po Epsteinie, który zmarł w 1967 roku. Ktoś musiał. „Cześć, może wpadlibyście do studia?” – wydzwaniał do pozostałych trzech Beatlesów. „Gdyby nie on, nagralibyśmy pewnie tylko trzy płyty, bo wszyscy zaczęliśmy nadużywać różnych substancji i w głowie był nam tylko relaks” – przyznawał później Ringo Starr. Nawet Lennon nie kwestionował przewodniej roli McCartneya, choć sugerował, że intencje kolegi były nieczyste, bo wiązały się z przygotowywaniem kariery solowej.

Ze znakomitego miniseriału dokumentalnego „Get Back” Petera Jacksona również wynika, że w schyłkowej fazie działalności grupy właśnie Paul był jej główną siłą napędową, może nawet tylko jemu zależało na ratowaniu The Beatles. Próbował to robić, dużo komponując, usiłując zarazić kolegów entuzjazmem, chyba nieudawanym, ale też po prostu podporządkowując ich sobie, narzucając własną artystyczną wizję. Nie do końca mu się udało, ale też trudno oprzeć się wrażeniu, że gdyby wszystkim zależało tak jak jemu, The Beatles do dziś jeździliby z koncertami po stadionach, jak ich koledzy z The Rolling Stones. Albo jak sam Paul McCartney, nieustraszenie przecież utrzymujący dziedzictwo zespołu przy życiu.

COŚ INNEGO

Może właśnie dlatego, że w 1969 roku to był przede wszystkim jego zespół, Paul McCartney najciężej zniósł rozpad The Beatles. Czmychnął na szkocką wieś z żoną Lindą, ale nie po to, by u boku ukochanej cieszyć się świeżo odzyskaną wolnością, lecz by plawić się w rozpaczy. I alkoholu. Przesypiał całe dnie, nie mógł zmobilizować się do pracy. Jimi Hendrix i Miles Davis podobno chcieli zaprosić go do wspólnych nagrań, ale otrzymali telegramy ze zdawkową odpowiedzią, że wyjechał. Powróciła plotka, że od miesięcy, może lat nie żyje, a w Beatlesach zastępował go sobowtór.

„To było dość trudne, bo nie miałem pojęcia, co robić. I tak naprawdę nie miałem żadnych mądrych pomysłów, poza tym, że jeśli będę chciał dalej zajmować się muzyką, to może założę kolejny zespół. Ale jak to zrobić po The Beatles? Jak cokolwiek, co zrobić, może być tak dobre jak The Beatles? The Beatles w szczególny sposób połączyło talenty, czego dowodem jest długowieczność tej muzyki. To, co zrobiliśmy razem, wciąż brzmi dobrze i wciąż żyje. Mierzyłem się więc z pytaniem, czy mogę to przebić? Musiałem sobie powiedzieć: »Cóż, nie da się. Ale jeśli chcesz iść naprzód, może powinienes pomyśleć o zrobieniu czegoś innego«. Tak też zrobiłem” – mówił po latach w wywiadzie dla radia NPR.

Nawet to, że jako pierwszy z czwórki – bo już w kwietniu 1970 roku – wydał album solowy, nie poprawiło mu nastroju, za to pogorszyło PR. Rozwścieczyło kole-



Spotkania z muzykami z zupełnie innych światów to od trzech dekad jedna z ulubionych rozrywek sir Paula. Z nim przecież chcą nagrywać wszyscy, więc on może z każdym

gów z zespołu, którzy poczuli się zdradzeni, choć sami też już mieli przygotowane podobne płyty, i zaalarmowało media oraz fanów szukających kozła ofiarnego. McCartney też chyba jeszcze nie wierzył w istnienie życia pozabeatlesowego, bo wysłaników magazynu „Life” próbował przepędzić słowami: „Czy możecie wszystkim powiedzieć, że jestem teraz zwykłym człowiekiem, który chce żyć w spokoju?”.

Kogo, Paul, próbowałeś oszukać? Nawet jeśli dwie pierwsze płyty po rozpadzie The Beatles – „McCartney” i „Ram” – były chwiejnymi krokami ku niezależności, już w 1971 roku powstał zespół Wings. Przez całą kolejną dekadę McCartney pisał z nim swoją historię na nowo, u boku przede wszystkim Lindy, obsługującej instrumenty klawiszowe, i Denny’ego Laine’a, bylego gitarzysty Moody Blues. Nie zawsze trafiali, nie sposób nawet poważnie zestawiać dyskografii Wings z dorobkiem kwartetu z Liverpoolu, ale można wymienić co najmniej dwa poważne dowody na to, że Paul nie zapomniał, jak się pisze hity – „Live and Let Die”, numer tytułowy ze ścieżki dźwiękowej filmu o Bondzie „Żyj i pozwól umrzeć” z 1973 roku oraz folkowa ballada „Mull of Kintyre”, jeden z największych hitów lat 70. Swoją drogą z „Live and Let Die” wiąże się jedna z moich ulubionych mcartne-yowskich anegdot. Muzyk opowiadał, że na początku lat 90., kiedy Guns N’ Roses nagrali własną, skądinąd bardzo udaną wersję, dzieci McCartneya musiały się w szkole wyklócać z rówieśnikami, że to ich tata, nie Axl, jest autorem tej piosenki. Długo myślałem, że to opowieść o tym, jak przemija chwala świata, i o tym, że każde pokolenie ma nie tylko własny czas, ale też własnych idoli. Tymczasem sam mam dzisiaj dzieciaki w wieku szkolnym. Guns N’ Roses nie znają, dla ich rówieśników to przeszłość tak zamierzchła, że aż nieistniejąca, natomiast The Beatles, owszem, wiele piosenek wciąż jest słuchanych i lubianych.

MUZYKA DLA SIEBIE SAMEGO

W latach 80. Wings zwinęli skrzydła i Paul McCartney zaczął znowu nagrywać solo, co czyni z powodzeniem do dziś. Jego 18. i na razie ostatni album, zatytułowany po prostu „McCartney III”, wydany w grudniu 2020 roku, był zapisem samotnych sesji w czasie lockdownu, przez niego samego nazywanego rockdownem. Facet swoje już przeżył, osiągnął, co się dało, i więcej niczego nikomu nie musi udowadniać, więc kiedy my drżeliśmy ze strachu, on się doskonale bawił. „Chodziło o to, by tworzyć muzykę dla siebie samego, nie taką, która ma jakieś zadanie. Robilem więc wszystko, na co miałem ochotę” – tłumaczył się z zawartości albumu, bardziej przypominającej szkicownik niż wyrafinowane, skończone dzieło arcy mistrza popu. Zresztą czego nie dopowiedział sam, zrobili to za niego inni na wydanej rok później wersji z remiksami, zatytułowanej „McCartney III Imagined”. Tu materiał ów kroili i na nowo zszywali młodzi o pokolenie albo i dwa herosi alternatywy, m.in. Beck, Damon Albarn (Blur, Gorillaz), Ed O’Brien (Radiohead), St. Vincent czy Robert Del Naja (Massive Attack). Tego rodzaju spotkania z muzykami z zupełnie innych światów to od co najmniej trzech dekad jedna z ulubionych rozrywek sir Paula. Z nim przecież chcą nagrywać wszyscy, więc on może z każdym, zaspokajając twórcze ambicje albo po prostu ciekawość.

Zaczął się jeszcze w czasach Wings, kiedy do tzw. Rockestry udało mu się skaptować muzyków The Who, Led Zeppelin, Pink Floyd i Procol Harum. W latach 80. nagrał znakomitą piosenkę „Ebony and Ivory” ze Steviem Wonderem i dwie równie dobre z Michaeliem Jacksonem: „The Girl Is Mine” oraz „Say Say Say”. Później doskonale bawił się, eksperymentując na pograniczu rocka i elektroniki z Youthem (basi-

◀ **George Michael, promotor, Harvey Goldsmith, Bono, Paul McCartney, Bob Geldof, organizator, i Freddie Mercury na koncercie Live Aid zorganizowanym, by zebrać fundusze dla głodujących w Etiopii. Stadion Wembley w Londynie, 13 lipca 1985 r.** FOT. JOE SCHABER/AP

stą Killing Joke i wziętym producentem) pod szyldem The Fireman, pisząc i nagrywając piosenki z Elvise Costello i wreszcie sprawdzając, czy odnajduje się w zupełnie nowym mainstreamie – owszem, jeśli tylko chce, to może, czego dowodem singel „Only One” Kanye Westa, w którym machał palce, oraz „FourFiveSeconds”, w którym obaj wsparli Rihannę. A może szukał w tych wszystkich mniej lub bardziej przelotnych muzycznych znajomościach takiego porozumienia, jakie kiedyś miał z Lennonem? Może liczył na to, że znowu ktoś wypowie magiczne zaklęcie, że nastąpi taka koniunkcja ciał artystycznych, która zrodzi piosenki na miarę klasyków The Beatles? No dobrze, może nie tyle on, ile ja na to liczyłem...

Na drugim biegunie tych lekkich, łatwych i przyjemnych piosenek znajdują się utwory Paula McCartneya w formie partytur lądujące na pulpitych muzyków szacownych orkiestr. Krytycy parający się muzyką klasyczną są dla niego łaskawi, zwykle w recenzjach serwują szpagaty w rodzaju: „Może tu nie do końca wyszło, ale przecież za Beatlesów należy mu się szacunek, wdzięczność i prawo do nagrywania, czego dusza zapagnie”. McCartney zatem skwapliwie z tego prawa korzysta. Bo rzeczywiście, kto miałby mu zabronić oplakiwać zmarłą żonę choralami „Ecce Cor Meum” i czemu miałby nie nagrać „Ocean’s Kingdom”, skoro New York City Ballet zamawia? Nawet „Liverpool Oratorio”, napisane wspólnie z Carlem Davisem, opowiadające o życiu Paula, da się obronić, bo skoro publiczność chodziła tego słuchać, skoro się wzruszała, to chyba było potrzebne?

STRACIŁEM MOJĄ DZIEWCZYNĘ

Na szczęście nie trzeba wsłuchiwać się pilnie w libretto półtoragodzinnego oratorium, by dowiedzieć się, skąd wzięł się Paul McCartney i co go uformowało. Zapisało o nim tysiące stron, on sam też do najbardziej skrytych nie należy. Urodził się 18 czerwca 1942 roku w Liverpoolu. Jego matka Mary była położną, co oznaczało nie najgorszy, stały dochód w ciężkich czasach. Ojciec Jim handlował bawełną, a po godzinach amatorsko grywał jazz jako trębacz i lider Jim Mac’s Jazz Band, do tego dużo czytał. Swoimi pasjami zaraził syna, wesołego i błyskotliwego dziecka: „Kochałem tę epokę w muzyce, którą reprezentował mój tata. Akordy były fascynujące. Uwielbiałem słuchać, jak tata gra”. W odróżnieniu od wielu rówieśników, na których rodzice odreagowywali wojenne traumy, Paul wiódł beztrudne życie w kochającej się rodzinie. Sielanka skończyła się dla niego w 1956 roku, kiedy Mary zmarła na raka piersi, a załamany ojciec popadł w depresję. Dorastający chłopak pocieszenie znalazł w muzyce, żegnając mamę swoją pierwszą kompozycją, utworem „I Lost My Little Girl”. A skoro udało mu się na kilka chwil rozświecić osobiste ciemności za pomocą paru dźwięków, to czemu ta sama sztuczka nie miałaby się udać ponownie i jeszcze raz, czemu nie miałaby zadziałać na innych ludzi, choćby na miliony? No właśnie, czemu nie? ●

KTO MNIE URZEKŁ. KAI BUMANN

Człowiek, który kochał ciszę

Był Niemcem, ale kochał Polskę miłością, na którą mój kraj nie zasługuje

MAŁGORZATA NOCUŃ*

K

Kiedy nagle umiera ktoś bliski, w miejscu niedokończonej rozmowy pojawia się pustka. Głębo-ka jak lej. Doskwierająca, gryząca. Tu ani płacz, ani smutek nie pomagą. I tak stało się tym razem. Nie wysłałam Kaiowi ostatniego maila.

Spotykaliśmy się rzadko. Kai – jako dyrygent i wykładowca – dzielił życie pomiędzy Szwajcarię, Berlin, Gdańsk i Kraków. Pracował w polskich filharmoniach, operach, teatrach. W gdańskiej Akademii Muzycznej prowadził klasę dyrygentury. Co kilka dni do siebie pisaliśmy. O czym? Ktoś powiedziałby, że o sprawach błahych. Ale dla nas nad wyraz cennych. „Nie musisz szukać. Patrz! Słuchaj! Wszystko, co piękne, jest obok ciebie” – mówił Kai. Uczył nas – swoich przyjaciół – zachwycać się światem. Koncentrować na tym, co tu i teraz. Brzmi banalnie? Ale jakie to trudne!

Ja (emocjonalna matka) i on (Maestro – profesor sztuki, wyróżniony światowymi nagrodami) oglądaliśmy filmik z przedszkolnego występu mojego syna. Niepomiernie wzruszaliśmy się pracą nauczycielek. Niesforne, sepleniące dzieci: śpiewają, deklamują wiersze, tańczą. Ileż pomysłowości, wysiłku i cierpliwości trzeba było w to przedstawienie włożyć? To praca z powołania. „Najważniejsza – napisał Kai. – Ważniejsza niż twoja i moja”. I miał rację. Sam był pedagogiem, ale miał o tyle łatwiej, że uczył dorosłych.

I w Dzień Dziecka posłałam Kaiowi zdjęcie syna. Pomocna ręka puściła pchacz dwukołowego roweru. Julek nauczył się pedałować sam, jechał szybko pewny siebie i spoglądał w obiektyw. Kai odpisał po upływie kilku minut. „Super! Wczoraj byłem z Konstancją [córką] na wycieczce rowerowej w Nowym Targu. Może kiedyś wybierzemy się razem z Julkiem?”. Tej wycieczki już nie odbędziemy. Kai zmarł 2 czerwca.

Urodził się w 1961 r. w Berlinie. Był Niemcem, ale kochał Polskę miłością, na którą mój kraj nie zasługuje. Mnie – Polce – trudno darzyć uczuciem ojczyznę, która zdeptała podstawowe prawa swoich obywateli, obrała drogę ku autorytaryzmowi



FOT. ARKADIUSZ WOLTAŚIEWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

i konsekwentnie nią podąża. A on potrafił. Mówił spokojnie: „Rządy się zmieniają. Szukaj swojej Polski”. On znalazł: Czesław Miłosz, ks. prof. Józef Tischner, Adam Zagajewski, paryska „Kultura”, „Tygodnik Powszechny”, miesięcznik „Znak”, poniedziałkowe spotkania dyskusyjne na krakowskim Kazimierzu – to była jego Polska. Co tydzień zasiadał do lektury „Wolnej Soboty”. W każdą niedzielę czekałam na dźwięk SMS-a. Pisał, który tekst uznał za najciekawszy. Jeśli jeszcze go nie przeczytałam, ponaglał. Kai był człowiekiem dialogu. Choć miał sprecyzowane poglądy polityczne, uważał, że „z drugą stroną” należy rozmawiać. Nikogo nie wykluczał.

Nie dawało się ukryć zachwytu i wzruszenia, spoglądając na bibliotekę Kaia. Opasłe tomy: polskiej literatury, książek z dziedziny historii, historii kultury i sztuki. W końcu ukochana poezja. Każda pozycja w oryginale. Czytał zachłannie, podróżował z opasłą książką. Na marginesach robił notatki ołówkiem, przyklejał kolorowe fiszki. Wybrał także książki „misyjne”, wydawane dla kilkuset osób. „Czytałaś już »Stommizm«?” – zapytał kiedyś. Kilkusetstronicowy „Stommizm” leżał na półce regału w moim mieszkaniu. Ale musiałam pokręcić głową.

Kai kochał muzykę. Jako młody chłopak z zapalem studiował dyrygenturę. Ale po latach lektu-

ry partytur i życiorysów kompozytorów powtarzał: „Najpiękniejszą muzyką jest cisza”.

Niewielu podobnych Kaiowi ambasadorów miała Polska w świecie. Bo Kai – z natury niezwykle spokojny – unosił się, słysząc, sądy o zaściankowości i prowincjonalności polskiej kultury i sztuki. Ktoś chciał dowodów? Parafrazował cytaty z dzieł literackich, przytaczał strofy wierszy. Jedną z ostatnich pozycji, po którą sięgnął, to „Gwiazda Północy” prof. Andrzeja Franaszka. Wiedziałam, że będzie tę książkę czytał, to przecież eseje o polskiej literaturze. Wysłałam mu więc zdjęcie okładki. I komentarz: „Też już mam. Czytam”. Kai był skromny. Wiele imprez kulturalnych by się nie odbyło i nie ukazałoby się wiele książek, gdyby nie wsparł ich finansowo.

Darzył sympatią kraje poradzieckie. Ubolewał nad tyranią tamtejszych władz i cierpieniem społeczeństw. Dzięki książkom i sztuce poznawał Białoruś, Ukrainę, Rosję. Uważał, że wschodnioeuropejska humanistyka w niczym nie ustępuje zachodniej, a chwilami jest nawet lepsza. Niedawno sięgnął po Oksanę Zabużko. Bo „chciał jak najwięcej zrozumieć z tego, co się obecnie w Ukrainie dzieje”. Mówił, że na Zachodzie za dużo jest myślenia w kategoriach „Ordnung muss sein”. Ten nasz wschodnioeuro-

pejski chaos jest potrzebny, bo jest twórczy.

Na swoją drugą ojczyznę wybrał Łopuszną, gorczańską wieś. Tu w latach 90. spotykał się z ks. prof. Józefem Tischnerem. Kai był nim – jako uosobieniem chrześcijaństwa – zafascynowany. Podobnie rozumieli modlitwę. To „bycie w ciszy”, w ścianach XVI-wiecznego, drewnianego łopuszańskiego kościoła. W końcu Kai kupił od przyjaciół kawałek ziemi. Drewniany dom wybudował zgodnie z góralską sztuką: oheblowane deski przetykane mszeniami, czyli warkoczami ze słomy. Przyjeżdżał tu co kilka tygodni. Obowiązkowo przed Bożym Narodzeniem. Piekl kruche ciasteczka według przepisu swojej sędziwej mamy. Układał je starannie w ozdobnych opakowaniach: warstwa cytrynowych, warstwa waniliowych. Zanosił na górę, czyli rodzinie Woźniaków – swoim najbliższym sąsiadom i przyjaciołom. Resztę wiozł do Krakowa i Berlina.

Zukochaną kobietą zapraszali do Łopusznej przyjaciele. Kiedy przyjeżdżałam z synem, Kai mówił: „Wszystko mu wolno, tylko niech nie rusza książek”. Stawaliśmy na tarasie, patrzyliśmy na zieleniącą się łąkę, nad domem przelatywały bociany. „Raj” – mówiłam. Jedną z ostatnich wiadomości Kai wysłał mi z Łopusznej. Napisał, że „chciałby już tu zostać”. Ten

zjawiskowy człowiek, profesor sztuki, dyrygent, którego gościli największe sale koncertowe, u siebie czuł się właśnie tam.

W dniu, w którym mieliśmy umówić się na spotkanie, został pochowany na łopuszańskim cmentarzu. Kilka mogił dalej spoczywa ks. prof. Józef Tischner. ●

***Małgorzata Nocuń** – dziennikarka „Tygodnika Powszechnego”, autorka książki reporterskiej o wcześniejszych „Wczesne życie”, współautorka (z Andrzejem Brzezickim) książki „Białoruś. Kartofle i dżinsy”, „Łukaszenka. Niedoszły car Rosji” i „Armenia. Karawany śmierci”

W cyklu „Co mnie urzekło?” opowiadamy o zachwytach. Niezapomnianych emocjach, które przeżywamy w zetknięciu ze sztuką, architekturą, przyrodą, literaturą, kimś szczególnym lub czymkolwiek... Każdego z nas coś urzekło, niekoniecznie ostatnio, czasem przechowujemy niezapomnianą emocję sprzed lat. Bywa, że zachwyt dotyczy czegoś mało znanego, warto więc się nim podzielić z innymi.

weekendówka

6



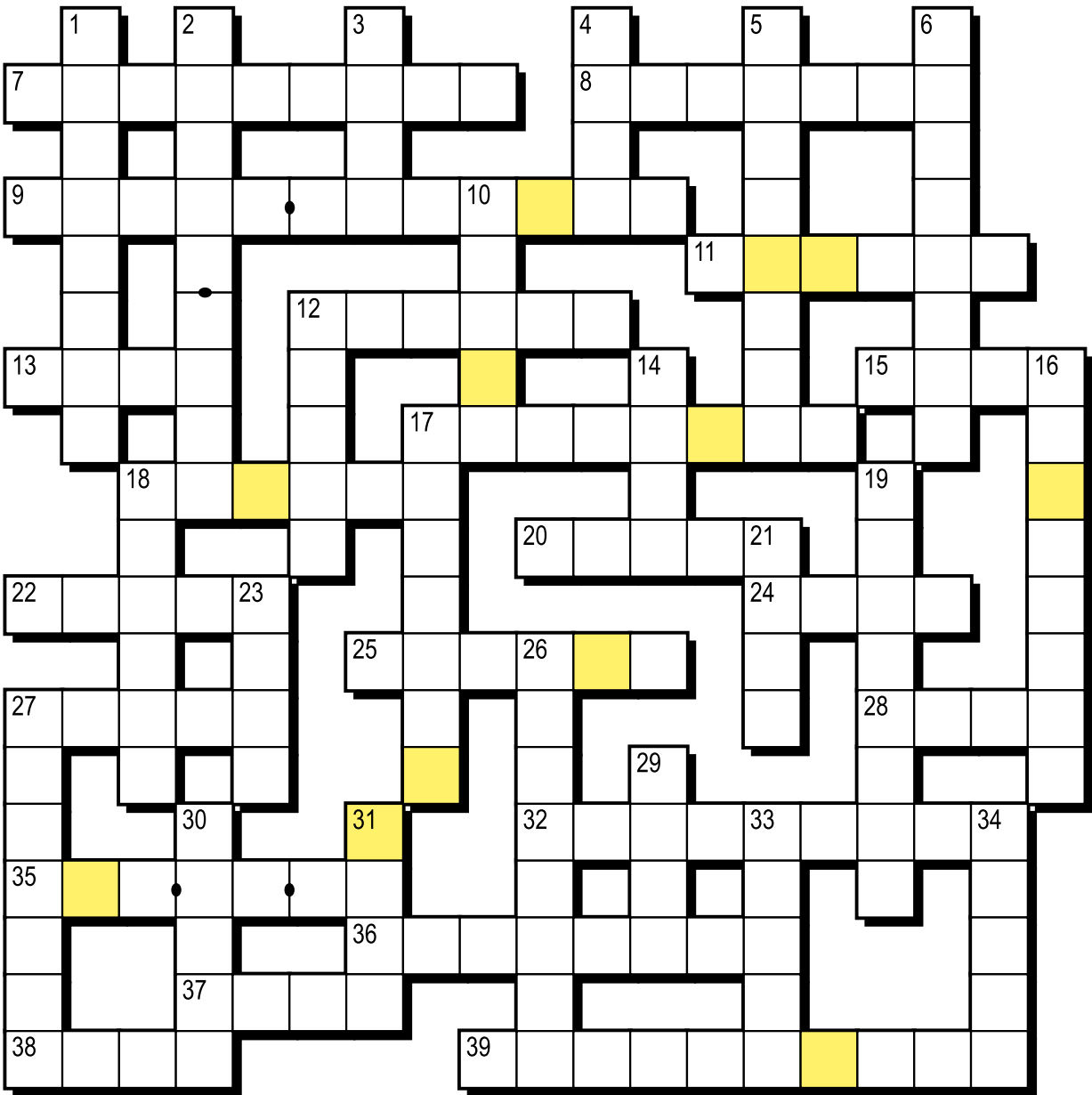
Autorem wielu haseł jest **Cezary Łazarewicz**

Wszystkiego jajecznego Paul!

Pewnego poranka Paul McCartney zerwał się z łóżka i od razu popędził do fortepianu. We śnie usłyszał dźwięki, które po prostu musiał jak najszybciej usłyszeć na jawie. Zagrał kilka akordów, kilka kolejnych dołożył i okazało się, że ułożył całkiem zgrabną melodię. Najpierw myślał, że po prostu odtworzył nieświadomie kiedyś zasłyszaną melodię, bo brzmiała mu znajomo, ale choć po wielokroć odgrywał ją znajomym, żaden nie rozpoznał dawnego standardu. Melodia była oryginalna. Paul nie bardzo wiedział, jaki tytuł nadać nowemu utworowi, wreszcie przyszła mu do głowy „jajecznica”, faktycznie chyba zbyt rzadko doceniana przez muzyków. „Scrambled eggs / Oh, my baby, how I love your legs” – ([Chcę] jajecznicę, dziecinko, kocham twe zgrabne nogi tanecznicy” (przekład autorski i pseudoartystyczny, wybaczenie) – nucił McCartney przy dźwiękach nowego utworu. Po latach okazało się, że napisał najczęściej coverowaną piosenkę w historii muzyki. Trzeba było tylko trochę zmienić słowa, „jajecznicę” zastąpić wyrazem „wczoraj”, czyli „Yesterday”, i gotowe! „Yesterday” powstało w ok. 2200 różnych wersjach, m.in. tej Boba Dylana, który, gdy usłyszał utwór po raz pierwszy, nie uznał go za szczególnie wyjątkowy. A że właśnie dziś Paul McCartney, twórca tego szlagieru, obchodzi 80 urodziny, ta Weekendówka będzie poświęcona jemu i pozostałej trójce z Liverpoolu. A zagadki do Weekendówki-Beatlesówki ułożył dla Państwa Cezary Łazarewicz – doskonały dziennikarz, pisarz i publicysta, laureat nagrody „Nike” za książkę „Żeby nie było śladów. Sprawa Grzegorza Przemyka”. I beatlemaniak rzecz jasna, który wyrwany w środku nocy albo wczesnym rankiem, jak McCartney przy „jajecznicę”!, będzie wiedział, jak nazywał się ukochany pies jubilata, któremu artysta poświęcił jedną z piosenek. Miłej zabawy. Nie tylko tym, którzy tęsknią za wczoraj. ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl

Rozwiązanie „Weekendówki” nr 5 z 11.06:
ELITA ALBIONU



BEATLES!

Hasła Cezarego Łazarewicza oznaczono inicjałami (CŁ) i wyboldowano. Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie – tytuł piosenki.

Poziomo:

- 7)** rodzinne miasto The Beatles (CŁ)
8) albumu „A Hard Day’s Night” – z dwudziestoma fotografiami
9) imię i nazwisko wykonawczyń piosenki „Beatlemania story”
11) Beatlesów – m.in. w mieście z pozycji 7 poziomo, a także np. w kazaskiej Ałma Acie
12) ... nagrań przy Abbey Road 3 w Londynie, gościło m.in. Beatlesów,

- zespoły Pink Floyd, Radiohead, U2
13) ... męska lat 60., inspirowana fryzurami i strojami Beatlesów
15) imię kompozytora piosenki „Imagine”
17) w tytule piosenki z frazą: „tutaj Paul Anka, Stonesi, Beatlesi, Cliff Richard śpiewa”
18) imię 6 pionowo
20) „Please Please Me” lub „Rubber Soul”
22) ... szlachecki, przyznany Paulowi McCartneyowi w 1997 r.
24) kolor kojarzący się z 9. płytą zespołu
25) sierżant od złamanych serc (CŁ)
27) „... ośmiornicy”, piosenka z płyty „Abbey Road”

- 28)** „the beatles” po naszymu
32) każdy album z „The Best of” w tytule
35) tytuł ostatniej płyty wydanej przez The Beatles (CŁ)
36) ... im. Johna Lennona – w mieście z pozycji 7 poziomo
37) Forrest ..., spotkał Johna Lennona w studiu telewizyjnym
38) kobieta, która rozbiła The Beatles (CŁ)
39) Radosław, reżyser filmu „Yesterday”

Pionowo:

- 1)** na statywie na scenie
2) mulica w mieście z pozycji 7 poziomo, tytuł piosenki zespołu
3) truskawkowe, na zawsze
4) muzyka Wielkiej Czwórki

- 5)** LSD (ponoć nic wspólnego z tytułem „Lucy in the Sky with Diamonds”)
6) nazwisko Beatlesa, który nagrał piosenkę „Got My Mind Set On You”
10) ... Imperium Brytyjskiego, wręczony członkom grupy przez królową w 1965 r.
12) z angielską gwiazdą w nazwisku
14) białe – na okładce płyty „Abbey Road”
16) zarejestrowanie płyty, koncertu
17) zespół wykonujący piosenkę, w której pojawia się „McCartneya but”
18) instrument muzyka z pozycji 6 pionowo
19) stopień wojskowy w tytule 8. albumu

- 21)** szwedzki kwartet, którego klawiszowiec Benny grał wcześniej w formacji The Hep Stars, nazywanej szwedzkimi Beatlesami
23) „Żółta ... podwodna”
26) „Twist and Shout”, „Get Back” i „Michelle”
27) lenonki
29) wokal
30) imię perkusisty The Beatles (CŁ)
31) jaki tytuł piosenki mam wpisać? Pomocy!
33) „Długa i kręta ...”, piosenka z 1970 r.
34) ... zbiorowej hysterii, podczas wielu koncertów grupy

Byłe do

weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!





KRZYŻÓWKI
WYBORCZEJ

Pobierz z
App Store

Pobierz z
Google Play